



# Krystyna Lubelska

Życie tam  
i z powrotem



**Krystyna Lubelska**

**Życie tam i z  
powrotem**

## Rozdział I

Pogrzeb Mariana Leskiego odbył się kilkadziesiąt godzin po pierwszych w Polsce od lat wolnych wyborach. Prawie nikt nie zauważył odejścia sławnego niegdyś dziennikarza. Nikt nie wypominał mu błędów przeszłości ani nie pastwił się nad jego życiorysem. Jedna z gazet zamieściła niemal niewidoczną notatkę. Nonparelem. Leska dobrze знаła tę czcionkę. Ileż to razy słyszała, jak Marian, wówczas redaktor naczelny dziennika, zawsze lekko ściszonego głosem mówił do słuchawki, instruując kogoś ze swoich podwładnych:

- Umarł? No taaak. Trzeba o tym wspomnieć, ale to nie był nasz człowiek. Dajcie informację o tym na przedostatniej stronie. Nonparelem.

Czerwcowy poranek w dniu pogrzebu był ciepły, ale mimo ostrego słońca nieupalny. Białe - czerwone flagi łopotały na silnym wietrze niczym skrzydła niespokojnych ptaków. Ściany domów, parkany i słupy ogłoszeniowe nadal były oblepione podniszczonymi już plakatami z Gary Cooperem, bohaterem wielu westernów, który ze znaczkiem Solidarności wpiętym w miejsce gwiazdy szeryfa zachęcał wyborców do oddania głosu.

Leska kontemplowała te widoki zza szyb taksówki, w drodze na pogrzeb męża. Komuniści przegrali. Kto by pomyślał? Koło historii wykonało nieoczekiwany skręt, ale zapewne niebawem powróci na sprawdzony tor. Nie ufała historycznym wydarzeniom, bo przeważnie obracały się przeciw zwyczajnym ludziom. Zapragnęła pocieszenia, więc przytuliła się do siedzącej obok córki, ale Anna się odsunęła.

Na cmentarz przyszło niewiele osób. Spośród dawnych kolegów Leskiego z okresu dziennikarskiej świetności stawilo się zaledwie kilku z tych, których blask, z powodów politycznych, a niekiedy po prostu ze zwyczajnej starości, przygasł. Pozostali w tym gorącym okresie mieli inne problemy na głowie niż odejście człowieka, który porzucił własne gniazdo. Leski już dobrych kilka lat temu udał się na emigrację wewnętrzną. Nie przydawał się więc partii ani jako towarzysz, ani jako dziennikarz. Na własne życzenie, kiwali ze zdziwienia posiwiałymi głowami, stał się nikim.

Do rozpoczęcia żałobnej ceremonii zostało zaledwie kilka minut, kiedy ku zaskoczeniu Marii nadeszła, wsparta na ramieniu wysokiego przystojnego trzydziestolatka, Natalia Zawadzka, jej niemal zapomniana przyjaciółka, z którą nie widywały się od lat. Była niewiele starsza od Leskiej, a czas jej najwyraźniej nie oszczędzał. Zgarbiona, przeredzone i białe jak śnieg włosy miała spięte w mały koczek, twarz pożółkłą i pomarszczoną, ale spojrzenie nadal bystre i jak zawsze przenikliwe.

Leska wzruszyła się jej obecnością tak bardzo, że nie umiała już opanować łez. Na cmentarzu panowała atmosfera ptasiego wesela, wróble świergotały, kosy gwizdały, nawołując się między sobą, ale te dźwięki, docierające mimochodem do jej uszu, jeszcze pogłębiały smutek. Już nic nie będzie takie jak dawniej, nieuchronność przemijania wywołała bezsilną rozpacz.

Zamyślona Anna nie zauważyła nadejścia Zawadzkich. Odczuwała wielki smutek z powodu odejścia Mariana, mimo że dawno stracili bliski kontakt, jaki ich kiedyś łączył. Od 1980 roku stosunki między nią a przybranym ojcem bardzo się skomplikowały, a w stanie wojennym praktycznie uległy zerwaniu. Polityka, pomyślała z rozpaczą, wślizguje się w ludzkie życie niby podstępny wąż. Chciałaby wykreślić z rodzinnych losów wiele dni z ostatnich dziewięciu lat. Nie da się jednak cofnąć przeszłości. Leski pod koniec życia znów zamieszkał z nimi dwiema i Marcinem. Przepadał za jej synkiem, ale starała się ograniczać ich kontakty. Nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że za Marianem wlecze się złowrogi cień pułkownika.

Lękała się popatrzeć w twarze żałobników, aby nie dostrzec tej jedynej, której nie chciałaby już nigdy więcej oglądać. Mimo nalegań matki nie przyprowadziła Marcina na pogrzeb. Bała się panicznie, że na cmentarzu może się stawić pułkownik Kuczek. Za nic nie chciała, by zobaczył jej syna.

Obsesyjnie skoncentrowana na własnym lęku, nie pochwyciła żadnego ze spojrzeń Marka Zawadzkiego, który mało zainteresowany pożegnalnym obrzędem - grzebano jakiegoś znajomego matki z dawnych lat - nie spuszczał z niej wzroku. Pamiętał tę dziewczynę z czasów stanu wojennego, kiedy krótko przebywała w ich domu, w Podkowie. Już wtedy mu się podobała, ale wydawała się daleka, nieobecna. Potem wyprowadziła się z dnia na dzień, a matka poinformowała go, że dziewczyna przeniosła się do przyjaciółki.

Żałował teraz, że nie wypytywał matki o szczegóły sprawy, ale i ona, przyszło mu do głowy, nie wykazywała wielkiej ochoty, aby o niej opowiadać. Patrzył na zgorzkniałą twarz Anny i zapragnął zmienić jej wyraz, pocieszyć tę dziewczynę, sprawić, aby stężale rysy odzyskały dawną miękkość.

Z pola widzenia Anny umknął nie tylko wpatrujący się w nią mężczyzna. Nie dostrzegła także swojej niegdysiejszej przyjaciółki Miki, która oddalona od żałobników na bezpieczny dystans, wsparta o drzewo, bacznie przyglądała się ostatniemu pożegnaniu Leskiego. Obserwując Annę, odnotowywała zmiany w jej wyglądzie. W całej postawie dziewczyny, zamiast dawnej energii i pewności siebie, wyczuwało się apatię i zniechęcenie. Była nadal szczupła, ale lekko się zaokrągliła, co dodało jej kobiecości. Krótko ścięte włosy z wymykającymi się niedbałymi kosmykami sprawiały wrażenie, jakby nie miała ochoty zajmować się ich czesaniem.

Jednak ubiór przyjaciółki nie mógł zmylić Miki, poddawał się natychmiastowej ocenie, rzucał w oczy. Dawna Anna dbała o szczegóły stroju, doskonale zdając sobie sprawę, że one decydują o szyku. Dziś jej torebka zwisała na lekko przetartym pasku, a buty i ciemna bluzka były niemodne. Rejestrując te drobne z pozoru szczegóły, Mika poczuła się świetnie w swojej skomponowanej wedle paryskiego żurnala kreacji. Niekiedy pojedynczy słoneczny promień odbijał się w jej diamentowym pierścionku lub igrał małymi iskierkami na grubej złotej bransoletce. Gdyby mogła się teraz przejrzeć w lustrze, ujrzałaby w nim odbicie kobiety pewnej siebie i bez zarzutu eleganckiej. Ale to nie były wszystkie atuty, którymi dysponowała w zestawieniu z dawną rywalką. Jeden z nich jak wytrawny gracz chowała w zanadrzu.

Znała tajemnicę Mariana Leskiego, która tylko dzięki niej zostanie przechowana w pamięci żywych. Dawało to jej rozkoszne poczucie władzy nad losem Anny, a nawet i starej Leskiej. Mogłaby zmienić sposób myślenia i postępowanie tych dwóch kobiet, wpłynąć na ich los. Jednak, wbrew wszelkim triumfującym rozważaniom, bezbrzeżny smutek ścisnął ją za gardło. Żegnała Mariana Leskiego, kogoś bliskiego, może nawet przyjaciela. I nagle, jak to bywa na pogrzebie, powróciła do Miki przełomowa chwila jej życia. Gdy w lipcu 1984 roku, po dwóch latach spędzonych w więzieniu wyszła na wolność, trafiła w samo apogeum nędzy, kryzysu, totalnej politycznej beznadziei. Ale wcale nie to było najgorsze.

Odbyła karę „za zranienie Anny Leskiej z niskich pobudek, w wyniku postrzału”. Prokurator domagał się pięciu lat pozbawienia wolności, ale sąd wydał łagodniejszy wyrok ze względu na młody wiek oskarżonej, nieskazitelną opinię, a także fakt, że działała pod wpływem emocji. Poza tym sprawa nie była polityczna. Ot, zwykły kryminał.

Dziś jeszcze Mika dokładnie pamiętała uczucia towarzyszące jej zaraz po wyjściu na wolność - początkową euforię stopniowo przemieniającą się w rozczarowanie, a potem w bezsilną rozpacz. Próbowała nawiązać kontakt z dawnymi przyjaciółmi i znajomymi. Znaczna większość z nich została już zwolniona z miejsc internowania, niewielka grupa zdecydowała się na emigrację. Jednak niemal wszyscy, z którymi zdołała się skontaktować, zachowywali się w stosunku do niej prawie identycznie. Poszukiwała przyjaźni i współczucia, a otrzymywała w najlepszym razie uprzejmą, chłodną grzeczność. Czuli się tak, jak gdyby była dotknięta jakąś tajemniczą chorobą, której objawów nie potrafiła u siebie dostrzec, za to inni obserwowali je już z daleka.

Tylko rodzice stanęli na wysokości zadania, uznając córkę za ofiarę walki ideologicznej. Nie uwierzyli zeznaniom w sądzie, kiedy przyznawała się do postrzelenia

Anny Leskiej pod wpływem zazdrości o uczucia Michaela Watsona - Smitha. Cały błyskawiczny zresztą proces uważali za prawniczą farsę. Była im wdzięczna za tę niezachwianą ufność, ale miała dość ciągłego gderania: „I po co ci było to wszystko, córuś? Ten ustrój i tak się od tego nie zmieni, a ty będziesz musiała tu żyć. W nic się już nie wplątuj, uważaj”.

Przecież nie mogła im powiedzieć, że w całą tę kryminalną historię wpakowała się z miłości do mężczyzny, i to nie żadnego zabiedzzonego i zaszczonego opozycjonisty, ale Michaela Watsona - Smitha, którego znali jako zwykłego amerykańskiego fotoreportera, a on okazał się właścicielem fortuny, jakiej w ogóle nie umieli sobie nawet wyobrazić. Gdyby do ojca dotarło, ile złota ma Michael w swoim sejfie, na pewno poczuliby się mocno dotknięty.

Ojciec pod specjalnie zamontowaną deską w szafie przez wiele lat chował dziewięć złotych dwudziestodolarowych monet, które stanowiły cały majątek rodziny i przechowywane były na gorsze czasy, czyli wojnę lub głód. Raz w roku, w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, wyciągał ów skarb spod deski, kładł go na stole i uroczystym głosem oznajmiał:

- Nie musieliśmy jeszcze sięgnąć po te monety. Daj Boże, żeby tak było i w przyszłym roku.

Jako dziecko niezwykle przeżywała moment wyciągania złota na światło dzienne, a gdy dorosła, razem z matką śmiały się z uroków odczynianych przez ojca nad monetami, ale obie przywykły do tej ceremonii. W dziwny sposób przynajmniej na krótko dawała im poczucie bezpieczeństwa. Rodzinną fortunę pochłonął jej pobyt w więzieniu. Pieniądze poszły na adwokatów i łapówki dla więziennych strażników, dzięki którym bez ograniczeń otrzymywała paczki z jedzeniem, książki, witaminy, kosmetyki nabywane przez rodziców na czarnym rynku. Paradoksalnie więc w więzieniu, inaczej niż na wolności, nie odczuwała aż tak dotkliwie braków, jakie doskwierały wszystkim Polakom.

Z obojętnych rozmów telefonicznych, które przeprowadzała z coraz dalszymi znajomymi, dowiedziała się, że Jan, jej dawny kochanek, pracuje w piśmie założonym przez księży, którzy pragnęli w ten sposób pomóc w zdobyciu środków do życia uwolnionym, ale skazanym na społeczny niebyt opozycjonistom. Za wszelką cenę postanowiła spotkać się z Janem, lecz nauczona już gorzkim doświadczeniem, nie chciała do niego dzwonić. Bała się, że tak jak wszyscy poprzedni rozmówcy spławi ją pod byle pretekstem, a przecież musiała się dowiedzieć, gdzie leży przyczyna choroby, z której powodu bliscy kiedyś ludzie od niej stronili.

Czatowała pod budynkiem, w którym znajdowała się redakcja katolickiego tygodnika. Gdy wreszcie ujrzała Jana zbliżającego się ulicą w kierunku redakcji, nie była całkiem pewna, czy to jest ten sam mężczyzna, którego tak bardzo pożądała, że zapomniała o zasadach wpojonych jej przez rodziców. Uważnie mu się przyglądała, korzystając z tego, że jeszcze jej nie dostrzegł. Przekroczył czterdziestkę i wyglądał na swój wiek. Pewnie bardzo nad tym cierpi, pomyślała złośliwie, bo dobrze znała jego słabość do przeglądania się w lustrze. Ciemne włosy lekko mu posiwiały, smukła niegdyś sylwetka stała się bardziej krępa. Nadal był przystojny, ale rysy straciły wyrazistość. Odniosła dziwne wrażenie, że spogląda na kogoś, kto znajduje się za matową szybą. Na widok dziewczyny uśmiechnął się serdecznie, lecz po sekundzie jego usta zastygły w niepewnym grymasie. Wyczulona do granic wrażliwości, od razu zareagowała na zwątpienie malujące się na twarzy Jana i powiedziała szybko:

- Muszę z tobą koniecznie porozmawiać. Nie możesz mi odmówić, proszę.

Umówił się z nią za dwie godziny w pobliskiej kawiarni. Nie dowierzając, że przyjdzie na spotkanie, warowała pod budynkiem redakcji, aby jej nie uciekł, nie rozpląnął się w szarych murach. Gdy po godzinie i pięćdziesięciu minutach wyszedł z gmachu, skradała się za nim jak agentka bezpieczeństwa. Pozwoliła, aby usiadł w kawiarni, i po kilku minutach,

przepraszając za spóźnienie, podeszła do stolika. Zamówili herbatę i dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, bo żadne z nich nie wiedziało, jak zacząć rozmowę. Wreszcie wybąkała:

- Co u ciebie? Jak twoja żona?

Postanowiła rozpocząć rozmowę właśnie w ten sposób, aby dać mu do zrozumienia, że nie zależy jej na powrocie do dawnego związku, ma inną sprawę. Popatrzył na nią uważnie i ku swojej wielkiej uldze ujrzał w jego oczach może cień dawnych dla niej uczuć, a może po prostu zwyczajny sentyment do byłej dziewczyny.

- Pogadajmy najpierw o tobie - zaproponował po chwili zastanowienia, ignorując jej pytanie. - Kiedy wyszłaś z więzienia?

- Sześć tygodni temu.

Nie miała takiego zamiaru, ale nieoczekiwanie dla siebie opowiedziała nie tylko o swoich więziennych przeżyciach, lecz także o związku z Michaeliem i o tym, jak się przyznała do postrzelenia Anny, aby chronić ukochanego oraz jego kumpla. Gdy skończyła opowieść, czekała na słowa pociechy, współczucia, może nawet podziwu dla swojej postawy albo przynajmniej odruchu zazdrości ze strony dawnego kochanka dla oddania, jakie potrafiła okazać innemu mężczyźnie. Jednak kompletnie ją zaskoczył.

- Nie rozumiem twojego histerycznego zachowania. Dlaczego wzięłaś to wszystko na siebie? Przecież tym Amerykanom włos i tak by nie spadł z głowy, nawet gdyby byli winni. Nie tylko Stany, ale i pół świata wstawiłoby się za nimi. Zwolniliby ich szybciej, niż wsadzili.

- Oczywiście, że nie byli winni. To pułkownik Kuczek wszystko ukartował. To on postrzelił Annę, nie rozumiesz?

- Z tego co wiem, ona zeznała, że postrzeliła się sama, zupełnie przypadkiem, a ciebie, według jej słów, w ogóle przy tym nie było, bo pułkownik Kuczek przesłuchiwał tylko ją. Zdaje się, że akurat rozmawiał przez telefon ze swoim kierowcą. Stał tyłem, więc nie zauważył, gdy ona z przewieszanej przez oparcie krzesła kabury wyjęła pistolet, który wystrzelił. Pytanie tylko, po diabła łapała się za broń? Chyba nie myślała o tym, żeby rąbnąć Kuczka? - zastanowił się głośno. W jego ostatnich słowach brzmiała ironia, ale Mika nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi.

- Anny nie było na procesie - odparła zdziwiona i zaniepokojona. - Co to za zeznania?

- Długo chorowała, potem miała kłopoty psychiczne. Zresztą kto ich nie ma... - Zamyślił się na chwilę. - Spotkaliśmy się rok po twoim uwięzieniu, mówiła, że wcześniej był u niej jakiś adwokat, wynajęty przez tych Amerykanów, i odebrał od niej zeznanie, w którym powiedziała mniej więcej to, co ci zrelacjonowałem. W aktach procesowych znajdowało się jednak twoje przyznanie się do winy na piśmie i dokładny opis całej sytuacji. Zeznania pułkownika potwierdzały twoją wersję wydarzeń. W tej sytuacji prokurator odmówił wszczęcia ponownego postępowania. Uznał, że Anna, przyznając się do przypadkowego zamachu na własne życie, próbuje po prostu ratować przyjaciółkę, której odbiła Amerykanina, bo pewnie czuje się winna zdrady. Zresztą i ja, sądząc z zachowania Anny, odniosłem takie wrażenie. No więc, powiesz wreszcie, jak było naprawdę? To przecież nie ma już żadnego formalnego znaczenia.

- Właśnie mówię. Kuczek postrzelił Annę, a potem chciał zrzucić winę na Michaela i na Jima.

- A gdyby nawet, po co ty się w to wplątałaś? Po diabła wzięłaś wszystko na siebie?

Jak miała mu to wytłumaczyć?

- Chciałam ich ratować... - wyszeptala i nieco wyraźniejszym głosem, znajdując wreszcie ostateczny argument, dodała: - To były inne czasy, wszystko wydawało się beznadziejne, groźne... a oni byli tu tacy zagubieni.

Roześmiał się złośliwie. Na twarzy pojawiły się wcześniej niewidoczne zmarszczki. Gnom, pomyślała o swoim dawnym kochanku.

- No tak, oczywiście, musiałaś się wstawić za przedstawicielami najpotężniejszego mocarstwa na świecie. Na miłość boską, czy ty naprawdę masz mnie za idiotę?

- O co ci chodzi, Jan? - Była bliska łez.

- Nie prosiłem cię o tę rozmowę, sama jej chciałaś. Sądziłem, że zdobędziesz się na minimum szczerości. - Słowa Jana brzmiały bardzo stanowczo, a jego surowa mina przypominała oblicze sędziego, który uzasadniał skazujący ją wyrok.

- Boże, tak było naprawdę, przysięgam... to Kuczek, wszystko przez niego... on to ukartował, chciał ich wsadzić do więzienia... - jąkała się ze zdenerwowania.

- Kuczek to znana kanalia, ale wątpię - nieubłaganie zbijał jej argumenty - aby akurat on w tej sprawie chciał sobie babrać paluchy, na to jest za sprytny. Po co miałby pakować dwóch Bogu ducha winnych Amerykanów do paki? Przecież dla niego oznaczałoby to tylko cholerny kłopot... A Anna? Jaki interes miałyby w osłanianiu Kuczka, gdyby to on do niej strzelał? Przyznasz, że taka konstrukcja nie ma sensu. Wszystko jasne, chciała chronić ciebie. Wybaczyła ci ten głupi strzał. To cała Anna, ona taka jest... Dużo przeszła, dużo rozumie. - Sięgnął po herbatę i wypił spory łyk. - Posłuchaj, Mika, dobrze cię znam i wiem, że zawsze byłaś bardzo emocjonalna, zazdrośna...

- Tak, zwłaszcza gdy chodziło o twoją żonę - stwierdziła zgryźliwie.

- Choćby i o nią - odparł całkiem poważnie.

Zapadło milczenie. Kobieta z mężczyzną, rozdzieleni małym blatem stolika, spoglądali na siebie jak dwaj wrogowie. Dopiero teraz dotarł do Miki gwar panujący w kawiarni. Pograżyła się w bezsilnej rozpacz. A więc to tak, on uważa, że zraniłam Annę z zazdrości. Całe moje cholerne poświęcenie, te siedemset pięć dni, które przesiedziałam - nie miały dla niego, poza odbyciem słusznej kary, żadnego sensu. Boże, jacy ludzie są niesprawiedliwi, jacy wredni!

Poczuła, że zalewa ją niepowstrzymana fala wściekłości na niego, na nich wszystkich. W dalszym ciągu bez słowa podniosła się, wzięła torebkę leżącą obok na krześle i przez kilkadziesiąt sekund nie spuszczała z Jana wzroku.

- Gdybym miała pistolet, mogłabym cię zabić - wysyczała. Podniósł głowę i przyjrzał się dziewczynie. Czyż nie miał racji?

Sama daje dowody przeciw sobie, bo taka właśnie jest - porywcza. Odczytała osąd swojego postępowania w jego na poły oskarżycielskim, na poły kpiącym spojrzeniu. Chwyciła szklankę z niedopitą herbatą i z całej siły uderzyła nią w podłogę. Szkło się rozprysło. Poczuła na sobie zdumione spojrzenia ludzi siedzących na sali i jego zgorzony wzrok.

- Ty łajdaku! - wycedziła przez zęby. - Nie chcę cię widzieć... nigdy więcej.

Odchodząc, usłyszała jeszcze za sobą teatralny szept:

- Mika, dobrze ci radzę, opanuj się, przestań się w końcu kompromitować.

Te słowa rozeźliły ją jeszcze bardziej. Zawróciła. Wzięła ze stołu cukiernicę, uniosła ją nad głowę Jana i całą cenną, wyliczaną na kartki zawartość wyrzuciła mu na włosy. Wyglądał beznadziejnie, jak obsypany łupieżem. A ona wciąż czuła furję przemieszana z upokorzeniem. Pragnęła mu bardziej jeszcze dokuczyć, powiedzieć na pożegnanie coś wyjątkowo bolesnego, więc wrzasnęła:

- Cukrowy dziadek!

W kawiarni zapadło nagle milczenie, zupełnie jakby dyrygent dał znak orkiestrze, że czas skończyć uwerturę. Przez jedno mgnienie oka dojrzała jeszcze kompletnie osłupiałą twarz dawnego kochanka. Wyszła z kawiarni na chwiejnych nogach, zataczając się, zupełnie jak pijana.

Długo szła ulicą. Wreszcie przysiadła na ławce. Rozejrzała się dokoła. Była w Ogrodzie Saskim. Spojrzała w górę - jakieś drzewo dobrotliwie rozpostarło liście nad jej głową. Ogarnął ją wstyd. Poczuła, że poczerwieniały jej policzki. A więc to tak. Mieli ją za kobietę

opętana zazdrością, potraktowali jak bohaterkę brukowych romansów. Trafiła do więzienia, wedle towarzyskiego osądu, w fatalnym stylu, a wyszła w jeszcze gorszym.

Poświęcenie, które przez długie miesiące uwięzienia pielęgnowała jako powód do dumy, bo czyniło z niej kobietę nie tylko godną miłości, ale i taką, która potrafi kochać, obróciło się przeciwko niej. W ocenie innych popełniła absurdalne przestępstwo z powodu głupoty, umysłowego zaćmienia wywołanego patologiczną ambicją. Bez żadnych wątpliwości przyjęli sądową wersję wydarzeń. Osadzili ją za plecami, wydali towarzyski werdykt, nie dając możliwości wyjaśnienia sprawy. Dziwnym trafem wyrok w tej akurat sprawie nie budził niczyich zastrzeżeń, nikt nie miał zamiaru podważać sprawiedliwości ani kompetencji komunistycznego sądu.

Przesiedziała na parkowej ławce kilka godzin. Obserwowała przechodzących obok spacerowiczów, przypominała sobie różne wydarzenia z czasów studiów, przyjaźni z Anną albo związku z Michaelem. Coraz to powracał do niej wstyd, uderzał falą gorąca, rozplomieniał czoło, wywoływał gonitwę myśli. Ani na chwilę nie opuszczała jej uparta myśl, że świadoma ofiara, którą uczyniła ze swojej wolności, tylko ją ośmieszyła, podczas gdy przypadkowa rana wykreowała Annę na bohaterkę. Całkowicie zwątpiła w jakąkolwiek sprawiedliwość, ale pojęła lekcję, według której powinna postępować. Czubkiem obcasa spróbowała zrobić rysę na rozmięklej od słońca asfaltowej drodze, jednak nawierzchnia okazała się zbyt twarda. Ten drobny fakt Mika potraktowała jako wskazówkę dla siebie na dalsze życie.



## Rozdział II

Leska kiepsko spała i obudziła się za wcześnie. Wstała z trudem, powoli rozprostowując stare kości. Obiecała sobie, że nie będzie teraz rozmyślała o liście z Ameryki, który tak niespodziewanie wyzwolił w niej zapomniane lęki.

Zerwała kartkę z kalendarza wiszącego w pobliżu portretu Mariana i odruchowo spojrzała na datę. Już początek października, westchnęła. Nie służyły jej szarobure jesienne poranki. Ach tak, przypomniała sobie, dziś mijają cztery miesiące od śmierci męża. W jednej chwili ogarnęła ją tęsknota i nagła litość dla jego całkowicie zmarnowanego wysiłku, aby zapisać się w pamięci potomnych. Nie pozostała po nim żadna wartościowa spuścizna ani dziedzic jego imienia. Nikt i nic. Ich syn, Michał, odszedł z tego świata na kilka lat przed ojcem.

Kariera dziennikarska Mariana, artykuły, do których przywiązywał tak wielką wagę, pięć ze znużonym wysiłkiem napisanych książek publicystycznych - wszystko to nie było warte dzisiaj nawet funta kłaków, a u wielu osób wzbudzało najwyżej ironiczny uśmiech. Tylko ona jeszcze pamiętała o tym, jak mąż po nocach cyzelował każde zdanie, jak ciężko harował, aby na setkach stron wyłuszczyć jedynie słuszne prawdy. Grube tomy, które na półce w rodzinnej bibliotece pokryły się kurzem, ganiły rodaków za brak socjalistycznej moralności, nawoływały do przestrzegania ustrojowych zasad i krytykowały kapitalizm za jego wsteczny charakter. Kiedyś podziwiała Mariana za wiedzę o świecie, o polityce, a także za pracowitość, zdolności i zawodowe sukcesy, a teraz wszystko to wraz z nim samym obróciło się w proch.

Na dwa lata przed śmiercią zapadł w psychiczny letarg. Lekarze spierali się, czy jego stan ma przyczyny neurologiczne, czy też jest to rodzaj depresji, i właściwie do końca nie postawili diagnozy. Uważali zresztą, że choroba Mariana nie jest śmiertelna i prowadzący go profesor medycyny był wyraźnie zaskoczony, kiedy dowiedział się, że Leski na zawsze zamknął oczy.

Telefonicznie zawiadomiła go o zgonie męża. Godzinę później przyjechał. Ze spotkania z tym obcym mężczyzną zapamiętała jego ciepły dotyk, a także słowa, które wypowiedział, może przypadkiem, może bez większego zastanowienia, ale bardzo głęboko zapadły jej w serce.

- Dla wielu ludzi śmierć staje się zwykłą ucieczką, bo przebrała się miara ich życiowych doświadczeń, a nikt nie może dźwigać ciężaru ponad siły.

Nie było wątpliwości, że tamten młody jeszcze profesor miał w tym wypadku rację. Opatrzność, odbierając Marianowi życie, zlitowała się nad nim. Jego rozpacz po śmierci syna nie miała kresu. Leska odżałowała Michała, żarliwie modląc się za niego, gdyż odzyskała wiarę, której przecież nigdy tak naprawdę nie utraciła. Miała wrażenie, że pacierze odmawiane za syna przynoszą mu ulgę, gdziekolwiek się znajduje. A mąż nie umiał znaleźć pocieszenia. Jego cierpienie nabrało charakteru obsesji.

Musi odpędzić ciężkie myśli. Postanowiła, że położy się jeszcze na chwilę, aby rozgrzać zmarznięte stopy. Może uda się jej zasnąć. Ani przez moment nie zdołała zapomnieć o liście. Schowany w kieszeni szlafroka, niemal palił ją przez materiał. Miała wielką ochotę przeczytać go jeszcze raz, upewnić się, czy wszystko dobrze zrozumiała, ale postanowiła odłożyć to na później. Ciekawe, pomyślała, gdzie teraz jest Marian. Ogarnęła ją dziecienna ciekawość - czy on wie, jaki kłopot teraz spadł jej na głowę? Z pełnym zażenowania rozbawieniem przypomniała sobie niedawną rozmowę z wnukiem. Marcin wrócił wtedy po lekcji religii.

- Babciu, czy Bóg Ojciec jest też moim tatą? - zapytał swoim dziecinnym altem.

Miała wrażenie, że słyszy głos swojego syna sprzed dwudziestu paru lat. Jej siedmioletni wnuk także zewnątrznie był podobny do małego Michała. Geny ułożyły się w sekwencje odtwarzające w bratanku podobny kształt głowy, zarys ust, kolor włosów, oczu, a

nawet niepowtarzalny zdawałoby się wdzięk jego wuja. Między zmarłym a żywym został przerzucony pomost. Nigdy się nie spotkali, ale odnajdywali się w genetycznym kodzie, czerpali przynajmniej w połowie z tego samego dziedzictwa. Wiele o tym myślała, traktując istnienie wnuka w takiej właśnie postaci jako boską rekompensatę za odejście syna.

- Głupie pytanie - odparła wtedy, bo nie miała ochoty usłyszeć kolejnych dociekań Marcina w sprawie, która ostatnio nieustannie go zajmowała. Za wszelką cenę pragnął poznać swojego ojca, bo niewątpliwie, rozumiało to nawet dziecko, musiał gdzieś być. Jednak ani babka, ani tym bardziej matka nie ułatwiały mu sytuacji.

Leską obudził podniesiony ton córki.

- Ubieraj się wreszcie, Marcinku. Widzisz, że się śpieszę! Szybko spojrzała na zegar. Wskazywał już wpół do ósmej.

A jednak zasnęła. Zazwyczaj to ona podawała Marcinowi śniadanie. Powoli wstała i zaczęła ścielić łóżko. Ile jeszcze przede mną dni, które rozpoczną i szczęśliwie zakończą? - pomyślała, nie odczuwając nic więcej poza obiektywną ciekawością.

Z wnętrza mieszkania ciągle dobiegał poirytowany głos córki pokrzykującej na Marcina. Leska od dawna zastanawiała się nad stosunkiem Anny do syna. Sama też kiedyś doznawała gamy różnych uczuć, gdy chodziło o jej dzieci, ale zawsze obdarzała je bezgraniczną akceptacją. Anna bywała wobec Marcina nie tylko zbyt często zniecierpliwiona, ale co gorsza wątpiła w swoje do niego uczucia. Nigdy o tym nie rozmawiały, bo między nimi dwiema, matką a córką, powstał niewidoczny mur. Obserwowała Annę, jej zmagania z życiem i z samą sobą, współczuła, ale nie umiała, a może nie mogła pomóc. Troszczyła się więc o wnuka i nie wtrącała się w życie jego matki. Czasem miała wrażenie, że ona i córka są jak dwie postaci, które grają w tej samej sztuce, ale nigdy nie spotykają się na scenie we wspólnym dialogu.

- Co ty, mammo, jeszcze w szlafroku? - zapytała Anna.

- Zasnęłam trochę. Przepraszam - odparła i zaczęła sprzątać ze stołu po śniadaniu, które zjadła córka wraz z wnukiem.

- Daj spokój, jakoś daliśmy sobie radę. - Anna uśmiechnęła się do matki, a Leska poczuła, że chce jej osłodzić szorstkie powitanie.

- O której wrócisz? - zapytała.

- Późno. Odbierz, proszę, Marcina ze szkoły, ma dziś basen. - Pracujesz po południu? - zdecydowała się zapytać Leska po chwili milczenia.

- Tak, mam dziś tłumaczenia kabinowe. Przyjechali jacyś japońscy biznesmeni. Chcą z nami ubić interes i jak zwykle im się nie uda. - Zaśmiała się. - Wiesz, mammo, japoński angielski brzmi trochę jak dla nas czeski... Wieczorem spotkam się z Markiem.

A więc dlatego jest w tak dobrym nastroju, pomyślała Leska. Anna włożyła swoją najlepszą sukienkę i umyła włosy, które następnie starannie rozczochrała na głowie, tylko krótką grzywkę podtrzymując żelem. To był wariant, domyślała się z pewnym rozbawieniem Leska, patrząc na córkę, fryzury wyjściowej, która podobnie jak wpięte w uszy wielkie srebrne koła miała podkreślić odświętność ubioru.

Marka od kilku tygodni nie było w kraju. Miał zamiar założyć własną gazetę, więc ciągle jeździł gdzieś po świecie w poszukiwaniu pieniędzy, sprzętu, doświadczenia. Słyszała, choć nie dopytywała się o szczegóły, że wynajął na redakcję stary fabryczny budynek, w którym już kończy się remont. Oczywiście cały ten pomysł wydawał się Leskiej kompletną mrzonką, ale Marek opowiadał o własnej gazecie z takim entuzjazmem, że słuchając go, nie tylko ona, ale niemal każdy wierzył, że mu się uda.

- Wolna prasa - przekonywał - jest nam niezbędnie potrzebna, bo prawda jest jak transfuzja, która ten anemiczny kraj pobudzi do życia.

Słuchając rozplomionego chłopaka, odnosiła wrażenie - choć Anna byłaby zła, gdyby jej o tym powiedziała - że widzi w nim Mariana z czasów, gdy też rozsadzała go chęć

do działania i naprawiania Polski. Taki był, myślała, zanim go zgnoili, uczynili z niego szmatę, uśmiercili mu syna, rozbili rodzinę. Dawniej podzielała lewicowe poglądy męża, wierząc, że on wie lepiej, za kim należy się opowiedzieć. Teraz jednak uważała miniony system za pomyłkę, która nigdy nie powinna była się zdarzyć. Z entuzjazmem przytakiwała Markowi, gdy żartobliwie opisywał systemowe wpadki.

- Wykręciło się numer pogotowia, a odzywała się pogodynka. Na tym mniej więcej poległ błąd, który przytrafił się marksistom.

Pod wpływem Marka Anna nabrała większej ochoty do życia. Jeszcze do niedawna znajdowała się jakby za autystyczną ścianą, która dystansując ją od świata, pozbawiała wigoru, wiary i radości, jakie daje młodość. Wyglądało to trochę tak jak na filmach animowanych, które Leska wraz z wnukiem oglądała w telewizji. Często zdarzało się, że ich bohaterowie, biegnąc radośnie, nagle gwałtownie wyhamowywali z powodu jakiejś przeszkody i po jej pokonaniu podejmowali wprawdzie dalszą wędrówkę, ale już wlokąc się noga za nogą. Annę w jej marszu przez życie także powstrzymywała jakaś niewidzialna siła. Była poprawną matką, poprawną córką i pewnie poprawną dziewczyną dla Marka, ale gdzieś przepadła jej indywidualność, spontaniczność. Powtórzy moje nieciekawe życie, mówiła do siebie Leska, kiwając głową, jakby potrzebowała kogoś, z kim mogłaby podzielić obawy o przyszłość córki.

List, który od wczoraj bezustannie Leską niepokoił, nadszedł z Ameryki. Korespondencja od Joasi zazwyczaj sprawiała jej radość, ale tym razem budziła złe przecucia. Siostra zawiadamiła, że niebawem w Warszawie znów zjawią się Jim i Michael. Ich przyjazd, pisała, ma być niespodzianką dla wszystkich, z tego powodu prosi o dyskrecję. „Takie spotkanie po kilku latach - pisała - gdy Polska jest już w innej sytuacji politycznej, może być dla chłopców bardzo interesujące”.

To zdanie wydało się Marii szczególnie egoistyczne, dawało dowód, że jej zamerykanizowana siostra, Joan Keaton, nie widzi dalej niż koniec własnego nosa. Gdyby jeszcze tylko przyjeżdżał sam Jim, jej siostrzeniec i kuzyn Anny, ale po diabła wlecze się za nim ten Michael? Wtedy nie było to dla Anny szczęśliwe spotkanie, z pewnością znowu nie przyniesie niczego dobrego. Matko Boska, pomodliła się w duchu, spraw, niech coś się stanie, żeby nie mogli przyjechać. Teraz, gdy życie córki wreszcie zaczynało się układać, przyjazd Amerykanów mógł w nie wprowadzić niepotrzebny zamęt.

Swoją drogą jakie to dziwne, pomyślała, że właśnie dzień pogrzebu Mariana przyniósł córce odmianę w dotychczasowym, niezbyt sprzyjającym losie. Wówczas przecież zjawił się Marek, jej chłopak. Widać nawet śmierć ma swoje wyznaczone miejsce w kole fortuny.

## Rozdział III

Od godziny czekała na Marka w jego kawalerce. Samolot się pewnie spóźniał. Anna była już trochę zniecierpliwiona, próbowała dzwonić na lotnisko, ale nikt nie podnosił słuchawki. Usiadła w fotelu i zaczęła przeglądać leżące wokół gazety. Po kilku minutach lektury porzuciła to zajęcie i popatrzyła w ciemne okno. Na szybach od czasu do czasu pojawiał się migający płomyk od świateł przejeżdżających samochodów.

Dzięki miłości Marka już nie zamykała się w sobie jak dotąd. Stać ją było na daleko posuniętą otwartość, ale tylko w kwestiach dotyczących teraźniejszości. Z rozmysłem unikała rozmów o przeszłości, i to tak dalece, że minione sprawy z jej życia tym bardziej zaczęły go fascynować. Wielokrotnie więc próbował zgłębiać temat, ale sprytnie omijała wszelkie zastawiane pułapki. Uważała go wówczas za kłusownika, który poluje na nią jak na zaszczute zwierzę.

Dochodziło wtedy między nimi do kłótni. Sama je wywoływała, aby odwrócić uwagę od terenu, na który nie wolno mu było wkroczyć. Wyczuwając grę pozorów, obrażał się, ale nie trwało to zbyt długo i zazwyczaj on przychodził prosić o wybaczenie. W tym związku trzymała wszystkie sznurki i czasem miała wrażenie, że mogłaby, bezlitośnie za nie pociągając, sterować Markiem jak kukielką, ale świadomie rezygnowała ze swojej nad nim władzy. Chciała go szanować, a z doświadczenia wiedziała, że zbyt wielkie oddanie może prowokować do przekraczania granic, poza którymi nie ma już mowy o respekcie dla drugiej osoby. Tego pragnęła oszczędzić zarówno jemu, jak i sobie.

Zajrzała do kuchennej szafki, gdzie przechowywał alkohol. Dużo ostatnio podróżował, więc liczba butelek i ich różnorodność były imponujące. Po namyśle wybrała napoczęte już campari.

Sięgnęła do lodówki po sok pomarańczowy, z zamrażarki wyjęła lód. Przełknęła słodkawo - gorzki łyk koktajlu. Przypomniał się jej wieczór, który dawno temu, w tamtym życiu spędziła z Miką i Amerykanami w domu Zawadzkich. Wówczas po raz pierwszy spotkała Marka. Nie mogła się domyślać dalszego ciągu wydarzeń, stanowiły zaszyfrowane kody, które odkrywały swoje znaczenie o określonej porze, ani sekundę wcześniej czy później. Ogarnął ją nagły podziw dla niemożliwego do przewidzenia losu, dla perfekcjonizmu scenarzysty rozpisującego życie na role i starannie wyznaczającego zwroty akcji. Jeszcze całkiem niedawno, w dniu, kiedy Marek przekroczył próg domu Leskich, nie przemknęło jej nawet przez myśl, że oto nadszedł ktoś, kto wyprowadzi życie na nowe tory, a ten prawie nieznajomy mężczyzna stanie się tak bliski, że myśląc o nim, będzie nie tylko widziała przed oczami mapę jego ciała, ale instynktownie wyczuwała intencje i pragnienia.

- Po co ich zaprosiłaś? - zapytała matkę ostrym tonem na krótko przedtem, nim Zawadzka wraz z synem pojawili się w drzwiach. Było to kilka dni po pogrzebie Mariana. Leska pragnęła powspominać męża i minione czasy z dawną wspólną znajomą. Marek miał towarzyszyć schorowanej matce. Chętnie zresztą wykorzystał ten pretekst do przyjęcia zaproszenia.

W ramach infantylnego protestu Anna nie pomagała matce, ale Leska wcale nie liczyła na pomoc. Od rana uwijała się po mieszkaniu, sprzątała, gotowała, piekła. Marcin nie opuszczał kuchni, podniecony wizytą nieznanym mu osób. Ciągłe wypytywał babcię, kim są, nieustannie ofiarowywał się z pomocą, a gdy Anna zajrzała tam na chwilę, żeby zrobić sobie herbatę, zastała synka, który z natchnioną powagą ubijał pianę. Poczuli się wykluczona z domowej wspólnoty i była zła na siebie, że ma ochotę zepsuć im nastrój i zabawę. Od rana w duchu potępiała matkę za radosną krzątaninę, ale teraz chciałaby ją naprawdę zgnać, powiedzieć, że musi wyjść, bo ma do załatwienia sprawy w mieście. Planowała to całe przedpołudnie, lecz gdy nadeszła pora obiadu, nadal tkwiła w domu. W końcu doszła do wniosku, że łatwiej będzie jej znieść wizytę Zawadzkich niż rozczarowanie matki i synka, a także ich dzielne miny na wiadomość o tym, że właśnie wychodzi. Poza tym gdzieś głęboko

ukryta drzemała ciekawość. Jak zachowa się Zawadzka w stosunku do niej? Czy wróci do dawnych spraw? Czy spróbuje się dowiedzieć, co się działo po tym, kiedy eskortowana przez pułkownika opuściła jej dom?

Podczas całej wizyty czuła na sobie żółte spojrzenie Zawadzkiej, lecz nie było w nim nic osądającego, niemilego, może troska, może współczucie, a może po prostu sympatia. Traktowała Annę serdecznie, ale bez żadnej poufałości, zupełnie tak jakby nie zdawała sobie sprawy, jaki wpływ na życie dziewczyny miało kilka dni spędzone w Podkowie. Te dni minęły, tak samo jak minęło ponad siedem lat dzielących Annę od tamtego czasu, i tak samo jak przebiegło ćwierć wieku od ostatniego spotkania jej matki z Zawadzką. Każda z trzech kobiet po swojemu przeżywała ten czas, każda wypła czarę goryczy i dziś krzepiła się porcją spokoju. Obie stare kobiety miały sobie sporo do powiedzenia. Wspominały Mariana, dawnych przyjaciół i znajomych, żadna z nich, choć Anna czujnie nasłuchiwała tego nazwiska, nie wymieniła Jana Kuczka. Przy deserze, kiedy już wypła sporo wina, rozluźniła się i zaczęła flirtować z Markiem. W końcu zostawili obie matki i poszli do pokoju Anny na papierosa.

- Masz świetnego synka - rzekł po chwili milczenia, które zapadło, gdy znaleźli się sami.

- Tak, wiem - odparła sucho, wytrzymując zdziwione spojrzenie gościa.

Znów nie sprawdziłam się jako matka, pomyślała, nie wykazałam dostatecznego entuzjazmu dla komplementu. Natychmiast poczuła zniechęcenie i przesyła wizytą tego przystojnego mężczyzny. Zdawało się, że wypełnił pokój tak bardzo, aż zaczyna jej brakować nie tylko przestrzeni, ale i powietrza do oddychania. Pod wpływem takich myśli zazwyczaj traciła ochotę do rozmowy, stawała się odpychająca, a mężczyźni, którzy zwykle podświadomie odnotowywali zmianę jej zachowania, natychmiast rejterowali. On jednak postanowił przetrwać tę chwilę, domyślając się, że ponura pustka, która zagościła na twarzy dziewczyny, może być spowodowana wspomnieniem niedawnej śmierci ojca. Zdecydował, że nie podda się temu nastrojowi. Podszedł do stosu kaset leżących na komodzie i wybrał jedną z nich.

- Mogę włączyć magnetofon? - zapytał grzecznie.

Bez słowa kiwnęła głową. Pokój wypełniły dźwięki romantycznego przeboju Stevie Wondera I just call to say I love you. Rytmicznie wystukiwał nogą takt muzyki. Jasną, sztywną koszulę miał rozpiętą przy szyi. Ukazywała skrawek opalanej, lekko owłosionej klatki piersiowej. Podwinięte rękawy obnażały muskularne ręce. Delikatne dłonie z długimi, smukłymi palcami dodawały tym rękom urody, ale nie odejmowały siły. Anna z zainteresowaniem przyjrzała się jego twarzy. Brązowe oczy, z wyraźnie zaznaczonymi czarnymi źrenicami, rzucały spojrzenia dziwnie podobne do spojrzeń bystrych, żółtych oczu Zawadzkiej. Ładnie zarysowane usta rozchyłały się w uśmiechu, pokazując duże, białe, trochę zbyt szeroko rozstawione zęby. Jasne, krótko ostrzyżone włosy nadawały mu lekko łobuzerski wygląd. W tym momencie, po raz pierwszy od dawna, bliska fizyczna obecność mężczyzny przestała zdawać się Annie zagrażająca, ale przeciwnie, zaczęła ją podniecać. Zwalczyła w sobie chęć przytulenia się do ciała tego estetycznego, budzącego zaufanie mężczyzny i zakłopotana pożądaniem, które tak niespodziewanie się w niej zatliło, zapytała, lekko przeciągając samogłoski:

- A ty masz dzieci?

- Nie mam.

- Twoja żona nie chce? Bo ty chyba lubisz...

Nie dokończyła, gdyż gładka skóra na twarzy Marka jeszcze bardziej się naciągnęła, a mięśnie pod nią zadrżały, jakby dotknęła chińskiego wachlarza.

- Nie mam też żony - odpowiedział natychmiast. Zdziwiła się.

- Wydawało mi się... Pamiętam, że twoja żona była internowana - zaryzykowała powrót do przeszłości.

- Owszem, ale kiedy po roku w internacie wróciła do domu, nie mogliśmy się w ogóle porozumieć. Zresztą, szczerze mówiąc, to była moja wina. - Jego twarz jeszcze bardziej spochmurniała. - Na trzy miesiące przed jej powrotem do domu wdałem się w romans z naszą sąsiadką. Ta kobieta była... to znaczy jest dziesięć lat ode mnie starsza, a mimo to zakochałem się w niej jak sztubak. Właśnie zakochałem, to dobre słowo, byłem zafascynowany, zauroczony, to bardzo znana aktorka... Żona potrzebowała mojego oddania, współczucia, miała ciężką nerwicę, fizycznie była w kiepskiej formie, a ja w każdej wolnej chwili biegłem do tamtej. Nie miałem do żony cierpliwości, nudziły mnie opowieści o tym, jak się żyło w internacie, nie chciałem słuchać dramatycznych historii o jej współtowarzyszkach niedoli. Czułem się z tym podle. Sam działałem przecież w opozycji, a nie umiałem dzielić cierpienia z kimś, kto z tego powodu siedział. Stworzyliśmy sobie nawzajem prawdziwe piekło. Uciekałem z domu, a kiedy wracałem, zaczynały się awantury, wzajemne pretensje, rozmowy, które niczego nie załatwiały, ale jeszcze bardziej gmatwały stosunki między nami. Taka sytuacja trwała wiele miesięcy, ponad dwa lata.

- I co zrobiłeś? - zapytała, gdy przerwał na chwilę. Chciała znać dalszy ciąg nie tylko z ciekawości, ale dlatego, że tak dobrze rozumiała jego postępowanie i rozterki. Z każdym słowem, które wypowiadał, stawał się jej coraz bliższy. Nie umiał się wyplątać z kłamstwa tak samo jak i ona.

- Któregoś dnia, gdy wróciłem po całej nocy spędzonej poza domem, czekała na mnie matka. Świtało, a ona była kompletnie ubrana, chyba wcale nie kładła się spać. Powiedziała, że tak dalej być nie może, nie zniesie dłużej w swoim domu tej zgnilizny. Właśnie tak się wyraziła: zgnilizny - powtórzył z namysłem. - Zażądała, żebyśmy się wyprowadzili, ale zanim to się stanie, abym wyjechał na kilka dni zupełnie sam i dobrze się zastanowił, co chcę zrobić i na czym, na kim mi zależy...

- Twoją matkę zawsze stać na szczerłość - odezwała się z ironicznym podziwem.

Spojrzał na nią zaskoczony tym komentarzem, ale o nic nie zapytał, tylko ciągnął dalej:

- No więc wyjechałem. Spędziłem pięć dni w Kazimierzu. Była późna jesień, poza miejscowymi nie spotykałem nikogo, żadnych turystów, większość knajp zamknięta. Całymi dniami wędrowałem po okolicy, snułem się po wąwozach, gdzie po kolana tonąłem w zgniłych liściach, a ich zapach przypominał mi słowa wypowiedziane przez matkę. Czasem zatrzymywałem się w spichlerzu, żeby wypić kawę lub piwo. Wydawało mi się, że nie myślę o niczym, jednak wróciłem do Podkowy z gotową decyzją.

Wstał na chwilę, żeby zmienić kasetę, która właśnie się skończyła. Anna wodziła za nim wzrokiem, czekając w napięciu na dalsze słowa. Zza zamkniętych drzwi pokoju dobiegały do nich dźwięki ożywionej rozmowy obu matek.

- Na czym skończyłem? - Popatrzył na skupioną twarz dziewczyny i pogłodził ją po policzku.

Uśmiechnęła się lekko i odparła szybko jak uczennica na pytanie nauczyciela:

- Na tym, że podjąłeś decyzję.

- Brawo! - zawołał już zrelaksowany, jakby nawet teraz fakt, że sam ze sobą coś uzgodnił, go uspokajał. - Jak myślisz, co zrobiłem?

- Nie baw się ze mną w kotka i myszkę.

- No skoro prosisz, to ci powiem. - Zaśmiał się i lekko dotknął jej ramienia. Westchnął, ale jego dalsze słowa zabrzmiały nieoczekiwanie mocno. - Poprosiłem Magdę o rozwód, lecz rozstałem się też z Ireną, choć wcale nie miałem na to ochoty. Nasz związek był wówczas w fazie rozkwitu. Uważałem jednak, że muszę w ten sposób postąpić, tak właśnie będzie sprawiedliwie, bo skoro skrzywdziłem moją Bogu ducha winną żonę, której przy mnie zabrakło nie z własnego wyboru, ale dlatego że siedziała za ojczyznę, sam nie mogę pławić

się nadal w szczęśliwym romansie. Zdecydowałem także o wyprowadzce z Podkowy. Nie mogłem bez przerwy tkwić przy matce, mimo że - porozumiewawczo uśmiechnął się do zasłuchanej Anny - udzielała mi samych dobrych rad. Zrobiłem więc jeszcze remont w domu, żeby było jej wygodniej. Nie poznałabyś naszego domu... - To już druga wycieczka w przeszłość, pomyślała z niepokojem. - Wygląda teraz jak prawdziwy dwór. Często spędzam tam weekendy, a w Warszawie wynająłem mieszkanie i od dwóch lat mieszkam sam.

\*

Powinam tu trochę posprzątać, pomyślała, ogarniając wzrokiem porozrzucane wszędzie gazety, kasety i książki, ale nie chciało jej się ruszyć. Poddała się rozmyśleniom jak wioślarz nurtowi rzeki i chciała płynąć dalej.

Dawała sobie radę, gdy była sama, a teraz los podarował jej jeszcze miłość. Za parę dni, już to wspólnie ustalili, zamieszkają razem. Marek przeprowadzi się na Koszykową. Matka go lubi, Marcin za nim przepada. A ja? Czy go Kocham? Nie znalazła odpowiedzi, bo nigdy nie sformułowała własnej definicji miłości. Może była wyłącznie kwestią wiary w uczucie? Autosugestią, której wystarczy się poddać? Kiedyś przecież wydawało się jej, że kocha Michaela. Doprowadziła nawet do rozstania Miki z Watsonem - Smithem. Ale od czasu tej jednej nocy spędzonej z Amerykaninem jakby zawisło nad nią fatum. Może teraz wreszcie w jej życiu wszystko zmieni się na lepsze? Nie potrafiła jednak zaufać przyszłości. Nie umiała pokonać strachu przed tym, co jeszcze może się zdarzyć. Przypomniały się jej słowa Jima, które usłyszała w tamtym życiu: „Zawsze spodziewam się najgorszego i co najgorsze, zawsze mam rację”. Roześmiali się wtedy oboje. Byli do siebie psychicznie podobni. Może teraz, zastanowiła się Anna, jeszcze bardziej niż wtedy, gdy się spotkali. Ciekawe, co się z nim dzieje. Wiedziała, że matka stale utrzymuje kontakt ze swoją siostrą, ale nigdy nie zapytała, co słyhać u kuzyna. Był za blisko Michaela Watsona - Smitha, a on stał się owocem zakazanym.

- Jak najdalej od tej sprawy - doradził jej psychoterapeuta. - Jak najdalej od tej miłości, żadnego pielęgnowania wspomnień.

Po kilku miesiącach terapii trochę się pozbierała po gwałcie. Nigdy nikomu ani słowem nie zdradziła prawdy o swoich przeżyciach w mieszkaniu, w którym uwięził ją pułkownik.

Doktor Waław Jaskier leczył ją z nieszczęśliwej miłości do Amerykanina, który wyjechał z kraju, zanim dziewczyna się zorientowała, że jest w ciąży. Z tego powodu to śliczne stworzenie usiłowało popełnić samobójstwo, wzdychał doktor, ciągle, mimo wielu lat praktyki, dziwiąc się w duchu sile uczuć, która doprowadza ludzi na skraj szaleństwa. W jego opinii miłość była przede wszystkim kwestią doboru seksualnego, mimo to wielu jego pacjentów w starciu z tym uczuciem gubiło własne dusze, zatracalo się w mrzonkach, grzebało zdrowy rozsądek.

Doktor Jaskier jako wybitny specjalista w dziedzinie lawologii - tak nazywał ją na własny użytek, ale miał zamiar wprowadzić to pojęcie do naukowej literatury - sklejał już niejedno rozbite serce. Jednak serce Anny, przyznawał to nawet przed pacjentką, szczególnie trudno poddawało się terapii.

- Trzeba zapomnieć - powtarzał. - Po co wracać do przeszłości? Pani jest na to za młoda, Aniu. Pomyśli pani o tym wszystkim za czterdzieści lat, wówczas będzie właściwa pora na rozpamiętywanie.

Nie odczuwała zbyt boleśnie skutków jego leczenia, więc polubiła swojego psychoterapeutę. Po zakończeniu terapii, której wynik ku jej zaskoczeniu Jaskier podsumował jako średnio zadowolający, utrzymywała z nim kontakty towarzyskie. Wiedziała więc, że kończył właśnie habilitację na temat psychologicznych konsekwencji internowania u kobiet i mężczyzn do trzydziestego piątego roku życia.

- To będzie dla przyszłych pokoleń kopalnia materiału - mówił podczas kolejnego spotkania w kawiarni, wpatrując się w nią płomiennymi ciemnymi oczami. Jednocześnie

zagryzał nerwowo usta, poźółkłymi od nikotyny palcami szarpał się za uszy, brodę, nos, a pod stołem przebierał nogami tak energicznie, że wprawiał w drżenie cały stół. Podczas psychoterapii był uosobieniem spokoju, ale prywatnie z nim spotkanie wymagało sporej odporności psychicznej, bo układ mięśniowy doktora nieustannie pracował w rytmie silnika samochodu. W przyływie szczerości powiedziała mu, że wydaje się nieco zbyt nerwowy i sam być może potrzebuje fachowej pomocy. Uśmiechnął się wówczas wyrozumiale i powiedział:

- Owszem, przyznaję, jestem człowiekiem nadmiernie wrażliwym, więc problemy pacjentów boleśnie odbijają się na moim systemie nerwowym. Często odczuwam te same dokuczliwe objawy co oni.

- I co pan wtedy robi?

- Czekam, aż mi przejdzie, moja kochana, a żeby odzyskać równowagę psychiczną - w tym momencie stół podskoczył niby wskutek wstrząsu tektonicznego, ale to tylko noga doktora, pod wpływem nagłego impulsu, uniosła się do góry - przypominam sobie ulubione kawałki z książek moich preceptorów, Freuda, Junga, a nawet profesora Kępińskiego. To pomaga przenieść emocje w inne obszary i zapomnieć o tym, co w mojej wyobraźni - poźółkły palec doktora powędrował w stronę jego klatki piersiowej - właśnie mi zagraża.

- Czy lecząc alkoholików, pije pan na umór? - zażartowała.

- Rzadko się tego podejmuję. - Jaskier podrapał się po twarzy, a potem pod pachą.

- Dlaczego?

- Widzisz, moje dziecko, moim zdaniem alkoholizm ma dwie przyczyny. Jedną z nich jest genetyka, nie do przecenienia w tej kwestii, a na nią nic się nie da poradzić. Drugą zaś - doktor wyłamywał sobie palce - jest zawiść. Tak nazywa się ten robak, o którym powiada się, że należy go zalać. Kiedy człowiek zaczyna w drugiej osobie widzieć tylko konkurenta do boskiej łaski, bo wątpi, że opatrność obdzieliła ją ludzi sprawiedliwie, zaczyna szukać zapomnienia w alkoholu. A czasem w narkotykach albo hazardzie, niekiedy też w nienawiści do ludzi.

- Mówi pan jak ksiądz - przerwała mu zniecierpliwiona. Nie obchodzili jej inni, pragnęła, żeby mówił o niej.

- No cóż, tak już jest, moje dziecko, że Bóg bywa rozwiązaniem nadspodziewanie wielu problemów. - Westchnął głęboko. - Ale oczywiście masz rację, znów zaczynam nudzić. - Stół gwałtownie drgnął i doktor zamilkł.

- A ja? Co ze mną? Jaką ma pan dla mnie radę?

- Zawsze tę samą. Każde przeżycie, nawet to najgorsze, jakoś w życiu procentuje. Nie wolno tylko pozwolić, by obrosło lękiem i poczuciem winy...

W pełni doceniała fakt, że nikt nie znał jej najgłębiej strzeżonej tajemnicy z przeszłości. W tej sprawie dzięki kłamstwu wyprowadziła doktora Jaskiera w pole - tak jej się przynajmniej zdawało. Odczuwała wielką ulgę na myśl, że nikogo z jej bliskich nie dręczy pytanie, które stale do niej powracało: Czy Marcin został poczęty z miłości, czy w momencie wszechogarniającej nienawiści? Te dwie chwile, według wskazówek zegara, dzieliło zaledwie kilka godzin, ale jej prywatny czasomierz wskazywał całe wieki. Wtedy jej świat przełamał się na pół, a ona utkwiała w jego gorszej, zrujnowanej części.

Była tak pochłonięta własnymi myślami, że nie usłyszała wejścia Marka.

- Potrafisz się skradać - powiedziała z irytacją, gdy pochylił się, żeby pocałować ją na powitanie.

- Miałem nadzieję, że bardziej ucieszysz się z mojego powrotu. - Rozczarowanie zgasiło uśmiech na jego twarzy, więc błyskawicznie zmieniła ton.

- Martwiłam się, że nie ma cię tak długo... Tęskniłam. - Przytuliła się do niego, obserwując jednocześnie, jak pod wpływem jej słów i gestów z kącików ust Marka znika gorzki grymas. - Opowiedz, jak było i co załatwiłeś.



- Teraz nie mam ochoty mówić o moim medialnym biznesie, choć oczywiście będzie stanowił podstawę naszej egzystencji.

- Z frontu ideologicznego przenosimy się na pozycje kapitalistyczne - zaśmiała się i klasnęła w dłonie, jakby dla podkreślenia wyjątkowości takiej przemiany.

- Gdyby to było takie proste - westchnął. - Ale proszę, nie mówmy o tym, nie teraz. Zaraz otworzę butelkę, bo chcę coś z tobą uczcić.

Ledwie znikł w kuchni, zadzwonił telefon. Znowu matka. Czy ona, pomyślała Anna z nagłą irytacją, musi ścigać mnie telefonami? Czy nie może zostawić mnie w spokoju?

- Dzwoniła twoja dawna przyjaciółka, Mika - zameldowała matka bez żadnych wstępów. - Pamiętasz?

- Oczywiście. I co? - Anna poczuła, że ogarnia ją fala niezrozumiałego niepokoju, ale nie dała tego po sobie poznać.

- No, nic - odparła matka z wahaniem. - Zadzwoni wkrótce... To dziwne, że tak nagle sobie o tobie przypomniała.

Ma złe przeczucia, pomyślała Anna, tak samo jak ja nie lubi wracać do tamtych czasów, ale jakby próbując udowodnić matce, jak bardzo nieistotna wydaje się cała ta sprawa, zapytała tylko:

- Marcin zasnął?

- Tak. Dobranoc. - Głos zabrzmiał obco.

- Dobranoc, mamo. Nie martw się - dodała Anna, już odkładając słuchawkę.

Czasem chciałaby okazać matce więcej czułości i serdeczności, zasługiwała na to. W ogóle jestem niedobra dla ludzi, pomyślała. No może nie zła, ale nieczuła, jakby zamarzła mi dusza. Muszę się zmienić.

Nie miała czasu na dalsze ekspiacje, bo wszedł Marek z tacą, na której stała otwarta butelka wina i dwa napelnione już kieliszki. Odczuła przypływ ciepłych uczuć. Ten jeszcze do niedawna obcy mężczyzna tak bardzo starał się do niej zbliżyć, że czasem udawało mu się przesunąć granicę, jaką wyznaczyła sobie w ich wzajemnych stosunkach.

## Rozdział IV

W połowie listopada, tak jak Marek zaplanował, redakcja tygodnika „Start” została otwarta. Teraz nadszedł czas najgorętszej pracy nad ostatecznym przygotowaniem nowego pisma. Koncepcja była gotowa, ale na graficzne opracowanie, zrobienie przynajmniej jednego zerowego numeru i wydanie pierwszej edycji tygodnika pozostały zaledwie dwa miesiące. Do pobicia był więc rekord świata w szybkości wprowadzenia pisma na rynek. Marek czuł się niemal liderem drużyny olimpijskiej, która ubiega się o złoty medal.

Pracował jak szalony, spędzając czas w redakcji od świtu do nocy, jednocześnie poganiał zespół do roboty jak ekonom. W jego mniemaniu teksty od dziennikarzy spływały za wolno, graficy się ociągali, a redaktorzy nie wykazywali dostatecznej inicjatywy. Zdarzało się, że przed północą zwoływał zebranie, na które w ciągu dnia nie znaleźli wolnej chwili. Wydarzenia w kraju przeżywającym systemową przemianę toczyły się z lawinową szybkością, a oni musieli cały czas trzymać rękę na pulsie. Kiedy jakiś dziennikarz zapowiadał, że wychodzi z redakcji coś zjeść, Marek okazywał zdziwienie taką stratą czasu. Pracownicy żartowali z niego: „Nie je, nie pije, a chodzi i bije”. A on działał jak w transie.

Za każdym razem, gdy wczesnym rankiem, bo o tej porze zwykle zaczynał pracę, mijał wielki sztyl z napisem „Start”, odczuwał dumę. Jak co dzień wspinał się w górę po starych poobijanych schodach.

Wkroczył do lśniącej czystością, świeżo odmalowanej na żółtawy kolor hali. Pod ścianami stały ustawione w rzędzie biurka, a na większości z nich dumnie lśniły komputery. Cały ten ład był jednak pozorny, bo po bliższym przyjrzeniu się zauważył porozrzucane gazety, notatki na powyrywanych kartkach, walające się zdjęcia. Niedbałość pracowników wprawiała go w złość, a jednocześnie wywołała nagłe wzruszenie. Dziennikarze byli jak szarańcza, wszędzie pozostawiali ślady zniszczeń, ale ten bałagan był dowodem, że zaczął się dla nich czas pracowitych zbiorów. Rzuciły mu się w oczy przytwierdzone pinezkami do błyszczących politurą półek karteczki, na których widniały jakieś daty, godziny, nazwiska z numerami telefonów. Na jednej z nich, odbitej na kserokopiarce, przeczytał: „Za miesiąc godzina zero”. Odebrał to jako nieoczekiwane memento, przypomnienie faktu, że dokładnie za trzydzieści dni ma wydać zerowy numer tygodnika, a w połowie stycznia 1990 roku do kiosków powinien trafić nakład nowego pisma „Start”. Niektórzy uważali tytuł za dziwaczny, ale nie chciał ustąpić.

- Ten tytuł byłby dobry dla pisma sportowego, ale nie dla poważnego tygodnika - przekonywała go Anna.

- Start oznacza początek drogi - bronił się - a my właśnie w tym miejscu się znaleźliśmy. Nie tylko w redakcji, ale i w kraju zaczynamy wszystko od nowa.

Drażniło go, że z dystansem odnosiła się do wielu pomysłów, a przede wszystkim, tak to odczuwał, wąpiła w jego edytorskie umiejętności. Bolesnie zapadły mu w pamięci słowa, że nie ma pojęcia o wydawaniu prawdziwej gazety, a doświadczenie polegające na redagowaniu konspiracyjnej prasy uważała zaledwie za „złopek dla wydawcy”. Zdawała mu się wówczas przemądrzała, a z faktu, że otarła się o zachodnie redakcje, czyniła sobie tytuł do chwały.

- Wszystko zależy od tego - odpowiadał jej oburzony - jak kto chce wykorzystać swoje doświadczenie, jakie ma intencje. Twój stary na przykład wykonał umiejętny manewr i z zachodniej wolności prasy zrobił społeczne narzędzie tortur.

Wówczas milkła i nie chciała już więcej rozmawiać. W głębi duszy przyznawał, że dziennikarskie szlify Anny, jej znajomość języków, a także zachodnie kontakty, które mogłaby odnowić, bardzo by się przydały, ale nie chciał jej prosić o pomoc. Pragnął udowodnić, że wbrew jej wątpliwościom potrafi stworzyć imperium prasowe. Na razie jednak miał wyłącznie problemy. Nie podpisał jeszcze umowy z drukarnią, nie załatwił dystrybucji pisma, ale przede wszystkim głowił się nad finansami.

Jak dotąd dla pierwszego numeru biuro reklamy, które składało się z dwóch osób, także kumpli z dawnych lat, mających świetne rozeznanie w podrzucaniu ulotek, ale niewielkie doświadczenie w tym biznesie, zebrało dosłownie trzy, i to kiepsko płatne ogłoszenia, wydarte zresztą towarzyskim szantażem z gardeł znajomym z sektora prywatnego. Państwowe firmy, korzeniami wrosnięte w poprzedni system, nie były zainteresowane daniem reklam, zresztą nie odczuwały takiej potrzeby. I tak produkowały za mało i ledwo wiązały koniec z końcem. Krajowy prywatny biznes był w powijakach, a właściciele zainstalowanych na ulicach łóżek polowych, na których rozkładali sprowadzony przez siebie z zagranicy towar, nie mieli potrzeby się ogłaszać. Łózkowe dobra w mig znajdowały klientelę. Będzie można, uważał, liczyć w przyszłości na zagraniczne firmy, ale one dopiero zaczęły przysyłać do Polski swoich pierwszych wysłanników w celu przewąchania sytuacji, która nawet dla entuzjastów ustrojowej przemiany przedstawiała się mało obiecująco.

Dramatycznie brakowało pieniędzy, system finansowy państwa znajdował się w kompletnej zapaści. Każdy, kto miał głowę na karku i odpowiednie możliwości, usiłował zagrabieć dla siebie, co jeszcze się dało, tym bardziej że wiele zakładów nie miało z czego wypłacić pracownikom pensji. Sytuacja wymykała się spod kontroli. Nie tak to sobie wyobrażał. Radosny pochód do wolności, którego wizję pielęgnował przez lata w marzeniach, w rzeczywistości przypominał pełen niepokoju marsz frustratów. Sam czasem z przerażeniem myślał, że to państwo zginie, porozrywane na części przez sępy, które nadlatywały, choć ofiara jest jeszcze żywa. W takich momentach sam sobie wydawał się szaleńcem, beztronsko trwoniącym własną i cudzą fortunę na niemożliwy do zrealizowania projekt.

A jednak odczuł ulgę na myśl, że kilkunastu tysięcy dolarów, które pozostały mu jeszcze z ponad dwustu, jakie zebrał od osób prywatnych, z kredytów oraz objeżdżając zachodnie izby wydawców i organizacje działające na rzecz wolności mediów, nie zamienił na złotówki. Od siostry z Ameryki, której od niedawna zaczęło się całkiem dobrze powodzić, pożyczył ostatnio pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Matka wysupłała wszystkie zaskórniaki i sprzedała rodową biżuterię, która zakopana w ogrodzie przetrwała wojnę, a potem stalinizm.

- Nie rób tego, mamó - prosił, gdy oznajmiła mu swój zamiar. - Nie spieniężaj wszystkiego tylko po to, żebym mógł spełnić swoje marzenia.

- Gdyby chodziło tylko o realizację twoich marzeń, sprzedałabym najwyżej kocię babki Małgorzaty - stwierdziła beztronsko Zawadzka. Jej drobna postać ginęła w wielkim fotelu. Na chińskim stoliku obok leżało lustro w srebrnej oprawie, kilka szminek, puder oraz kartki z zapisanymi na nich słupkami cyfr. - Jednak przyszła taka pora, że trzeba pomóc krajowi oczyścić się z łgarstwa. Mam nadzieję, że temu będzie służyć ta twoja gazeta, bo jeśli nie, poproszę o zwrot wszystkich pieniędzy, które zainwestowałam, i to z procentami. - Pogroziła mu żartobliwie. - A może wyjść z tego całkiem niemiała suma. Wszystko już podliczyłam, na szczęście złoto i szlachetne kamienie mają teraz wzięcie, jak zawsze w okresie kryzysu.

- Nie masz do mnie zaufania, mamó?

- Oczywiście, że mam, inaczej nie weszłabym ze swoimi pieniędzmi w ten interes. - Żółte spojrzenie zawisło na jego twarzy. - W życiu jednak różnie bywa. Dlatego daję ci to do podpisania. - Otworzyła torebkę z obdrapanego krokodyla, którą trzymała na fotelu obok siebie, i wyjęła z niej spory papier. Wręczyła go synowi.

- Co to jest? Weksel? - poczuł się urażony.

- Raczej cyrograf. Zobowiązanie - odparła, podając mu długopis, a jej syn pomyślał, że jak zwykle jest przygotowana na wszystko. - Z doświadczenia wiem, że człowiek różnie zachowuje się w życiu. Ulega, podporządkowuje się, usprawiedliwia przeszkodami nie do pokonania i w końcu idzie na łatwiznę. Sama, jak wiesz, dużo przeszłam i... - spojrzała na niego filuternie - sporo mam na sumieniu. Dlatego uważam, że zawsze dobrze jest wiedzieć, czego się trzymać, a ty będziesz miał wypisane wszystko czarno na białym. Nieźle to wymyśliłam, prawda, synku? - Znów uśmiechnęła się do niego pociemniałymi zębami, a on

poczuł, że kocha swoją starą najbardziej na świecie. Postanowił jednak, że nie okaże jej tego w żaden sposób. Inaczej, pomyślał, kompletnie wejdzie mi na głowę.

Ostatki magnackiej fortuny trzymał więc na czarną godzinę, tymczasem spirala inflacji coraz bardziej się rozkręcała. Zastanawiał się, jak ustalić cenę tygodnika, skoro niemal z dnia na dzień ceny rosły. Pieniądze wypływały mu z kieszeni jak woda. Papier, który nadal był towarem reglamentowanym, sprowadzał z zagranicy i kupował na lewo za bajońskie sumy. Magazynował go w wielkiej fabrycznej hali i ciągle był nękany przez kontrole, które odpowiednio opłacane nie spisywały protokołów ze swoich wizyt. W zasadzie ciągle ktoś wyciągał rękę po pieniądze. Działał przecież na granicy ciągle jeszcze obowiązujących przepisów prawa prasowego i aby je ominąć, „Start” formalnie miał funkcjonować jako tygodniowy, kilkudziesięciostronicowy biuletyn fundacji Wolność i Demokracja. Takie usytuowanie pisma mogło wywoływać kłopoty z jego dystrybucją w kioskach, ale nauczył się już omijać biurokratyczne przeszkody. Każda najdrobniejsza sprawa dotycząca tygodnika wymagała morderczej walki. Z zaciśniętymi zębami brał w niej udział, uważając, że nadeszła wreszcie pora, aby Polacy zaczęli oswajać się z wolnym słowem, przestali traktować je jak podziemny luksus.

W dzień udawał bohatera, ale niemal co noc budził się zły potem ze strachu przed odpowiedzialnością za losy ludzi, których wciągnął w swoje przedsięwzięcie. Dziennikarze pracowali za minimalne wynagrodzenie, a tyrali ciężko. Sami odnowili hale fabryczne i przystosowali na redakcyjne pomieszczenia, jednocześnie pracowali nad wypracowaniem kształtu i treści gazety, uczyli się posługiwania komputerami. Gdy czuł, że zespół ogarnia zwątpienie, stawiał alkohol i do późna w nocy przekonywał, że się uda, że w żadnym wypadku nie wolno się im poddać ani zrezygnować.

- Tamci - mówił, wykonując zamaszty ruch ręką - tylko czekają na naszą klęskę. Żeby ją opisać, już wyciągnęli powielacze - mówił, wywołując chichot słuchaczy. Dowcipkował, dwoił się i troił. Czasem miał wrażenie, że uwodzi własnych ludzi niczym kokietka na bankiecie. - Będziecie mogli wszystko wydrukować, wyłożyć całą prawdę czarno na białym. Żadnej cenzury, żadnego, kurwa, towarzysza z KC, żadnego pisania pod dyktando. Zobaczycie, zrobimy najlepszy tygodnik w kraju, a dziennikarze z „Time'a” albo „Spiegla” będą do nas przyjeżdżać po nauki. Otwórz szampana, Stasiu! - wołał do swojego zastępcy, który natychmiast sprawiał, że korki butelek Sowietskoje Igristoje wylatywały w powietrze. - Na pohybel cenzurze, niech żyje wolne słowo!

Powtarzali za nim okrzyki, a on wsłuchiwał się w ich ton, czy brzmia dostatecznie entuzjastycznie, czy nie pojawia się w nich nuta zwątpienia lub rozczarowania. Potrzebny mu był zapal kolegów jak z czasów powojennej odbudowy i musiał go z nich wykrzesać, choćby posługując się tymi samymi co komuniści metodami, propagandą sukcesu.

Zwoływał zebranie za zebraniem, wpadał do redakcyjnej hali, poganiając wszystkich do roboty, z grafikami ustalał makietę pisma i wyklócał się z nimi o wielkość tytułów, po czym zamykał się w gabinecie, by przeczytać stos tekstów do numeru zerowego. Ale był zadowolony z tego nadmiaru zajęć, niekończącej się harówki, która oddalała od niego niemiłe myśli.

W biznesie nie szło mu zbyt dobrze, choć i tak lepiej niż z Anną. Czasem czuł wielkie znużenie swoją do niej miłością. Nie rozumiał, dlaczego dziewczyna mu się wymyka, ucieka od niego w popłochu, nie chce albo nie umie po prostu ulec, zatopić się w intymności jak w kapsule ratunkowej. Kiedy się jej oświadczył, był pewien, że bez żadnych wahań, a może nawet z radością zgodzi się zostać jego żoną. Kochał ją, ale przecież powinna realnie oceniać swoją szansę na zamążpójście. Była atrakcyjną kobietą, jednak przekroczyła już trzydziestkę, miała dziecko, które samotnie wychowywała i nigdy nie wspominała o jego ojcu. W jej przeszłości kryła się jakaś tajemnica, której nie potrafił odgadnąć. Czasem, gdy zbyt wyraźnie uciekała od wspomnień, ogarniał go niepokój. Stary Leski był na usługach komunistów, kto

wie, w co ją wplątał? W co oni wszyscy byli wplątani? Stosunki rodzinne u Leskich, nawet w przypadkowych opowiadaniach Anny, wydawały się dziwne. Tymczasem spokojnie wysłuchała jego oświadczeń i bez chwili namysłu powiedziała:

- Wydaje mi się, że za krótko się znamy. Taka decyzja wymaga czasu.

- Nie mam zamiaru żenić się z tobą, dopiero jak będę na emeryturze - próbował żartować, ale czuł się tak, jakby otrzymał niespodziewany cios w szczękę. - Zastanów się, kochanie, tak bym chciał, żebyśmy byli razem.

- Przecież jesteśmy - odparła przytomnie.

Podszedł do niej i mocno ją do siebie przytulił. W oczach czuł łzy, w gardle ucisk. Nie chciał prosić, ale błagał o zgodę jak o łaskę. Jej wahanie pogłębiało jego rozpacz, żądał wyjaśnień, domagał się argumentów. Jednocześnie czuł, że zachowuje się tak wbrew sobie, wbrew własnemu rozsądkowi, a nawet zasadom, ale nie umiał przestać. Zasypywał ją słowami, przekonywał, kusił obietnicami, w których spełnienie sam nie wierzył. W końcu posiadał ją nieszczęśliwy i upokorzony, próbując w ten sposób pokonać opór dziewczyny. Wreszcie, kiedy opuszczała jego dom, aby powrócić do własnego, pocałowała go na pożegnanie i przytulając swój policzek do policzka Marka, wyszeptala mu wprost do ucha:

- To nie jest odmowa, kochanie, to tylko prośba o więcej czasu.

Odsunął ją od siebie i spojrzał prosto w twarz. Jej uroda wydała mu się porażająca, lecz zafalszowana, takie bywają podrabiane portrety wielkich malarzy. Rysy Anny przypominały trójkątne oblicza kobiet Modiglianiego, ale w jej oczach nie odnalazł lirycznego spojrzenia dam z obrazów mistrza. Od tamtej rozmowy minęło kilka tygodni i już zamieszkał razem z Anną na Koszykowej, lecz czasem powracało przerażające poczucie straty, które nim wówczas owładnęło. Utracił pewność, że są dla siebie stworzeni. Czasem stawał się zazdrosny, podchwytliwymi pytaniami usiłował wytropić nieistniejącego rywala.

\*

- Panie redaktorze - usłyszał głos swojej sekretarki, która zawiadamiała go o terminie kolejnej narady na temat wolnych mediów. Na razie, pomyślał, można je policzyć na palcach jednej ręki. Dał znak sekretarce, że informacja do niego dotarła.

Katarzyna Rostocka była matką jednego z opozycyjnych kolegów, wspierała całą ich grupę w czasach stanu wojennego, wskutek czego już kilka lat temu straciła państwową posadę. Teraz urzędowała w przystosowanej do potrzeb sekretariatu niewielkiej niszy. Kiedy zobaczyła swój pokój po raz pierwszy, stwierdziła, że ledwo starcza w nim miejsca na biurowy spinacz, ale błyskawicznie zrobiła z niego eleganckie biuro. Jej energia i stanowczy sposób bycia bardzo przydawały się w momentach słabości, które niekiedy spadały na Marka. Zwracała się wówczas do niego po imieniu i nie przebierając w słowach, mówiła:

- Bierz dupę w troki i do roboty. Macie szansę, jakiej moje pokolenie nigdy nie miało. Nie pozwolę, żebyście ją zmarnowali przez inteligentne rozdrapy. Jest trudno, zgoda, będzie jeszcze trudniej, ale wszystko zależy od was.

- Łatwo pani mówić, jak tu wszystko się wali - odpowiadał rozgoryczony.

- Mnie jest łatwo? Mnie?! - Nie posiadała się z oburzenia. - Ja przez czterdzieści lat miałam socjalizm w dupie, a on mnie z wzajemnością. Jak teraz mogę wreszcie wyjść na ludzi, to wy chcecie zrezygnować.

- Kto tu mówi o rezygnacji? Czy człowiek nie może od czasu do czasu mieć wszystkiego dość? - bronił się oburzony.

- Wsadź chuja do lodu, to nabierzesz więcej energii - doradzała i wychodziła, niemal trzaskając drzwiami.

Poza momentami szczerych rozmów, które odbywały się między nimi co kilkanaście dni, była nie tylko kompetentną sekretarką, ale i prawdziwą damą. Czasem nie wierzył sam sobie, że ta niezwykle uprzejma i dobrze wychowana kobieta, podejmująca jego gości niczym first lady, jeszcze przed godziną posługiwała się słownictwem jak z rynsztoka.

Rostocka miała ponad sześćdziesiąt lat, a mimo to, wzdychał, jak każda kobieta była nieprzewidywalna. Zresztą jego matka, lat siedemdziesiąt i pięć, też potrafiła dać dobre popalić i nigdy nie miał pewności, czego się może po niej spodziewać. A Anna? Jej zachowanie tak często wydawało mu się kompletnie irracjonalne. Podparł głowę rękami i przez chwilę rozgryzał ten problem. Kobiecość nie podlegała żadnym regułom i wymykała się logice, to dobrze wiedział z doświadczenia, ale mimo wszystko szukał sposobu, jakiegoś klucza, który pozwoliłby mu przynajmniej w momentach krytycznych przekręcić zamek we właściwą stronę.

Sekretarka zapukała do drzwi i w progu zameldowała, że czeka na niego umówiony gość.

- Kto to jest? I czego chce, do cholery? - zapytał niechętnie, podnosząc głowę z nadstosu papierów.

Tym razem znów spuścił głowę. Rostocka była bowiem w jednym ze swoich najbardziej wytwornych nastrojów.

- Ta pani czeka już od kilku minut, aby pan ją przyjął, panie redaktorze - powiedziała, starannie modulując głos. - Jest zainteresowana pracą w „Starcie”.

- Jak się nazywa? - zapytał bardziej z grzeczności niż z zainteresowania.

- Mirosława Chrzęszcz - odparła sekretarka nienaganną dykcją, zupełnie jakby ćwiczyła zdanie „Chrzęszcz brzmi w trzcinie”. - Czy mogę poprosić gościa do pańskiego gabinetu?

- Za parę minut. Teraz jestem zajęty. Nie widzi pani?

- Oczywiście. Kiedy tylko przyjmie pan gościa, natychmiast podam kawę - odbiła piłeczkę, bo o kawę prosił już dobrych kilka chwil temu. Do tej pory jeszcze nigdy nie udało mu się wyjść zwycięsko z potyczki z własną sekretarką. Wszystko przede mną, pomyślał ubawiony i pochylił się nad tekstami.

Była to część pracy, którą najbardziej lubił, choć w jego umyśle matematyka z trudem się mieściła, że ludzie potrafią pisać poprawnie, a nawet pięknie, ale na bakier z logiką albo nawet faktami. Nieubłagane tropił w tekstach dziennikarzy każdą nieścisłość, każde odstępstwo od żelaznej informacyjnej reguły na rzecz błyskotliwego porównania lub wyjątkowej metafory. Dziennikarze z powodu jego komputerowej precyzji, a także pasji, jaką darzył produkty Macintosha, przezywali go najpierw Jabłuszkiem, potem otrzymał ksywkę Profesor, a wreszcie na stałe przyłgnęło do niego przezwisko Big Mac. „Jestem dla nich kimś między hamburgerem a dojną krową” - żartował. A oni pokpiwali z jego bogoojczyznianych pouczeń, które chętnie powtarzał przy różnych okazjach.

- Pracujemy na zachodnim sprzęcie - mówił z pewnym patosem. - Wzorujemy się na zachodniej demokracji, ale musimy zadbać o to, żeby myśl pozostała krajowa. Inaczej zniszczymy to, co najbardziej się liczy, własną odrębność, styl. Chodzi o demokrację, o naszą własną jej edycję, a nie o schemat do globalnego powielenia.

Pracownicy, choć kpili z drobnych obsesji naczelnego, darzyli go szacunkiem. Miał charyzmę - to przyznawali nawet ci, których w szybko mijających atakach wściekłości potrafił zbesztać, nie licząc się ze słowami.

- Kurwa! - wrzeszczał na cały głos, a zapisane kartki sfruwały jedna po drugiej z jego potężnego biurka, które zajmowało pół gabinetu. - Nie będę czytał tego gówna, bo obraża moją inteligencję. Promille to nie jest jedna setna całości, ale jedna tysięczna. Go za dureń to napisał? Pół litra z setką nie pomyli, ale kuter z tankowcem mu się popieprzy.

Po kilkunastu minutach czytania tekstów przypomniał sobie wreszcie, że ktoś na niego czeka. Zdziwił się, że sekretarka nie nalega na przyjęcie gościa. Wyszedł więc z gabinetu i zobaczył Rostocką zatopioną w pogawędce z młodą kobietą, ubraną z rzucającą się w oczy, nieczęstą w tym kraju wytwornością. Przypominała typ luksusowej bizneswoman, jakie widywał podczas zagranicznych wyjazdów. Pociągnął nosem i wyczuł woń wyrafinowanych

perfum. Na jego widok kobieta wstała, pewnym, mimo bardzo wysokich obcasów, krokiem podeszła do Marka i wyciągając dłoń na powitanie, powiedziała niskim, gardłowym, seksownym głosem:

- Nie wiem, czy pan mnie pamięta, panie redaktorze, ale poznaliśmy się dawno temu, w początkach stanu wojennego. Byłam gościem w pańskim domu, w Podkowie Leśnej. Przyjechałam z Anną i dwoma Amerykanami. Nazywają mnie Mika.

- Oczywiście, pamiętam - skłamał w przekonaniu, że powiedział prawdę. Przecież nie mógłby zapomnieć tak atrakcyjnej kobiety. W pamięci kołatały mu się wprawdzie strzępki wspomnień z tamtej wizyty, ale nie umiałby ułożyć z nich żadnego sensownego obrazu. Tym bardziej że dziewczyna, której postać kojarzyła się z Miką, wyglądała jakoś inaczej.

## Rozdział V

Życie Miki po wyjściu za mąż nabrało fosforyzującego blasku. Ślub odbył się cztery lata temu. Mika dokładnie pamiętała sylwestrową noc 1985 roku, którą przetańczyła na własnym weselu w pałacu w Wilanowie. Zanim jednak została żoną Pawła, co stanowiło, jak się wydawało, cezurę w życiu oddzielającą ją od złych czasów, przeżyła wiele trudnych dni.

Po rozmowie z Janem zaniechała wszelkich prób nawiązywania kontaktu z byłym kochankiem i dawnym środowiskiem. Zapisła się na studia doktoranckie i zatrudniła na pół etatu w bibliotece. W wolnych chwilach zabijała czas włóczęństwem po ulicach. Stare przyjaźnie straciła, nowych nie nawiązywała, mimo że parę osób próbowało się do niej zbliżyć. Czuła się samotna jak wyrzucony na bruk kundel, który straciwszy wiarę w ludzi, woli się tułać, niż zaufać nowemu panu.

Dużo myślała o sobie, o przeszłości, o swojej miłości do Michaela. Kiedy dostała od niego list niedługo po wyjściu z więzienia, na chwilę odzyskała nadzieję. Po raz pierwszy od wielu miesięcy, gdy otwierała kopertę, jej serce zabiło żywiej, ale nie na długo. List, po którym tak wiele oczekiwała, bardzo ją rozczarował. Była w nim przyjazna serdeczność, zainteresowanie dla jej dalszych losów, ale nic więcej, żadnych wyznań, żadnej emocji. Tylko jeszcze zwykłe podziękowanie za to, co zrobiła, pytanie, jak można pomóc. „Bill Cameron z ambasady amerykańskiej, myślę, że go pamiętasz, przekaże ci każdą sumę, jakiej zażadasz” - pisał bez sensu, nie przypuszczając nawet, że obchodzi się nie tylko bez pieniędzy, ale i bez towarzystwa, że żyje, jakby poddali ją hibernacji. Włożyła list z powrotem do koperty i schowała na samym dnie szuflady biurka. Nie odpisała, bo zdania, które układały się jej w głowie, absolutnie nie pasowały do obojętnego tonu jego słów.

W swoich wędrówkach zwykle docierała do tego samego celu, małej, umeblowanej antykami kawiarni. Po długim zimowym spacerze miło było posiedzieć w stylowym wnętrzu, tak bardzo odcinającym się od zewnętrznej brzydoty ulic, i przez wielkie okno pogapić się na zabieganych przechodniów. Kiedy trafiała do kawiarni około siedemnastej, zazwyczaj spotykała tam Mariana Leskiego. Czytał gazety, popijając herbatę z cytryną i zjadał dwa ciastka. Mniej więcej po godzinie opuszczał kawiarnię. Zorientowawszy się w jego obyczajach, zaczęła, sama nie rozumiejąc dlaczego, pojawiać się tam o podobnej porze. Któregoś dnia, jakby dopiero do niego dotarło, że widuje dawną przyjaciółkę Anny, uklonił się. Uśmiechnęła się do niego życzliwie. Łączyła ich samotność, polityczne urazy nie miały znaczenia.

Zaczęli dosiadać się do swoich stolików, w zależności od tego, które z nich przyszło pierwsze. Prowadzili długie rozmowy o sytuacji politycznej w Polsce, Leski dzielił się z nią swoimi przemyśleniami i obawami. Słuchała uważnie, bo właściwie po raz pierwszy zdarzyło się jej rozmawiać z kimś, kto będąc wyznawcą i obrońcą reżimu, wyrażał rozczarowanie działaniami swoich towarzyszy. Nadal był socjalistą, ani przez chwilę nie wyrzekł się swoich lewicowych poglądów, ale przestał ufać systemowi i jego ludziom.

Po codziennej dawce polityki najpierw ostrożnie, a potem z coraz większą otwartością zwierzała się sobie z intymnych spraw. Każda rozmowa nieuchronnie zmierzała do tego samego, wcześniej czy później padało w niej nazwisko Jana Kuczka. Oboje mieli powody, żeby go nienawidzić. Leski winił Kuczka za śmierć Michała, bo przecież to on właśnie stał za odmową paszportu dla jego jedyne, ciężko chorego syna. Teraz jasno widział, że pułkownik bawił się nim jak pionkiem na szachownicy, a on poddawał się jego mistrzowskim zagraniam. Mika oskarżała Kuczka o spisek przeciw Amerykanom. Czasem, gdy długo rozmawiali z Leskim o przeszłości, miała wrażenie, że pułkownik towarzyszy im przy wspólnym stoliku. Opuszczając kawiarnię już po zmroku, oglądała się za siebie, bo wydawało się jej, że idzie za nią krok w krok, tylko czekając na okazję, aby znów zburzyć spokój, który z takim trudem odbudowała. Ogarniało ją wówczas śmiertelne znużenie, nie miała już ochoty z nikim o nic walczyć.



Pewnego kwietniowego dnia 1985 roku wspólnie zaczęli się zastanawiać, co stało się z pułkownikiem. Całkiem niedawno jeszcze jego fotografie zajmowały pierwsze strony gazet, był stale obecny w radiu i w telewizji. Cytaty z ostrych i dowcipnych wypowiedzi Kuczka ukazywały się we wszystkich mediach. Nie awansował, ale jego faktyczna władza stale rosła, a teraz nagle jakby zapadł się pod ziemię.

- Ciekawe, co się z nim dzieje - zaczął Leski.

- Może bawi za granicą? - podpowiedziała kpiąco.

- Bardzo wątpię - wypowiadał słowa z namysłem. - Janek nie wyjechałby na dłużej, to nie w jego stylu, bałby się, że go podgryzą, że straci pozycję. Ma wielu wrogów, nawet w swoim środowisku. Wie o tym, jest bardzo przebiegły. Za tym wszystkim musi się kryć coś innego.

- Ty wiesz lepiej, znasz ich - ironicznie skwitowała jego rozważania.

Kilka dni temu przeszli na ty, wypijając przy tym po kieliszku paskudnego, kwaśnego wina.

Któregoś popołudnia Marian wpadł do kawiarni spóźniony i zdenerwowany. Spotkał się z żoną, która według jego słów była w zupełnej desperacji. Marcinek ciągle chorował, a Anna wcale się nim nie zajmowała, nie podejmowała żadnej pracy, całe dni spędzała beczynnie w domu, nie odpowiadała na coraz rzadsze telefony od znajomych. Domowe finanse były w oplakany stanie. Po rozmowie z żoną pojechał do wydawnictwa, które od dawna namawiało go na tłumaczenia książek, i podpisał umowę.

- Muszę im pomóc - stwierdził krótko.

Zapadło milczenie. Mika czuła się zakłopotana. Fakt, że dawna przyjaciółka zachowuje się podobnie do niej, także nie umie się odnaleźć po tamtych wydarzeniach, poruszał ją, a jednocześnie wywołał irytację. Były do siebie podobne, więc może Michael miał prawo kochać je obie?

Ech, co tam Michael, jaka jest głupia, że ciągle powraca do niego myślami. Stał wtedy tyłem do okna, opierał się o parapet, w ostatnich promieniach zachodzącego słońca wydawał się jeszcze wyższy. Uśmiechał się do niej, błyskając zębami jak wojownik egzotycznego plemienia, zielonkawe oczy spoglądały na nią pożądliwie. Poczula się dziwnie onieśmielona, a on na widok jej rozanielonej, niezbyt rozgarniętej miny zawołał:

- Mika, chodź do mnie szybko!

Podeszła niepewnie. Otworzył ramiona i przytulił ją do siebie. Od razu odzyskała poczucie bezpieczeństwa.

- Teraz wiem - wymruczała - że jestem we właściwym miejscu.

- To ja - odpowiedział z wielką czułością - będę zaraz w tym najbardziej właściwym. - Błyskawicznie wsunął się w jej gorące i wilgotne wnętrze.

Po długiej chwili milczenia, w czasie której wyobraźnią wracała do przeszłości, usłyszała, że Leski mówi głosem pełnym napięcia:

- Wczoraj wieczorem spotkałem się z kolegą, byłym dziennikarzem, który teraz pracuje w wydziale prasy, i dowiedziałem się czegoś niesamowitego.

Natychmiast powróciła na twardy grunt. Co za nonsens z tym wspomnianiem, zganiała się w myślach.

- Tak? - zapytała, podnosząc głowę. W głębi jej oczu zgasła ostatnia iskra, a spojrzenie znów pociemniało.

- Kuczek jest uważany za pomysłodawcę i głównego organizatora spisku na życie księdza...

- Ale przecież był proces, skazali winnych...

- Nie bądź naiwna, Mika. Kto inny działa, a kto inny pociąga za sznurki. Tak jest zawsze, oskarża się sprawców, a mocodawcy pozostają w ukryciu.

- No jednak niezupełnym - stwierdziła lekko urażonym tonem, bo poczuła się dotknięta, że Leski nazwał ją naiwną. - Sam mówisz, że wymienia się jego nazwisko.

- Owszem, ale tylko w sferze plotek i domysłów. W to wszystko na pewno nie był wplątany tylko Kuczek. Mimo przekonania o własnej omnipotencji sam by się nie ośmielił... Stary też coś musiał o tym wiedzieć. - Marian z trudem ukrywał podniecenie. Dla rasowego dziennikarza to był news, który aż prosił się o komentarz. - Woleli odsunąć Kuczka, żeby nie rzucał się w oczy, lepiej niech ludzie o nim zapomną, co zresztą nastąpi bardzo szybko, wystarczy, tak jak on to zrobił, zniknąć z mediów.

- Taka sycha i też ma kłopoty. To coś nowego w naszym kraju. - Postanowiła udawać, że rewelacje Mariana nie robią na niej wrażenia, wobec tego demonstrowała ironiczny stosunek do całej sprawy. Była z dala od tego brudu - tak chciała myśleć. Ta rozgrywka jej nie dotyczyła.

- Niezupełnie, tak już bywało. Ale to grubsza sprawa... bardzo gruba i bardzo niebezpieczna. Słyszałem, że Kuczek nie pokazuje się nawet w swoim biurze, jego gabinet jest wysprzątnany i pusty, z drzwi zdjęli tabliczkę z jego nazwiskiem. Poszedł w odstawkę, co do tego nie ma wątpliwości. Ciekawe, kto zajmie jego miejsce.

- Pewnie taki sam skurwiel jak on. Nawet nie zwrócił uwagi na jej słowa.

- Muszą mieć na niego porządnego haka. Inaczej nie dałby się tak łatwo wysadzić z siodła, jest na to za cwany.

Po chwili namysłu podjęła decyzję, że odkryje przed Leskim ostatnie, nieujawnione jeszcze informacje. Przedtem zamówiła czerwone wino i podnosząc kieliszek, zaczęła mówić:

- Nie uwierzysz, kiedy ci powiem, jak bardzo był podły. Groził, że oskarży Amerykanów o szpiegostwo, jeśli nie przyznają się do postrzelenia Anny. Obiecał im, że jak wezmą to na siebie, szybko ich zwolni. Ale ja i tak już musiałam odsiedzieć swoje. - Skrzywiła się z goryczą. - Moim zdaniem on robił wszystko, żeby mnie nie zwolnili wcześniej, żebym swoje odcierpiała. Nawet adwokat opłacony przez Amerykanów był zupełnie bezradny. Uwieszenie mnie było pułkownikowi jak najbardziej na rękę, przecież on wiedział... przecież wiedział, że ja nie mam nic z tym wspólnego, że nie mogłam strzelać do Anny, bo mnie w ogóle tam nie było.

- Czy myślisz, że to był przypadek? Czy Anna próbowała się zabić? - Leskiemu głos się załamał.

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Może chciała zabić jego? - bezmyślnie powtórzyła pytanie, które usłyszała od Jana w kawiarni.

- Boże, Boże! - Chwycił się za głowę.

Drżał. Ogarnęła ją fala współczucia dla tego starszego, bezradnego mężczyzny. Postanowiła rozładować sytuację.

- Założę się, że marksistowski Bóg nie zechce brać udziału w rozwiązywaniu twoich problemów. - Uśmiechem pragnęła dodać mu otuchy.

- Masz rację, masz rację - powtórzył, ale czuła, że myślami jest zupełnie gdzie indziej.

- Cokolwiek zrobił, i tak ujdzie mu na sucho - dodała jeszcze - tak zawsze jest w tym kraju. Więzienia są tylko dla maluczkich.

Uważnie spojrział na Mikę. Jej twarz była naznaczona intensywnym, niemal dziecięcym smutkiem. Wziął dziewczynę za rękę. Potem odwrócił jej dłoń i patrząc na linie papilarne, powiedział:

- Przed tobą długie życie. Nie rozliczaj się z przeszłością. - Uśmiechnął się, wstał od stolika. - Zostaw to starszym. Do zobaczenia.

Codziennie przychodziła do kawiarni, ale Marian się nie pojawiał. Szatniarka, która znała ich z widzenia i nieraz zastanawiała się, co łączy tę dziwną parę, podała jej kopertę, mówiąc:

- Zostawił to pan, co tu z panią przychodzi. To pani wujek?

- Wujek? Nie - odpowiedziała bez zastanowienia, ale zauważywszy zaciekawione spojrzenie szatniarki, skłamała: - To mój kochanek.

Usiadła przy stoliku. Zauważyła, że koperta nie jest zaklejona. Marian był realistą. Nie fatygował się niepotrzebnie, nie zamykał tego, co i tak zostałyby otwarte, nim trafiłoby do adresata. Przeczytała wiadomość. Brzmiała krótko i urzędowo. Zawiadamiał ją, że z powodu nadmiaru zajęć, głównie związanych z tłumaczeniem książki, nie będzie mógł na razie wpadać do kawiarni. „Mam nadzieję, że gdy tylko załatwię swoje sprawy, znów się zobaczymy i porozmawiamy”. Nie pisał jednak, kiedy to nastąpi.

- Przepraszam panią...

Wzdrygnęła się na dźwięk męskiego głosu i spojrzała nieprzytomnym wzrokiem w twarz mężczyzny, który pochylał się nad nią. Dostrzegła dość okrągłe, zarumienione policzki, łysawe czoło, duże szarawe oczy oplecione drobną siateczką zmarszczek. Nie było to oblicze mogące konkurować z twarzą Michaela Watsona - Smitha ani nawet Bogusława Lindy, lecz utrzymywało się w standardzie średniej krajowej.

- Przepraszam, ale obserwuję panią od kilku dni. Wydaje mi się pani taka smutna... Czy mogę jakoś pomóc?

Nie odpowiadając ani słowem, wyszła. Następnego dnia znów pokazała się w kawiarni, gdzie i tym razem nie zastała Leskiego, za to czekał na nią ów nieznamy mężczyzna z kwiatami.

- Przepraszam panią, jeszcze się nie przedstawiłem. Nazywam się Paweł Chrzęszcz - powiedział i pocałował ją w rękę.

Była w kiepskim nastroju. Ostatnio nic nie szło po jej myśli. Pokłóciła się z rodzicami, dostała upomnienie za niezapłacony od trzech miesięcy czynsz, miała zaległości na uczelni, a jej praca doktorska, z którą powinna finiszować, liczyła zaledwie dwadzieścia stron. Była bez grosza. Za kawę miała zamiar zapłacić monetami uzbieranymi po kieszeniach i torebkach, które starannie przeszukała przed wyjściem do kawiarni. Przemoczyła nogi i miała dreszcze. Wydawało się jej, że ma gorączkę. Mężczyzna przysiadł się do niej, zagadywał. Odpowiadała półsłówkami.

- Może chciałaby pani coś zjeść? - zapytał uprzejmie. Nagle poczuła, że jest jej niedobrze z głodu. Nie miała przez cały dzień nic w ustach. Kiwnęła głową. Było jej całkowicie obojętne, jak prezentuje się przed nieznanym.

- Ale tu są tylko ciastka - zmartwił się.

- W porządku - odparła przez zaciśnięte zęby, bo sama myśl o przełknięciu tłustego, zbyt słodkiego ciastka z kremem przyprawiała ją o mdłości.

- Mam świetny pomysł. Zabieram panią do restauracji. - Wstał energicznie i podał jej rękę. - Chodźmy. Proszę się nie obawiać, to będzie naprawdę tylko porządna kolacja.

Wstała. Ledwie trzymała się na nogach. Miała wrażenie, że porusza się ostatkiem sił, mimo to posłusznie szła za mężczyzną. Nadal padało. Z przerażeniem pomyślała o swoich kiedyś eleganckich, a dziś rozklejonych butach. Jednak przeszli tylko kilkanaście kroków i facet otworzył przed nią drzwiczki limuzyny. Kiedy ruszyli, włączył kasetę ze znaną piosenką Maanamu „Kocham cię, kochanie moje”. Samochód sunął lekko, rozpryskując kałuże. Jechali już dość długo, a kierowca nie sprawiał wrażenia, że ma ochotę się zatrzymać. Matko Boska, myślała, co ja tu robię? Zabije mnie i wrzuci do śmietnika, ale widzieli go w kawiarni, nie ujdzie mu to na sucho. Skuliła się na skórzanym siedzeniu, drżąc z zimna i ze strachu. Spojrzała na jego dłonie wsparte o kierownicę. Mocne, czerwone, szerokie, wyglądały jak dwa befsztyki. Udusi mnie, a ciało ukryje. Niedawno widziała w telewizji fotografie poszukiwanego mordercy. Usiłowała sobie przypomnieć, jak wyglądał. Chyba też miał mocno zarysowaną szczękę... Samochód gwałtownie zahamował przed bielejącym w ciemnościach budynkiem. Rozejrzała się. Byli w Wilanowie, stanęli przed najbardziej luksusową restauracją stolicy. Zjadła tu pierwszą kolację ze swoim przyszłym mężem.

Pobrali się kilka miesięcy później. Została drugą żoną Pawła, który z pierwszego małżeństwa miał czternastoletnią córkę, Andżelikę. Przeprowadziła się ze swojego niewielkiego mieszkania do trzystumetrowego przedwojennego apartamentu, jednocześnie przekraczając granice świata, jakiego istnienia w Polsce połowy lat osiemdziesiątych nawet nie podejrzewała.

Paweł nie pracował na żadnym etacie, ale całe dni poświęcał na robienie interesów. Studiów nie skończył, jednak przez dziesięć lat był szefem organizacji studenckiej i miał mnóstwo przyjaciół z tego okresu. Do trzydziestki prowadził klub studencki oraz kilka kantyn na uczelniach. W wolnych chwilach wyjeżdżał za granicę. Kilkakrotnie był w Indiach, skąd później przychodziły do niego i jego licznych znajomych paczki z towarami od Sahira, z którym prowadził rozległe interesy. Do Indii wysyłał przez rzekomych himalaistów, mających dotrzeć przez Bombaj do Nepalu, skrzynki whisky kupowanej w strefie bezcłowej w Dubaju po dwa dolary za butelkę. Przebiecie w kraju, gdzie w wielu regionach panowała prohibicja, było dziesięciokrotne. Po podziale zysków z himalaistami - którzy wpychali flaszki whisky w wielkie buty do wspinaczki, owijali w materace oraz namioty - a także z Sahirem, który alkohol rozprowadzał, odliczając łapówki za przymknięte oczy hinduskich celników, i tak zostawało mu sporo pieniędzy. Zaczął je inwestować w sprzęt elektroniczny.

Jeździł do Niemiec i kupował tam najtańsze tajwańskie telewizory, magnetofony, radia, a potem przez podstawionych ludzi sprzedawał je na bazarach. Niektórzy wspominali, że próbował wejść w biznes narkotykowy, ale wpadł. Uratowali go koledzy, którzy pełnili ważne funkcje w partii komunistycznej. Odtąd wspierał ich swoimi pieniędzmi i kontaktami, a oni potrafili się odwdziżyć pożytecznymi informacjami oraz odpowiednią pomocą przy bardziej ryzykownych interesach. Dorobił się fortuny.

Mika była zadowolona z małżeństwa. Paweł spełniał jej zachcianki i kaprysy. Zachłysnęła się bogactwem. W szafie miała trzydzieści dwie pary butów, sześć futer i kilkanaście torebek z najszlachetniejszej skóry, w różnych kolorach. Jej kasetki z biżuterią z trudem się domykały. Wciąż zmieniała kolor włosów, co tydzień chodziła do kosmetyczki, a co trzy dni do domu przychodził masażyście. Do niedawna lekko przygarbiona, zaczęła się trzymać prosto, głowę nosiła wysoko i śmiało spoglądała ludziom w oczy. Gdy szła, czuła, że nogi same ją niosą.

Już nie dotyczyły jej kolejki w sklepach ani żadne braki towarowe. „Ta hołota rzuca się na byle co” - mówił z pogardą Paweł, gdy przejeżdżali obok stojących w ogonkach ludzi. Początkowo oburzały ją takie słowa, klóciła się o nie z mężem, ale teraz sama ich używała. Już nie raziły, straciły swoje pejoratywne znaczenie, wydawały się właściwe i na miejscu, bo przecież ani ona, ani jej mąż nie mieli nic wspólnego z tymi ludźmi, upokarzającymi się na własne życzenie staniem w kolejkach.

Czasem nie mogła zwalczyć nudy, gdy zostawali razem w domu, choć na szczęście nie zdarzało się to codziennie. Paweł był dość milczący, a ona nie bardzo wiedziała, co mu opowiadać. Namiętnie czytała książki, ale na każdą próbę podjęcia rozmowy na ten temat jej mąż powtarzał, że fikcja go nie interesuje. Dawał się za to z łatwością wciągać w dyskusje o rzeczach, pytał, co kupiła, jak, za ile, co ma zamiar kupić, kiedy warto to zrobić. Lubił urządzać mieszkanie, wtedy razem chodzili do sklepów albo wybierali meble z zagranicznych katalogów.

Nigdy nie mieli najmniejszych kłopotów z otrzymaniem paszportów, nie wystawali w kolejce - odbierali je wprost od kierownika urzędu, który jeszcze wyrażał radość, że może im zrobić przysługę. Sporo wyjeżdżali za granicę. Podczas gdy ona chodziła po muzeach i zwiedzała miasto, Paweł spotykał się ze swoimi, jak ich nazywał, kontrahentami. Wieczory spędzali najczęściej we dwoje, gdyż mąż niechętnie ją z nimi poznawał. Kochał dobre jedzenie, wyszukiwał więc z talentem najlepsze restauracje, gdzie wydawał bajątkowe sumy na najbardziej wyszukane potrawy. Z łatwością nauczyła się rozróżniać smaki homara i

langusty, jedzenie tajskie od chińskiego i gustować w spożywaniu foie gras, które początkowo budziło w niej obrzydzenie, popijanego ciężkim, słodkawym winem. Wracali obładowani przyprawami i ingrediencjami, serami, alkoholami, specjalnościami kraju, po którym podróżowali. Natychmiast wydawali przyjęcie dla jego licznych znajomych, bo ona, oprócz rodziców, właściwie nie miała kogo zaprosić.

W domu Paweł zwykle przeglądał dokumenty, dużo rozmawiał przez telefon, również w obcych językach, kalecząc je niemiłosiernie, coś liczył, a potem kładł się na kanapie i oglądał filmy na wideo albo sport w telewizji. Ciągłe ją wołał, żeby przyszła, zobaczyła coś ciekawego, a ona posłusznie siadała na brzegu kanapy. Czasem przytulał ją do siebie i kochali się na kanapie, ale zazwyczaj nie trwało to zbyt długo.

Obroniła doktorat, a mąż urządził bankiet.

- Moja żona jest doktorem, nie lekarzem, ale ma doktorat - tłumaczył lekko podпиты swoim znajomym, których częstował szampanem najlepszej marki. - Mojej pięknej i mądrej żonie niczego nie żałuję. Wypijmy za nią. No to chlup w ten głupi dziób! - wołał, klepiąc się po twarzy.

Rodzice Miki, obecni na uroczystości, nie mogli się nacieszyć szczęściem córki.

- Wreszcie - powiedziała matka do męża - życie zlitowało się nad naszym dzieckiem.

Stary pocałował żonę, bo nie mógł mówić ze wzruszenia. Córka odzyskała rozum, byli tego pewni, widząc, jak na uroczystości bawią się ludzie znani z telewizji, nie tylko gwiazdy ekranu, ale także prominentni działacze partyjni, sławni dziennikarze.

Czasem przypominała sobie o Marianie, zastanawiała się, co się z nim dzieje, dlaczego się nie odzywa. Kilka razy, już po ślubie, wpadała do kawiarni, w której kiedyś się spotykały. Miała ochotę pokazać mu się w nowej roli, aby zobaczył ją odmienioną, promienną, bogatą. Szatniarka, przez którą Marian kiedyś przekazał list, z trudem ją rozpoznała, ale po wypowiedzeniu kilku komplementów pokręciła głową.

- Nie, pani wujek się tu ostatnio nie pokazywał.

Stopniowo zresztą coraz bardziej oddalała się od obrazu tamtej Miki, która, zaniedbana i przerażona, w rozmowach z Leskim szukała ratunku dla swojej zdruzgotanej psychiki. Teraz była kimś innym i zastanawiała się, co dziś mógłby jej ofiarować. Ich rozmowy nie miałyby dawnego oczyszczającego znaczenia. Już ich nie potrzebowała. Przekreśliła przeszłość, jak wyrzuca się z tekstu zbyteczne zdania, aby nadać mu nowy, lepszy sens. Jednak pewnego dnia całkiem nieoczekiwanie Marian sam się do niej zgłosił. Było to jedno z najważniejszych spotkań w jej życiu, ale wtedy jeszcze nie mogła tego przewidzieć.

Otrzymała ofertę pozostania na uczelni, ale jej nie przyjęła. Zaczęła pisywać artykuły do kilku pism. Obyczajowe, pisane z wdziękiem i lekkością teksty były chętnie drukowane. Paweł, który poza gazetami motoryzacyjnymi i sportowymi niczego nie czytał, każdy artykuł żony analizował od deski do deski, co pewien czas wykrzykując tylko:

- No, fajnie to napisałaś! Fantastycznie! Moja żonka ma głowę nie od parady!

Mice jego naiwne zachwyty sprawiały przyjemność i naprawdę czuła, że choć nie zawsze z mężem dobrze się rozumieją, są sobie bliscy. Nie wymagała ani od Pawła, ani od swojego małżeństwa zbyt wiele. W miłości, myślała, liczą się złudzenia, w trwałym związku trzeba twardo stąpać po ziemi. A to nie było trudne, tak przynajmniej jej się zdawało, w domu, gdzie podłogi wyłożone zostały miękkimi perskimi dywanami. Tak mijały monotonne, ale syte dni małżeństwa Miki. Przywykła do spokojnego trybu życia. Wydawało się jej, że tak będzie już zawsze.

Pewnego październikowego wieczora 1989 roku Paweł wrócił do domu podekscytowany i natychmiast kazał żonie siadać przy sobie na kanapie. Przymierzała nowy kostium i nie miała ochoty z tego zrezygnować, ale on nalegał, więc w końcu niechętnie usiadła.

- Marek Zawadzki, wiesz, ten był opozycjonista, zakłada tygodnik. Może mu się udać, bo to wyjątkowo zajadły koleś, jak każdy wariat. Twierdzi, że w początkach roku wyjdzie pierwszy numer - oznajmił.

Popatrzyła na męża zdziwiona. Ostentacyjnie się nie interesował polityką, a wynik wolnych wyborów sprzed kilku miesięcy skwitował machnięciem ręki i jednym zdaniem: „Jak człowiek ma pieniądze, nie zginie nawet w demokracji”.

Do jej uszu dobiegły dalsze słowa męża:

- Zawadzki ma pewne kłopoty, a my moglibyśmy mu pomóc.

- My? - zapytała zadziwiona.

- No tak, ja i ty.

Radość, jaka ogarnęła ją, gdy usłyszała propozycję męża, aby zatrudniła się w powstającym tygodniku, a potem gdy Marek przyjął ją do pracy w „Starcie”, mogła porównać tylko z uczuciem, jakiego doznała, gdy po raz pierwszy w życiu spotkała Michaela Watsona - Smitha. Jednak to było już tak dawno temu, że zdawało się snem.

## Rozdział VI

Boże Narodzenie 1989 roku było dość mroźne i śnieżne. W mieszkaniu panował jasny półmrok, bo migające na choince światełka rozświetlały wnętrze.

Leska układała potrawy na półmiskach dla mających niebawem nadejść gości. Rozmyślała o tym, że po raz pierwszy od wielu lat przeżywa zapomnianą świąteczną radość. Kto powiedział, że niemożliwe są powroty do dobrych dni? Jest tak jak dawniej, jak wtedy, gdy żyli jej syn i mąż, a rodzina stanowiła nienaruszoną jeszcze przez polityczne wydarzenia, integralną całość. Przez minione kilka lat Anna nie pozwalała urządzać świąt. „Po diabła mi ta cała szopka z Bożym Narodzeniem? - powtarzała. - Nie wierzyliście w Boga, ale z pompą obchodziliście narodziny Jego Syna. To zwyczajna hipokryzja. Czas z tym skończyć”.

Protestowała przeciwko kupowaniu choinki i prezentów, nawet dla dziecka. Zazwyczaj spożywali wigilijną kolację na codziennej zastawie i w ponurej atmosferze, a Leska była wdzięczna, gdy córka przynajmniej złośliwie nie komentowała postnych dań.

Wczorajsza Wigilia była zupełnie inna, wreszcie taka, jaka powinna być w polskim domu. Amerykanie, których ewentualny przyjazd tak Leską niepokoił, bo uważała, że pojawią się z pewnością z okazji świąt, wcale się nie pokazali. Zresztą czego mieliby tu szukać? Mili chłopcy, ale zepsuliby nastrój rodzinnej wspólnoty podczas dzielenia się opłatkiem.

Leska ze sceptycyzmem odnosiła się do ustrojowej przemiany, młodzi jednak bardzo chcieli wierzyć, że odmieni ich życie. Nie miała zamiaru odbierać im nadziei, choć doświadczenie podpowiadało jej przyszły finał odnowy, którą jak dziecięcą chorobę przechodziła już wcześniej kilkakrotnie. Nie wykluczała, że potrwa kilkanaście miesięcy dłużej niż poprzednie, ale potem powróci do znanej i przećwiczonej przez czterdzieści lat formuły. Na razie jednak wszystko układało się po jej myśli, a może nawet lepiej.

Po uroczystej i odpowiednio długiej kolacji, którą zjedli w pięcioro, razem z Zawadzką wybierały się na pasterkę.

- Aniu, chodź, odprowadzimy nasze matki - zaproponował Marek.

W rezultacie wszyscy, nawet ledwo żywy ze zmęczenia Marcin, zostali w kościele. A potem, kiedy wracali po zakończonej mszy, Zawadzka lekko tylko wspierała się na ramieniu syna, bo niósł w ramionach śpiące dziecko. Leska szła pod rękę z córką i wtedy dziewczyna po raz pierwszy od śmierci brata wypowiedziała jego imię:

- Wiesz, mamo, bardzo tęsknię za Michałem. Może gdyby on z nami został, wszystko byłoby inaczej.

- Nie, kochanie - odparła Leska spokojnie. - Jest tak, jak miało być.

Anna przytuliła się wówczas do matki i szły tak zgodnym krokiem, a Leską ogarnęło dziwne doznanie, jakby wreszcie odnalazły wspólną drogę, której tak długo szukały.

Zmrok pierwszego dnia świąt zapadł szybko, a za oknem rozpętała się prawdziwa śnieżna zamieć. Goście zdążyli jednak nadejść przed rozpoczęciem nawałnicy. Anna uwijała się, donosząc z kuchni i rozstawiając na udekorowanym jodłowymi gałązkami obrusie kolejne dania. Wśród nich, na samym środku stołu, usadowiona na wielkim półmisku, pyszniła się spieczona na brąz gęś, którą otaczały, niczym gąsienki, pieczone jabłka z białymi od wypływającego mięszu grzywkami. Osadzone w srebrnych lichtarzach świece rozjaśniały płomieniami rubinowe wino wypełniające pękate kryształowe kielichy. Gruszki w occie, żurawina, ćwikła, chrzan ze śmietaną, borówki wystawione w szklanych salaterkach tworzyły na śnieżnobiałej serwecie jaskrawokolorową kompozycję. Bigos w wielkiej wazie smakowicie parował zapachem suszonych śliwek.

- Usiądź wreszcie, kochanie - powiedział Marek, pociągając Annę za rękę i sadzając ją na krześle przy sobie. - Wszyscy niech usiądą, a ja wstanę, bo chcę wygłosić toast. Życzę wam, nam, sobie, żeby w naszych domach panowała radość, w kraju nastąpiła demokracja, a nasz tygodnik, który za trzy tygodnie ukaże się w kioskach, podbił rynek. Startujemy niebawem. Wesołego Alleluja!

- Marek, to nie te święta! - krzyknął z oburzeniem Staś Paprocki, który w redakcji był znany jako osoba najbardziej kompetentna w sprawach religii.

Obok Stasia siedziała żona, Zuzia, która w czasach opozycji pracowała wraz ze swoim przyszyłym mężem oraz z Markiem w tajnej drukarni, a teraz pełniła w redakcji „Startu” funkcję szefowej działu krajowego. Paprococy byli do siebie dziwnie fizycznie podobni. Oboje niewysocy, śniadzi, z ciemnymi włosami, wyglądali jak brat i siostra. Marek w głębi duszy uważał tych dwoje swych najbliższych przyjaciół za wzorcowe małżeństwo. Byli w sobie zakochani, ale to w żaden sposób nie naruszało ich kumpłowskiej więzi. On nie potrafił z Anną stworzyć takiego układu. Owszem, dużo rozmawiali, na wiele spraw patrzyli podobnie, kpili z tych samych nonsensów, dzielili poczucie absurdu, ale dystans, który narzucała Anna, sprawiał, że do ich związku coraz to zakradała się obcość. Marek czuł, że jej istnienie czyni ich noce bardziej podniecającymi, bo oddająca mu pieśczęty kobieta nigdy całkowicie nie przeszła na jego stronę. Była jak wódz wrogiego plemienia, który wypowiadając słowa o zgodzie i pokoju, maluje jednocześnie na ciele barwy wojenne. Ani na chwilę nie skapitulowała przed jego męskim oddaniem, nie poddała się miłości, nie złożyła broni w obliczu jego całkowitej podległości, ale okopywała się na swojej pozycji z determinacją zupełnie niepojętą.

- Wiem, że to nie te święta, Stasiu - odrzekł z godnością. - Chciałem tylko sprawdzić twoją redaktorską czujność.

- Marek nie daje nam ani przez chwilę odetchnąć od pracy. Zawsze musimy być czujni, zwarci i gotowi - poskarżyła się żartem Zuzia, rzucając uśmiech Zawadzkiej.

- Nie wierz im, mamu. Lenią się już od dwudziestu czterech godzin. Nie rozumiem, jak można prowadzić taki pasożytniczy tryb życia - dziwił się Marek z zabawną powagą.

- Nasza służąca zawsze powtarzała - oznajmiła Zawadzka - że Markowi robota aż pali się w rękach, ale...

Nie dokończyła, bo jej ostatnie słowa utonęły w ogólnym śmiechu, a Zawadzka parskała najgłośniej, próbując jednocześnie wytrzeć chusteczką zażawione oczy. Mika czuła, że należy do ich świata. Wreszcie opuściło ją poczucie obcości. Dostała posadę wiceszefa w „Starcie”. Wprawdzie Paweł nalegał na finansowy udział w tygodniku, lecz Big Mac odmawiał przyjęcia nowego współnika. „Wystarczą mi kompetencje twojej żony” - powtarzał.

Kiedyś rozpaczliwie samotna, teraz była zadowolona, że przed kilkoma laty jej więzi ze środowiskiem zostały zerwane. Pozwoliło to ludziom zapomnieć o jej przygodzie z Amerykaninem. Trwałym sprzymierzeńcem w sojuszu przemilczania okazała się Anna, która nie wykazywała ochoty na wspomnianie przeszłości ani wtajemniczanie kogokolwiek w ich wspólne sprawy. Uchodziły za dobre znajome, które na dłużej straciły ze sobą kontakt. Nikt zresztą nie miał ochoty dociekać, jakie są między nimi powiązania. Markowi obilo się o uszy, że jego zastępczyni siedziała w więzieniu, ale niespecjalnie obchodziły go powody, dla których tam się znalazła. W obecnych czasach była to raczej rekomendacja, dowód na to, że na swój sposób walczyła z komuną.

Orientował się, że chodziło o jakąś sprawę z Amerykanami, których poznał przed laty, gdy dostarczyli do Podkowy list z Los Angeles od jego siostry. Trafili do nich dzięki towarzyszącym im dziewczynom. Sam fakt, że włóczyły się z przybyszami z Ameryki, z pewnością tajnym służbom wydawał się podejrzany. Teraz nie dociekał szczegółów sprawy, wiedząc, że przeszłość, z powodu pokrętnych działań dawnej władzy, staje się coraz bardziej zamazana, jednocześnie zyskując na absurdalności. Uważał Mikę za cenny nabytek dla redakcji, bo wniosła ze sobą talent i fachowość, którą dawało jej krótkie, zdobyte jeszcze za komuny doświadczenie dziennikarskie. Czasem bywała wprawdzie ostra w stosunku do zespołu, ale to uznawał raczej za zaletę, ponieważ Staś okazał się zbyt łagodny i ugodowy.



Gdy tylko Mika dogadała się z Markiem w sprawie umowy o pracę, natychmiast postanowiła, uprzedzając jego powrót z redakcji do domu, zatelefonować do dawnej przyjaciółki. Wolała mieć w niej sojuszniczkę niż cichego wroga. Już zresztą od pewnego czasu próbowała się z nią skontaktować. Tym razem Anna podniosła słuchawkę. Gdy Mika usłyszała jej „halo”, wypowiedziane tak dobrze znanym głosem, nie mogła przez chwilę wykrztusić słowa. Znowu powrócił żal, ale szybko go w sobie przytłumiła. Umówiła się z Anną w tej samej kawiarni, w której widywała się z Leskim.

Spotkanie przebiegło zupełnie inaczej, niż się spodziewała. Nieoczekiwanie Anna przeprosiła za nielojalne zachowanie i spokojnie wypowiedziała kilka zdań, które brzmiały jak ułożone z góry oświadczenie.

- Na parę godzin uległam urokowi Michaela Watsona - Smitha. Niepotrzebnie z nim zerwałam. To był tylko epizod. Tak naprawdę ty się dla niego liczyłaś. Sam mi to powiedział.

- Nie zerwaliśmy, tylko się rozstaliśmy - podkreśliła Mika z naciskiem, odczuwając jednocześnie przyspieszone bicie serca na wieść o deklaracji Michaela. - Obaj z Jimem musieli wyjechać. Ale skoro rozmawiamy całkiem szczerze, przyznaj, co to była za historia ze strzelaniem? Chciałaś zabić Kuczka?

- Chciałam - odparła Anna bez wahania. - Ale mi się nie udało. Niestety.

Na moment zapadło milczenie. Mika przetrawiała tę informację, uważnie wpatrując się w oczy Anny, i odnalazła w nich dziwny niepokój. Po chwili sama spuściła wzrok, obawiając się, że i ją zdradzi spojrzenie, więc z uwagą wpatrywała się w blat stolika. Po dłuższej ciszy Anna zapytała:

- Czemu wzięłaś to na siebie? Przecież ja sama się zraniłam... - A po chwili dodała: - Zupełnym przypadkiem.

- Pułkownik mnie w to wpakował. Chciał mieć jakąś ofiarę, skoro tamci wyjechali. Ciebie nie mógł zamknąć, bo byłaś ranna. Trafilo na mnie. - Podobało jej się, że może całkiem dowolnie manipulować Anną, ugniatając przeszłość jak plastelinę według wzoru, który sama wykombinuje. Marian całkiem nieświadomie dał jej do ręki władzę, a ona miała ochotę z niej skorzystać. Wiele wiedziała, ale nie zamierzała zdradzać się ze swą wiedzą, zwłaszcza przed przyjaciółką.

- Boże! - wyszeptała Anna. - Nie ma kary dla tego sukinsyna. Skrzywdził nas obie. - Jej usta wygięły się w podkowę.

- Mam nadzieję - stwierdziła Mika twardo - że nie zaczniesz teraz szlochać...

Zirykowała ją słabość okazana przez Annę. Maże się jak mała dziewczynka, a przecież nie tylko jej przysporzyła bólu swoim postępowaniem. Sporo ciosów zadała także biednemu Marianowi, właściwie go znokautowała, a on mimo wszystko kochał ją jak własną córkę. Przypomniała sobie popołudnie, kiedy spotkali się z Leskim po długim, wielomiesięcznym niewidzeniu, a on powiedział: „Stało się coś strasznego, Mika, i muszę cię w to wtajemniczyć dla twojego dobra”. Gdy skończył swoją opowieść, groza, która ją wówczas ogarnęła, równała się tylko współczuciu, jakie miała dla Mariana. Na jedną chwilę doświadczyła absolutnego zrozumienia drugiego człowieka. On był nią, ona nim. Na mgnienie oka psychika starego mężczyzny i młodej kobiety zlała się w jedno. Mika po raz pierwszy spotkała kogoś, kto tak jak ona ślepo zaufał miłości. Ale tamte uczucia dziś nie miały znaczenia. Teraz siedziała przed kobietą, której nie pragnęła akceptować ani rozumieć. Chciała być jej skrytym sędzią, oceniać ją surowo, bo tak naprawdę nie pragnęła jej do końca wybaczyć.

- Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr - odezwała się znowu, gdy Anna odzyskała panowanie nad sobą. - Trzeba wpisać w nawias to, co obie przeżyliśmy. Takie były czasy. Teraz, jak mówi Marek, startujemy. No to wystartujemy bez obciążeń.

- A pułkownik? Co z nim? - wyszeptała Anna.

Mika zastanowiła się przez moment nad odpowiedzią.

- Tacy jak pułkownik zawsze mogą okazać się niebezpieczni, potrafią zrujnować życie.

- Czy ty się go nadal boisz? Czy tylko ja...?  
- Kiedyś bałam się śmiertelnie, ale teraz już nam nie zagraża. Sytuacja polityczna uległa zmianie. Mamy czas odnowy.

- Kto to wie? - Anna bezmyślnie wpatrywała się w pustkę.  
- Tego nigdy nie wiadomo - zgodziła się Mika, bo miała dość rozmowy na temat Kuczka. - A propos, czy masz z nimi jakiś kontakt?

Anna natychmiast zrozumiała, o kogo pyta. Przecząco pokręciła głową.

- Matka pisuje do swojej siostry, więc wiem, że Jim się ożenił ze znaną amerykańską profesorką psychologii, a przy okazji walczącą feministką.

- Dobrze mu tak - odezwała się z zadowoleniem Mika. - Zasłużył na to jak mało który facet. A Michael? - zapytała, nie zmieniając tonacji. - Czy jest już mężem słynnej Sary Henderson?

- Możliwe, ale nie wiem...

\*

Mika ocknęła się z zamyślenia i popatrzyła po radosnych twarzach ludzi zgromadzonych przy świątecznym stole. Z pewną dumą spojrzała na Pawła, który choć niespecjalnie przystojny, doskonale się prezentował. Miał na sobie nowiutki garnitur Armaniego kupiony w Paryżu i złotawy krawat idealnie dopasowany do całego stroju. Nawet towarzyskie niezręczności, które czasem mu się przydarzały, mogły być w tej sytuacji wzięte za ekstrawagancję. Usłyszała, jak jej mąż, który wdał się w rozmowę z Zuzią, mówi:

- Niedługo kraj będzie się prywatyzował, więc trzeba dopilnować, żeby obcy kapitał nie wykupił wszystkiego. Albo przynajmniej dobrze nam zapłacił.

Nam, to znaczy komu? - zastanowiła się, ale nie zadała tego pytania na głos. Nigdy nie paplała za dużo, a mąż jeszcze doskonalił ją w sztuce dyskrecji. „I po coś z tym wyskoczyła?” - gasił ją często, aż w końcu w towarzystwie jego znajomych przestała się w ogóle odzywać niepytana.

- Masz bogatego męża - odezwała się ściszym głosem Anna.

- Owszem - potwierdziła zadowolona. - A ty mogłabyś zmusić Marka, żeby nie fundował z własnych pieniędzy premii dla dziennikarzy za teksty do numeru zerowego. Wielokrotnie mu mówiłam, że to nonsens. Jak wystartujemy i zaczniemy wreszcie zarabiać, dostaną, co im się należy, a tak tylko ich psuje.

Anna pokiwała głową, milcząco przyznając rację Mice. Utrzymanie domu właściwie spoczywało na jej barkach. Dużo tłumaczyła, sporo zarabiała, i to często w dolarach, na czarno, zresztą system podatkowy w kraju nie istniał, więc pieniądze przechodziły z kieszeni do kieszeni, byle szybciej, z powodu galopującej inflacji. Marek nie żałował jej pieniędzy, po prostu nie zwracał uwagi na domowe wydatki. Czasem wkładając marynarkę, wyjmował zwitek banknotów i mówił zakłopotany:

- Tyle mi zostało. Nie wiem, ile tego jest. Jeśli potrzebujesz więcej, to powiedz.

Nigdy by nie zażądała większych sum, niż jej dawał. Krępowałaby się. Nie musiał przecież utrzymywać ani jej dziecka, ani matki. Była pewna, że w ten sposób o tym nie myślał, że raczej nie zastanawiał się w ogóle, ale czasem, biegnąc z tłumaczenia na tłumaczenie, gdy oczy same zamykały się z niewyspania, odzywały się w niej ciche do niego pretensje. Niech się ożeni z własną gazetą, myślała wówczas mściwie, i tak tylko ona się liczy. W dodatku był wymagający. Nie stawiał wprost żadnych żądań, ale lubił, gdy na stole czekała dobra kolacja, gdy mogli razem wypić wino, a Anna była w dobrym nastroju, gotowa do nocnych, namiętnych zwarć, których teraz potrzebował znacznie częściej niż ona. Kiedy zamieszkali razem, jej pożądanie nieco osłabło, ale starannie ukrywała własne emocje. Kochał ją przecież, a ona w zamian za to starała się spełnić jego wymagania. Była czujna i gotowa. Zaraz, zastanowiła się, ktoś już użył podobnych słów w stosunku do Marka. Kto to był?

Jeszcze do niedawna nie zależało jej na relacjach z innymi, dobrze się czuła zatrzaśnięta we własnym wnętrzu. Za Markiem jednak ciągnął się sznur ludzi, a ona chciała, żeby ją akceptowali i lubili. Starła się, wiedziała, że umie być czarująca i zabawna. Ale teraz, jeszcze częściej niż dawniej, ogarniało ją wredne poczucie bezsensu, które za wszelką cenę starała się zwalczyć. Zwykle jej się nie udawało. Wówczas wszyscy domownicy kapcianieli razem z nią. Marek o świcie uciekał do redakcji, synek nie wychodził z własnego pokoju, a matka z kuchni. Unikali jej, bezradnie czekając, aż chandra minie. Poskarżyła się swojemu dawnemu psychoterapeucie, doktorowi Jaskierowi, gdy spotkała się z nim w kawiarni. Zastanowił się i patrząc jej głęboko w oczy, powiedział:

- Myślę, że sama możesz odpowiedzieć sobie na to pytanie.

- Właśnie usiłuję się od pana dowiedzieć, w jaki sposób - odparła zniecierpliwiona.

- Ba - klepnął się po kolanach i zadrzał jak rażony prądem. - Z obiektywnego punktu widzenia masz bardzo wiele, więcej niż inni. Masz udanego synka, kochającego mężczyznę, dobrą matkę, ciekawe zajęcie - wyliczał, kiwając się na krześle w tył i w przód. - Wobec tego gryzie cię jakiś inny problem. Jaki? - zapytał, niemal zginając się w pół.

- Nie mam pojęcia.

- Otóż to... Istnieją dwie możliwości. Albo rzeczywiście nie potrafisz sformułować problemu, co przy twojej inteligencji, a zwłaszcza wrażliwości jest mało prawdopodobne. Albo wolisz go przemilczeć, ergo - stwierdził, podnosząc palec do góry - żyjesz w kłamstwie. A to wyjątkowo psuje humor.

Dotknął bolesnego punktu. Poczwała, że musi się bronić.

- Nigdy pan tak do mnie nie mówił.

- Owszem, bo byłaś słaba jak kot. - Podniósł nogawkę spodni i podrapał się w gołą łydkę. - Ale teraz jesteś dostatecznie silna.

- Na co?

- Tego nie wiem. Jestem psychoterapeutą, a nie jasnowidzem... Od lat uważam, że coś ukrywasz. Ujawnienie tego, co cię boli, nie spowoduje rewolucji w twoim życiu, najwyżej drobny pryszcik... Strach ma wielkie oczy, moje dziecko, a nie warto bać się niepotrzebnie. To pożera zbyt wiele energii.

- Mocno pan przesadził - zdenerwowała się Anna.

- Być może, być może - powtórzył i kilkakrotnie przeciągnął ręką po długich, splątanych, poprzetykanych siwizną ciemnych włosach, jakby usiłował je sobie wyrwać.

Marzyła po kryjomu o powrocie do dziennikarstwa, ale była absolutnie pewna, że nie wolno jej zrobić żadnego kroku w tym kierunku. Przez wzgląd na pułkownika, którego śmiertelnie się obawiała. Gdyby zobaczył jej nazwisko w druku, na pewno poczułby się sprowokowany, jakby mu rzucała wyzwanie. Teoretycznie mogłaby pisać pod pseudonimem, ale nie umiałaby takiego postępowania wytłumaczyć Markowi, matce, otoczeniu.

Miała wewnętrzne przekonanie, że jest lepiej niż Mika przygotowana do obecnych wymogów dziennikarstwa. Zainteresowanie polityką, sprawami społecznymi wyniosła z domu, ale co jeszcze ważniejsze, dorastała w kraju zachodniej demokracji. Dzięki Leskiemu, który stale zwracał na to jej uwagę, była świadoma pułapek kapitalizmu, ale jednocześnie poznała magiczną moc, która pozwalała wierzyć, że człowiek rzeczywiście ma wpływ na swój los. Dziś nie wątpiła, że to mit, ale przedkładała go nad socjalistyczne bajki. Może była to kwestia gustu, poczucia estetyki, a może po prostu wyboru, jakiego pozwalała dokonywać demokracja.

Wyedukowana na zachodnich mediach, wyczuwała subtelne różnice między propagandą a konsekwentnym przekonywaniem czytelników, między wpływaniem na władzę a wywieraniem na nią medialnej presji. Często z Markiem spierali się o zasadnicze pojęcia, dyskutowali zawzięcie do białego ranka. Niejeden raz ulegał jej argumentom, przyznawał rację, ale tak się zdarzało, myślała Anna z ironią, tylko w cieniu alkowy. Nie mogła wyjść ze

swoją wiedzą ani umiejętnościami poza nią, nie mogła publikować swoich przemyśleń, bo na zewnątrz nie skończyło się jeszcze panowanie pułkownika.

Mika była jedyną osobą, z którą chciała o nim rozmawiać, bo w jakiś dziwny sposób pozwalało jej to zagadywać własny lęk, więc kiedy tylko nadarzała się okazja, wywoływała temat.

- Wiesz - mówiła pozornie beztroskim tonem - dziś w nocy znów śnił mi się Kuczek. Ciekawe, co on wymyśli...

Początkowo Mika uspokajała jej obawy, ale zorientowawszy się, jak bardzo są silne, umiejętnie je podsycala. W ten sposób karała Annę za zdradę ich przyjaźni, za swoje rozstanie z Michaeliem.

Mimo wszystko ceniła sobie czas, który spędzały razem. Krępowałaby się komukolwiek przyznać, ale w wolnych chwilach, których na szczęście nie miała zbyt wiele, nie umiała znaleźć dla siebie towarzystwa. Dawni znajomi przepadli, nowi pochodzili głównie z grona jej męża i nie budzili w niej specjalnej sympatii. Zresztą trudno było nawiązać z nimi bliższe stosunki. Byli mili, lecz nudni. Stale powtarzali te same dowcipy, ale niewiele się śmiali, dużo pili, ale uważali na słowa. Początkowo usiłowała się dopytać, co robią, gdzie pracują ci wyraźnie pozbawieni finansowych trosk mężczyźni, a także ich bogato ubrane żony, lecz rzadko otrzymywała konkretne odpowiedzi. Gdy skarżyła się mężowi, odpowiadał:

- Nie musisz się przyjaźnić z moim towarzystwem, wystarczy, że ja robię z nimi interesy. To jest nowa klasa, moja kochana żono, do której będziesz musiała przywyknąć - biznesmeni.

Pozostawały więc osoby z redakcji, ale czuła to wyraźnie - nie bardzo do nich przystawała. Od całej reszty dzieliła ją doskonała sytuacja finansowa, a także fakt, że była żoną Pawła Chrzęszcza. Nikt nie potrafił mu niczego konkretnego zarzucić, przeciwnie, sporo osób podziwiała go za rzutkość i talent do interesów, jednak część dziennikarzy, z czego Mika doskonale zdawała sobie sprawę, uważała go za zwykłego cwaniaka. Usłyszała kiedyś, jak Zuzia Paprocka, plotkując z redakcyjną koleżanką, szeptała o jej mężu:

- Gdyby nie jego pieniądze, antyszambrowałby w toalecie. Od tego momentu nie cierpiała Zuzi, ale trzymała swoje uczucia na wodzy. Nie pozwalała sobie na żadne żywsze emocje.

W głębi duszy jednak przyznawała, że jest coraz bardziej rozczarowana swoim małżeństwem. Od pewnego czasu żyli z Pawłem właściwie oddzielnie, nie tylko w dwóch odrębnych światach, ale nawet w domu spotykali się coraz rzadziej. Ciągłe gdzieś wyjeżdżał, ale nie proponował, by towarzyszyła mu w podróży. Zresztą nie miała już ochoty na wyjazdy, w redakcji tyle się działo. Paradoksalnie, gdy był daleko od domu, ich związek powracał do dawnej, niezłej formy. Paweł przez telefon znów potrafił prawić czułości i obdarzać komplementami.

Chciał wiedzieć, co u niej słychać. Szczegółowo zdawała mu sprawozdanie, co działo się w redakcji, a on uważnie słuchał. Czasem dopytywał się o detale, a niekiedy rzucał krótko: „A ty co o tym sądzisz?” albo „Co wtedy zrobiłaś?”. To jej pochlebiało, bo nie czuła, że odgrywa w redakcji szczególnie istotną rolę. Piastowała funkcję, ale nie miała respektu, na który zasługiwała. W relacjach dla męża mogła się przedstawiać tak, jak chciała, aby ją odbierano, czasem więc zdradzała mu sprawy, co do których umawiali się w kierowniczym gronie, że pozostaną tajemnicą. Właściwie, przyznawała to sama przed sobą, jedyną osobą w redakcji, która przyjmowała ją bez zastrzeżeń, był Marek. Zdawała sobie sprawę, że wielokrotnie bronił jej przed niesprawiedliwymi ocenami zespołu. Była mu wdzięczna i starała się odgadywać jego myśli, byleby tylko nie zmienił o niej dobrej opinii.

Kiedy Paweł wracał do domu z wojaży, jego telefoniczna serdeczność natychmiast ginęła, znów pojawiał się między nim a Miką chłód. Początkowo, jako dobra żona, starała się usuwać barierę, która stała im na drodze. Chwytała się różnych sposobów, próbowała

pieszczot, awantur, dyskusji i milczenia, ale tymi metodami doprowadzała tylko do chwilowego pojednania. Do niedawna tak zakochany mąż coraz bardziej ograniczał swoje dla niej względy, dawkował je jak kosztowne lekarstwo. Na jego zachowanie odpowiadała demonstracyjną obojętnością. W rezultacie stawali się rozdrażnieni, narastało uczucie wzajemnego rozczarowania.

Mąż, grzecznie odpytujący ją przez telefon o redakcyjne sprawy, gdy tylko wkraczał po kolejnej podróży do domu, jeszcze wieszając płaszcz w szafie, pytał z ironicznym uśmiechem:

- No i jak tam? Zbudowaliście już nową Polskę, czy nie wystarczyło pieniążków na odnowę?

Zwłaszcza słowo „pieniążki” doprowadzało ją do szału. Niewesołe rozmyślenia na temat własnego małżeństwa przerwał jej głos Leskiej zapowiadającej deser. Mika podniosła się i zaproponowała Annie:

- Chodź, wyręczymy twoją mamę. Pomogę.

Przygotowując herbatę, znów odnalazły przyjemność w przebywaniu razem. Mika, udatnie naśladując nieco patetyczny ton Marka, powtarzała niemal słowo w słowo jego przemówienie do zespołu: „Nikt nam nie będzie tu mieszał, żadni lewicowi pojebańcy ani ich spadkobiercy. Jeśli wam mówią, że samym swoim istnieniem łamiemy obowiązujące prawo, wysyłajcie ich na drzewo. To był i jest kraj bezprawia, ale naszą rolą jest pomoc we wzniesieniu gmachu praworządności i demokracji. Nie będę więcej mówił, bo i tak za dużo powiedziałem. No to pijemy”.

Chichocząc, dziewczyny wzniosły kieliszki. Zadzwoił telefon. Po chwili Marek zajrzał do kuchni.

- Hm - odchrząknął. - Dzwonił Adam, właśnie skończył poprawiać makietę. No nic... przecież są święta. - W zamyśleniu potarł dłonią policzek.

Obie kobiety spojrzały na siebie porozumiewawczo.

- Zaprosz Adama na deser... - Anna zawiesiła głos. - Niech przywiezie tę nową makietę.

Wyskoczył z kuchni jednym susem. Przez chwilę nasłuchiwały jego podnieconego głosu, gdy podawał grafikowi adres.

- Czasem bardzo łatwo spełniać męskie marzenia - uśmiechnęła się Anna.

Paweł wrócił do domu sam, obie matki, oglądające do północy telewizję, dawno położyły się spać, a oni rozstali się dopiero o piątej nad ranem, nieprzytomni ze zmęczenia. Przez osiem godzin tkwili nad makietą, spierając się o stopień czcionki w tytułach, rozplanowanie tekstów na kolumnach, kolory oddzielające sekcje. Adam Goszcz, jeden z najlepszych, ale i najbardziej wrażliwych grafików w mieście, trzy razy był zawracany ze schodów, bo jak powiadał, ich propozycje zmian w projekcie obrażały jego zmysł estetyczny, który w odróżnieniu od reszty towarzystwa, charakteryzującego się prostackim gustem, kształcił w najlepszych szkołach Warszawy i Paryża. Zastępca Marka pokłócił się z nim o miejsce dla stałych felietonów tak ostro, że postanowił złożyć dymisję.

- To już siódma w tym tygodniu, Stasiu - przypomniał mu Marek.

Żona Paprockiego zapragnęła dostać jedną więcej kolumnę dla potrzeb swojego działu, a Mika przestała dostrzegać jakikolwiek sens w ułożeniu kolejnych sekcji pisma. Anna także próbowała się przydać, bo nie chciała czuć się wykluczona z redakcyjnej wspólnoty. Co chwilę donosiła zagraniczne czasopisma, traktując je jako ewentualny wzór, czym doprowadzała grafika do absolutnej rozpacz.

- Zabierz mi te szmaty sprzed oczu. Gównu mnie obchodzi, co oni tam robią. Nasz tygodnik ma się różnić od innych. Ma być absolutnie wyjątkowy. Nie rozumiesz? „Spiegel” - migiel! „Time” - srajm! - wyrzaskiwał, rozrzucając pisma.

- A jaki rym - zapytał niewinnie Staś - znajdziesz dla „New Yorkera”?

Pytanie Paprockiego rozśmieszyło wszystkich do rozpuku. Nawet Adam, choć mocno dotknięty, aż bulgotał od powstrzymanego chichotu. Na chwilę pogodzonych wspólnym wybuchem radości, skłócił ich na nowo wygląd spisu treści. Na szczęście spory kończyły się zawsze w momencie, kiedy Marek, cały czas biorący żywo udział w dyskusji, w końcu postanawiał rozstrzygnąć je ostatecznie. Wówczas rzecz była postanowiona, a oni gładko przechodzili do omawiania następnego zapalnego punktu. Bez wątpienia, myślała Anna, to on jest kapitanem, który prowadzi ten okręt.

Powiedziała mu o tym, kiedy po wyjściu gości sprzątała razem pokój. Na oścież otworzyła okno, mieszkanie owionął zimny, świeży powiew. Podparta łokciami o parapet, rozejrzała się po zasypanych śniegiem ulicach. Zauważyła właściciela małego fiata, który z trudem przepychał samochód przez śnieżne wysepki usypane na jezdni przez zamieć. Cierpliwie odczekała, aż facet wreszcie upora się z problemem. Kiedy odjechał, jeszcze raz zaczerpnęła mroźnego powietrza i odetchnęła z ulgą. Życie wreszcie powróciło do normy. Dawno nie spędziła tak radosnego Bożego Narodzenia. Obudziła się w niej nadzieja, że święta następnego 1990 roku będą jeszcze lepsze. Dla niej, dla kraju, dla wszystkich.

## Rozdział VII

Sekretarka z trudem chroniła naczelnego przed próbującymi wtargnąć do niego dziennikarzami, a także ciągle wpadającymi gośćmi z miasta. Telefon dzwijał bez przerwy. „Start”, którego już osiem numerów ukazało się w kioskach, zyskał popularność, ale nie zawojował rynku. Marek w głębi ducha przeżył ciche rozczarowanie, bo miał nadzieję, że pismo, całkowicie wolne od upiorów przeszłości, piszące o najważniejszych sprawach wprost i bez owijania w bawełnę, wywoła natychmiastowe zainteresowanie i masowo podbije serca czytelników, ale oni byli konserwatywni, ostrożni, nieufni. Najbardziej pasjonujące debaty na temat przyszłego ustroju państwa, polemiczne teksty o demokratycznych reformach nie tylko nie wywoływały entuzjazmu, ale przeciwnie, powodowały niepokój i znużenie, tak jakby ludzie rozpaczliwie czepiali się przeszłości, jakby zmiana, której sami przecież dokonali, której pragnęli przez lata, nagle ich przeraziła, a nawet gorzej, wydała się zbędna. Nowy ustrój wymagał od obywateli działania, a większość z nich wybierała bierność lub kręcenie się wyłącznie wokół własnych interesów. Gorący entuzjazm z czasów Solidarności znikł w dwa dni po wolnych wyborach. Takimi gorzkimi przemyśleniami Marek dzielił się ze Stasiem.

- Robimy w magmie. Społeczeństwo jest zagubione - ocenił jak zwykle celnie sytuację Paprocki.

- Bez ludzi nic się tu nie da zrobić, bez ich zapału i wsparcia... A zobacz, co się dzieje. Każda najłżejsza próba zmiany status quo napotyka opór. Oni chcą rzeczy niemożliwej.

- Dla naszego narodu nie ma rzeczy niemożliwych - przerwał mu Staś.

- Owszem. Nie można przecież budować kapitalizmu i marzyć o socjalizmie jako ustroju społecznej nirwany - denerwował się Marek.

- Kiedyś było dokładnie odwrotnie, a teraz jest tak, jak jest - odpowiadał Staś filozoficznie. - Powoli się odzwyczajają od starego i przywykną do nowego. Rewolucja niczego nie gwarantuje, tylko ewolucja ma rację bytu, tylko ona się sprawdza.

- Zgoda, wielkie procesy społeczne nie mogą przebiegać z dnia na dzień, ale to nie jest nastrój czasu wielkiej przebudowy, tylko, kurwa, jakaś olbrzymia frustracja, negacja i depresja!

- Najważniejsze, stary, żebyś ty się tak nie przejmował, bo mamy jeszcze na dziś mnóstwo roboty. - Paprocki jak zwykle chłodził emocje naczelnego. - I przypominam ci, że góra czeka na twoje opracowanie w sprawie programu prywatyzacji prasowego koncernu.

- Jak uwolnimy prasę z kleszczy partyjnego monopolu, sprywatyzujemy, co zyskamy? Tylko większą konkurencję. Wbijemy sobie samobójczego gola. Po cholere nam wolnorynkowa gra? No, Stasiu, pomyśl nad tym, a ja udaję się na zasłużony odpoczynek w towarzystwie braci Machnickich - zakpił Marek, zamykając drzwi od mikroskopijnego pokoju, który zajmował jego zastępca.

- Prędzej wypocząłbyś w asyście młota pneumatycznego - dobiegł go jeszcze głos Stasia.

Żartowali, ale wiedzieli obaj, jak wiele jest powodów do zmartwienia. W szeregach dawnej opozycji także zaczęły pojawiać się solidne pęknięcia, jednych pchała do secesji chęć zdobycia dla siebie władzy, innych przekonanie, że tylko ich własne koncepcje doprowadzą do przeprowadzenia koniecznych reform. Jedni i drudzy wydzwaniali do Marka, awanturując się o teksty nie po ich myśli lub próbując wpływać na ton publikacji. Zirytowany, nie przebierając w słowach, krzychał do słuchawki:

- Słuchaj, stary, coś ci się popieprzyło! To nie jest wydział prasy KC, to jest całkiem inny adres. Wolna, kurwa, prasa!

Zamknął się w gabinecie z dwoma dziennikarzami, Andrzejem oraz Krzysztofem Machnickimi, i tkwili tam we trzech od godziny. Obaj bracia tworzyli zgrany tandem. Psychicznie i fizycznie do siebie podobni, z tym że Krzysztof był wyższy i mniej

wysportowany. W czasach studenckich, wspinając się w Tatrach, odniósł poważną kontuzję nogi i teraz kulał. Krzysztof, dwa lata starszy od Andrzeja, zajmował w braterskim duecie pozycję lidera i to on głównie zdawał relację ze sprawy, z którą przyszli. Obaj już od końca lat siedemdziesiątych byli znanymi tropicielami afer, w jakie wplątywali się prominentni członkowie władzy komunistycznej. W podziemiu wydali książkę „Lewizna”, zawierającą reportaże na temat najbardziej spektakularnych przekrętów. Mieli kontakty, informatorów, byli niezłymi autorami. Marek jedynie obawiał się chorobliwej podejrzliwości obu braci wobec wszystkiego, co w najłżejszy choćby sposób kojarzyło się z minionym systemem. Stawali się wówczas czujni niczym koty nasłuchujące chrobotania myszy i natychmiast gotowi do łowów.

W pracy habilitacyjnej doktora Wacława Jaskiera opisani zostali jako jednostki zagrożone manią prześladowczą wskutek negatywnych doświadczeń, które stały się ich udziałem w stanie wojennym. „Bracia M. tylko dzięki temu - pisał doktor Jaskier - że wykonują zawód dziennikarski, mogą w znacznym stopniu wyzwolić się z pęt spiskowej teorii dziejów. Fakt, że swoje obsesje przelewają na papier (co jest w takich przypadkach zalecaną formą psychoterapii), a następnie to, co napisali, z konieczności podlega logicznej analizie, zanim pojawi się w druku, sprawia, że nabierają niezbędnego dystansu, który w przypadku obu braci M. ma zbawienny wpływ na ich psychikę. W innej sytuacji, indukując sobie wzajemnie własną podejrzliwość, mogliby się stać podatnym materiałem na rewolucjonistów lub, co gorsza, zamachowców”.

Marek odnosił się więc z ostrożną wiarą do tekstów oddawanych przez braci, co najmniej kilkakrotnie każąc im sprawdzać fakty i przekonywająco zdawać z nich sprawozdanie, a przy okazji likwidował nadmiar obraźliwych przymiotników i zbyt subiektywnych, czasem wcale nieuzasadnionych ocen.

- Każda kolejna, poprawiona wersja waszego tekstu przybliży nas do prawdy - mówił żartobliwie, oddając im artykuł po raz trzeci.

Za każdym razem bracia wychodzili z gabinetu naburmuszeni. „Big Mac - narzekali do siebie rozgoryczeni - znów ma big sraczkę”. Z reguły jednak, kiedy artykuł pojawiał się już w druku, zgodnie z diagnozą doktora Jaskiera, nastrój im się poprawiał. Aż do następnego razu.

Po wyjściu Machnickich Marek poprosił sekretarkę, aby nadal nikogo z nim nie łączyła.

- Dzwoniła pani Anna. Dwa razy - zameldowała, ale pokręcił głową.

- Powiedziałem: nikogo. Proszę o kawę - dodał i zamknął drzwi gabinetu.

Rostocka bez jednego słowa zabrała się do przygotowania kawy. Bezbłędnie wyczuwała jego nastrój i wiedziała, że dziś z naczelnym nie ma żartów.

Propozycja, którą przekazali mu Machnicy, rozmyślał, może okazać się niezłą gratką. Udział dziennikarzy tygodnika w całej sprawie z pewnością wzniesiłby hałas wokół „Startu”, a pismo potrzebowało nagłośnienia tytułu, promocji i wzrostu sprzedaży. Jednak wszystko, co bracia powiedzieli, brzmiało trochę niepokojąco. To może być prowokacja. Ale zrezygnować?

Z drugiej strony czy babranie się w jakieś agenturalne kontakty może przynieść coś dobrego? W gruncie rzeczy brzydził się przeciekami, uważając je za swego rodzaju próbę manipulacji prasą. Jednak zdawał sobie sprawę, że z miesiąca na miesiąc rywali na rynku będzie przybywało, więc musi być przygotowany do rynkowej wojny i nie odpuszczać, tylko już dziś brać się z rzeczywistością za bary. Jeśli umocni swoją pozycję, jutro będzie mu łatwiej pokonać konkurencję. Inaczej „Start” długo nie przetrwa. Nie może być tak, że pierwszy zacząłem, pomyślał, i pierwszy zakończę ten interes. Tyle wysiłku, tyle zmagania z durnymi przepisami i opornymi ludźmi poszłoby na marne. Wystarczała sama myśl o ewentualnej klęsce, żeby natychmiast pobudzić go do działania, choćby był najbardziej zniechęcony. Musi podjąć szybką decyzję. W tę i we w tę przemierzał gabinet. Co robić? Czuł ciężar odpowiedzialności, której nie mógł podzielić z nikim.



- Panie redaktorze, są nowe kolumny. Rzuci pan okiem? Za godzinę wyjeżdżają do drukarni. - Sekretarka popatrzyła na niego ciekawie. Od dawna nie widziała naczelnego w stanie takiego wzburzenia.

Postanowił odłożyć decyzję do rana. Presja codziennej redakcyjnej roboty była zbyt silna. „Start”, niezależnie od jego wewnętrznych rozterek, musi ukazać się w jak najlepszej formie. Pogonił do roboty Mikę i Stasia, którzy właśnie spierali się o przyszłość lewicy w Polsce.

- Nie macie o czym gadać? Może lepiej podyskutujcie o niepewnej przyszłości naszego pisma - rzucił ostro, zbierając z biurka sekretarki kolumny do czytania.

Oboje mrugnęli do siebie porozumiewawczo. Jak szef był w takim humorze, lepiej nie wchodzić mu w drogę. Bez słowa więc się rozstali i ruszyli do swoich klitek.

\*

Wieczorem po raz pierwszy, odkąd zamieszkał u Anny, wrócił po pracy nie na Koszykową, ale do swojej kawalerki. Wszedł do mieszkania i ogarnęła go ochota, aby natychmiast wyjść. Nieporządek w mieszkaniu wydał mu się odbiciem chaosu we własnej głowie. Powoli musi to wszystko uporządkować. Ułożył porozrzucane wszędzie gazety, opróżnił pełne petów popielniczki, zmył stertę naczyń, starannie zeszkrobując zaschnięte resztki pożywienia, wyrzucił śmieci. Był głodny, więc ugotował makaron, wrzucił do niego puszkę pomidorów i przysmażył kielbasę, którą kupił po drodze. Do posiłku wypił trzy kieliszki zmrożonej wódki. Zrobił sobie herbatę, włączył muzykę, usiadł na fotelu i zasnął. Z głębokiej drzemki wyrwał go dzwonek telefonu. Z trudem wyciągnął zdrtwiałą rękę w kierunku słuchawki. Zmarzł i czuł się rozbity. Poskarżył się Annie, bo to ona dzwoniła.

- Wróc do domu - doradziła. - Przytulimy się do siebie, będzie ciepiej.

Nie spodobał mu się jej beztroski ton.

- Dziś nie przyjdę - oznajmił krótko.

- Co się stało? - W głosie Anny zabrzmiał niepokój.

- Muszę być sam... muszę pomyśleć.

- Pomyślimy razem - zaproponowała.

- Nie, Aniu, naprawdę, nie dziś...

- Jak to dobrze - powiedziała z urazą - że nie jesteśmy małżeństwem. Nie miałbyś takiego azyłu.

- Nie chcę się kłócić.

- Ja też nie chcę. Tylko stwierdzam fakt. Dobranoc.

Usłyszał trzask odkładanej słuchawki. Od wielu tygodni pracował po kilkanaście godzin na dobę. Czuł zmęczenie w każdej części ciała. Nie chciał myśleć o redakcji ani o Annie. Własne życie wydało mu się zbyt trudne, niemożliwe do ogarnięcia. Wszyscy oczekiwali od niego błyskawicznych i trafnych decyzji, uwagi dla siebie i swoich tekstów, domagali się entuzjazmu i wsparcia w chwilach zwątpienia, jemu nigdy nie pozwalając na chwilę słabości. Poczł rozgoryczenie. Traktowali go jak worek treningowy, w który każdy mógł uderzyć, nawet ukochana kobieta. Nie miał ochoty zostać sam, ale mimo to postanowił nie wracać do Anny. Pragnął zademonstrować swoją niezależność, prawo do samotności i kontroli nad własnym życiem. Spojrzał na zegarek. Było późno, po jedenastej. Przez chwilę się wahał, ale w końcu wykręcił numer.

- To ja - powiedział.

- Dlaczego dzwonisz?

- Dawno się nie widzieliśmy.

Wezwał taksówkę i krótko po północy dotarł do Ireny. Po drodze minął rodzinny dom. Było w nim całkiem ciemno. Uśmiechnął się w duchu. Matka miałaby sporo do powiedzenia na temat jego nocnej wycieczki.

Irena otworzyła drzwi, gdy tylko podjechała taksówka, jakby nasłuchiwała jej przyjazdu. Od ich ostatniego spotkania minęło wiele, wiele miesięcy. Przyjrzał się stojącej w progu szczupłej, wysokiej kobiecie. Długie kręcone blond włosy miała podpięte do góry. Wysokie kości policzkowe podkreślały urodę skośnych orzechowych oczu. Duże, wypukłe usta i maleńki, lekko zadarty nos nie stanowiły dysonansu, ale dziwnie się uzupełniały. Miała na sobie czarne wąskie spodnie i czarną koszulkę, na bosych stopach czarne klapki na wysokim obcasie. Kiedyś wyrzuciła jego domowe pantofle do śmieci, mówiąc: „Nie znoszę kapci. Oznaczają brak szacunku dla własnego domu, a co gorsza dla domowników”.

Wprawdzie lubił swoje wygodne i wcale niebrzydkie kapcie, ale przebywając u Ireny, potulnie wkładał brązowe mokasyny, choć zmienianie butów na buty, jego zdaniem, było całkowicie pozbawione sensu. Mój Boże, spędzałem z tą kobietą namiętne noce, każdy dzień bez niej wydawał mi się stracony, a teraz, myślał z rosnącym przerażeniem, nie umiem sobie przypomnieć żadnej z tych wspaniałych rzeczy, które z nią przeżyłem, tylko te kapcie przychodzą mi do głowy. Jestem psychopata, pozbawionym uczuć dupkiem, wyrzucał sobie, usiłując jednocześnie za wszelką cenę przywołać wspomnienie choćby jednej niepowtarzalnej chwili, którą razem przeżyli. Przeczuwał jednak, że jego wysiłki będą skazane na niepowodzenie. Miał w głowie totalną pustkę.

Usiadł na kanapie w salonie, w którym zauważył kilka zmian od czasów, kiedy bywał tu codziennie. I nagle doznał dziwnej podwójności istnienia, bo nie mogąc sobie przypomnieć, jednocześnie pamiętał wszystko. Delektował się znanymi odgłosami i zapachami tego domu. Znał każdy milimetr ciała jego właścicielki. Czy jednak i ono, wraz z upływem czasu, nie poddało się, tak jak wszystko, jak całe ich życie, przemianom? Czy mogło pozostać tak doskonale w kształcie, a skóra tak jedwabista w dotyku, jak zapamiętał? Miał przed sobą kobietę, dla której kiedyś oszalał, ale patrząc na siedzącą obok Irenę, sięgał do obrazu z przeszłości. Nie potrafił ocenić jej obecnego wyglądu, bo wspomnienie przysłańiało terażniejszą postać kochanki. Jak to możliwe, że tkwiąc w realnej sytuacji i mając do czynienia z konkretną osobą, rzeczywistość jak fatamorgana ginęła mu sprzed oczu? Miał nadzieję, że takie sytuacje zdarzają się jedynie w zetknięciu z byłymi kochankami, że prowadząc gazetę, nie ulega omamom, zwidom, fantomom. Ale kto wie? - zastanowił się zakłopotany. Tak łatwo dać się wpuścić, ulec jakiemuś podstępowi, wziąć udział w grze pozorów. Postanowił, że będzie ostrożniejszy, bardziej uważny i czujny, żeby nikt i nic nie mogło zagrozić jego przedsięwzięciu. Długo i uważnie patrzył na Irenę, lecz ona, aktorka, przywykła do badawczych spojrzeń. Nie speszyła się, tylko z uwodzicielskim uśmiechem zapytała:

- Co się stało, że przypomniałeś sobie o mnie?

- Nic, chciałem cię odwiedzić.

- Kurtuazyjna wizyta po północy? - Jej wyszkolony, dźwięczny głos zabrzmiał ironią.

Postanowił być szczery.

- Nie wiem, dlaczego przyjechałem. W decyzji, którą mam do podjęcia, i tak nie możesz mi pomóc.

- Może po prostu pomyliłeś adresy. - Uśmiechała się sceptycznie, a sceptycyzm w wykonaniu tak utalentowanej jak ona aktorki sięgał samego dna zwątpienia. - Zamiast do mnie, miałeś wpaść do matki, bo ona przecież tak świetnie rozwiązuje twoje sprawy, a tylko przypadkiem trafiłeś tutaj...

Niepotrzebnie przyjechał. Nie była jego przyjaciółką, stała po przeciwnej stronie barykady. Powiedział jej to. Na jego słowa zareagowała gwałtowniej, niż się spodziewał. Mówiła, wyraziście gestykulując, ale panowała nad gestami, żaden nie był odstręczający czy niezgrabny. Zastanawiał się, w której ze sztuk widział ją w podobnej roli.

- Zniszczyłeś mój szczęśliwy związek z Igozem. Dręczyłeś mnie depresją swojej żony. A potem odszedłeś z dnia na dzień, opowiadając mi jakąś nędzną historię o matce. Żyłeś sam,

nie miałeś innej kobiety, mimo to nie pojawiałeś się tutaj, nawet gdy mieszkałeś dwa kroki stąd ani kiedy potem przyjeżdżałeś z wizytą do matki. Teraz żądasz mojej przyjaźni... ale kiedy ja wydzwaniałam do ciebie, błagając o rozmowę, o wyjaśnienia, o pomoc, miałeś to w dupie. Omijałeś mój dom, jakbym była zadżumiona... Dlaczego? Powiedz, dlaczego?

- Skoro odszedłem, to nie po to, żeby wracać - odparł ostro, lecz zaraz w zakłopotaniu poskrobał się w policzek.

- Jednak dziś wróciłeś.

- Nie wróciłem. Przyszedłem...

- Co za subtelna gra słów.

Wstała z kanapy i nerwowo kręciła się po pokoju. Marek także się podniósł, podszedł do telefonu i zamówił taksówkę. Obserwowała go bez słowa.

- Przepraszam cię - powiedziała po chwili i przytuliła się do niego mocno. - Ta rozmowa nie ma sensu. Zacznijmy od początku.

- To nie jest próba generalna, kochanie - stwierdził, palcem podpierając jej brodę. - Nie powinienem był zawracać ci głowy... Niedługo się żenię - zameldował tylko po to, aby uwolnić się z tej niezręcznej sytuacji, w którą z własnej woli się wplątał.

- Z Anną Leską? - zapytała. Kiwnął głową.

- No cóż... - Uśmiechnęła się złośliwie, a jej twarz przez jedną złudną chwilę przypominała mu pyszczek pekińczyka. - Piękna dziewczyna i romantyczna. Słyszałam, że w stanie wojennym chciała popełnić samobójstwo z miłości do jakiegoś Amerykanina.

- Bzdura! - Wzruszył ramionami.

- O tej historii można byłoby wyśpiewywać romanse. - Zanuciła melodię z „Madame Butterfly”. - Rozumiem, że ci się nie zwierzała? Podobno ma z nim dziecko. Syna, zdaje mi się.

Usłyszeli pisk opon. Pod dom podjechała taksówka. Stojąc już w progu, sam nie miał pojęcia dlaczego, poinformował stojącą przed nim kobietę:

- Jej syn ma na imię Marcin... Do widzenia. - Pocałował rękę, którą szybko wyrwała.

Starannie zamknęła za nim drzwi. Dała mu w ten sposób znak, że stawia pomiędzy nimi granicę nie do przekroczenia. Siedząc w taksówce, postanowił nie myśleć o tej wizycie ani nie zastanawiać się nad sensem rozmowy z dawną kochanką. W końcu co to za różnica, z kim Anna ma dziecko? Wiedział, że Irena chciała go dotknąć, ale jednocześnie zaskoczył go smutek i bezradność, jakie pobrzmiwały w jej słowach. Dziwił się sobie, że wpadł na pomysł odwiedzin. Czego mógł oczekiwać od rozżalonej kobiety, którą sam skazał na samotność?

Miał ochotę zatrzymać taksówkę przed domem Anny, ale nie chciał dziewczyny budzić. Zresztą nadal nie podjął decyzji w najważniejszej sprawie. Nie mogę, skarcił się, zachowywać się jak uczeń, który nie mając ochoty odrabiać lekcji, wynajduje sobie coraz to nowe zajęcia. Ale gdzieś głęboko czuł lekki ból, a może niesmak.

- Po diabła mi to było... - mruknął sam do siebie.

Następnego dnia zdecydował się na spotkanie z Iksem. Machniccy tak nazywali wysokiego przedstawiciela służb specjalnych, który miał być źródłem przecieku. Iks nie chciał umawiać się bezpośrednio z naczelnym. Na sygnał, że szef zgadza się na rozmowę, agent miał zadzwonić do jednego z braci na godzinę przed spotkaniem i wskazać miejsce.

- To jak z „Ojca chrzestnego” - śmiał się Marek, mocno ubawiony informacjami od braci. - Pamiętacie tę scenę z poszukiwaniem odpowiedniej knajpy? Mam tylko nadzieję, że jako miejsca naszego rendez - vous nie wybierze Wierzyńska, bo nie zdążę dojechać do Krakowa.

Bracia nie dzielali jego rozbawienia, przejęci misją, jaką mieli do wykonania. O 13.30 Krzysztof wkroczył do gabinetu i nie mówiąc ani słowa, napisał na kartce: „Czerwony opel o numerach WLA 2394 będzie czekał u wylotu szosy na Zegrze. Poprowadzi dalej”.

- Teraz zjedź tę kartkę - doradził Marek z powagą.

- Oczywiście. - Krzysztof nie zawahał się ani przez chwilę. Marek znów się roześmiał. Zapalił zapałkę i nad popielniczką spalił kartkę na popiół. Takie zachowanie zyskało aprobatę Krzysztofa. Big Mac jednak czasem rozumiał, co się do niego mówi, choć znacznie rzadziej pojmował to, co się pisze, pomyślał rozgoryczony o tekście, który znów ostatnio został im zwrócony przez szefa. „Do drobnej korekty. Doprecyzujcie kilka faktów” - powiedział cholerny Big Mac, wręczając im artykuł popodkreślany w wielu miejscach czerwonym piórem. Po wyjściu z gabinetu Andrzej przyjrzał się upstrzonym kartkom i wykrztusił: „Znalazł się, kurwa, impresjonista”. Uczucia obu braci do naczelnego, który był ich kumplem z czasów opozycji, miały wysoką amplitudę, od skrajnej nienawiści do bezgranicznego uwielbienia. Zależały od wielu czynników, ale najczęściej od jego stosunku do ich aktualnego tekstu.

Pojechał zgodnie ze wskazówkami Iksa za czerwonym oplem, który dał mu znak światłami. Dotarli do kompletnie pustej knajpki nad Zalewem Zegrzyńskim. Krępa kobieta z mocno utlenionymi włosami, ubrana w puchową kurtkę, podała im nieoczekiwanie dobrą kawę i szybko się pożegnała. Zostali sami w paskudnym wnętrzu. Na ścianach pomalowanych na fioletowo wisiało mnóstwo słomianych ozdób, w kącie stała szafa grająca, obdrapany bufet zdobiły sztuczne kwiaty. Za dużym oknem rozciągała się mokra plaża i szare, zupełnie puste jezioro. Mżył drobny deszcz, było zimno i nic nie zapowiadało, choć był koniec marca, mającej niebawem nadejść wiosny.

- Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać - powiedział Iks.

Był niewysoki, zaokrąglony, schludny, robił miłe wrażenie. Poinformował Marka o mającym nadejść niebawem do Polski dużym przemyśle narkotyków z Tajlandii. Część partii mają odebrać Holendrzy, reszta będzie dystrybuowana w Polsce. Chodzi nie tylko o zyski, podkreślił, ale i utrzymanie kontroli nad krajowym rynkiem przez grupę, która montuje przerzuty.

- To będzie już trzeci przemyt na tak dużą skalę, przynajmniej o tylu wiemy - stwierdził, przygryzając usta. - Za drugim razem przechwyciliśmy część towaru i paru kurierów. Z zeznań jednego z nich, najwyżej usytuowanego w hierarchii i najbardziej doświadczonego, wynikało, że pieniądze z towaru w dużej części przeznaczone są na cele gospodarcze i polityczne.

- Lewo czy prawo? - zapytał Marek dla porządku.

- Cieszę się, że usłyszałem od pana to pytanie, panie redaktorze, bo dowodzi ono, że nie jest pan natchnionym idealistą, ale obiema nogami chodzi po ziemi. Nie zakłada z góry, że brud i gówno mogą się zbierać tylko po jednej stronie... No cóż, trzeba mieć pieniądze, żeby cieszyć się pełnią władzy. Teraz bardziej niż dawniej. Powoli kraj zacznie się prywatyzować. Do kupienia będą fabryki, kamienice, ziemia... wszystko. Nic dziwnego, że mądrzy ludzie stali się wrażliwsi na szmal. Bez niego nic się nie zrobi, a z pełnymi kieszeniami nawet nie trzeba schylać się po panowanie nad ludem, ono samo przyjdzie.

Iks uśmiechnął się i na jego twarzy powstały bruzdy. Jest starszy, niż sądziłem, pomyślał Marek.

- Czego oczekuje pan od mojego tygodnika?

- Hm... Po pierwsze, pewnego rodzaju współpracy. Gdy tylko zgarniemy towar, przydałby się krótki tekst na ten temat, z sugestią, że cały transport przeznaczony był dla Rosjan czy Bułgarów. Wszystko jedno. Chodzi tylko o to, żeby zmylić przeciwnika.

- Ale w jakim celu? - Marek przyglądał się siedzącemu naprzeciwko mężczyźnie i starał się przeniknąć jego intencje.

- Chciałbym prześledzić, dokąd idą pieniądze z towaru. A raczej kto personalnie się do nich dobiera. Kto za tym stoi.

- Kierują panem powody polityczne?

- Zaskoczę pana, ale nie. Mam ochotę trafić do organizatorów przerzutu, do łebskich facetów, którzy nie wahają się wejść w kurewski interes, nie licząc się z tym, że narażają życie własnych obywateli, najczęściej tych najmłodszych. Gotowi są z nich zrobić ćpunów, byleby tylko oni zyskali choćby gram władzy.

- A więc jest pan człowiekiem ideowym.

- Nie ma pan racji. Po prostu cholernie nienawidzę tego gówna, wiem, jak uzależnia, jakie szmaty robi z ludzi... Walczę z tą trucizną od paru ładnych lat. Nie osiągnąłem zbyt wielu sukcesów, ale od czasu do czasu coś się udaje. Nie mam też żadnych złudzeń, narkotykowy biznes jest intratny i przestępcy będą się nim zawsze zajmowali. Przestępcy, zgoda, ale nie politycy, nie ludzie związani z władzą, na miłość boską... - Mówiąc, Iks uderzał w blat krawędzią dłoni. - Nie jestem jednak kamikadze. Gdybym czuł, że coś mi zagraża, chciałbym móc się zwrócić do zaprzyjaźnionego pisma. Może wtedy ukazałby się artykuł, który przestrzegłby moich wrogów? Machniccy mają dobre pióra, dużo wiedzą. Chciałbym mieć ich za sobą, ale powiedzieli, że to pan musi zdecydować.

- Co moja gazeta będzie z tego miała? - zapytał Marek. Lojalność Machnickich spodobała mu się i choć sam nie wiedział dlaczego, bardziej przychylnie nastawiła go do siedzącego przed nim faceta.

- Wyłącznie w dostępie do informacji. Oczywiście może to okazać się nic niewarte lub przeciwnie, bardzo wiele warte, jeśli dotrzemy do organizatorów przedsięwzięcia. Ich nazwiska mogą okazać się smakowitym kąskiem dla przyciągnięcia uwagi czytelników. - Iks znów lekko się uśmiechnął.

- A jeśli odmówię?

- Proszę się nie obawiać, nie zwrócę się z tym do innej gazety. I tak już zbyt wiele osób wie o całej sprawie. Pan i bracia - to już trzy. Tres faciunt Collegium - odezwał się nieoczekiwanie po łacinie i mrugnął do Marka. - Studiowałem prawo... Największe tajemnice powinno się dzielić wyłącznie ze sobą. No cóż, zaryzykowałem... Jeśli nie podejmie pan rzuconej rękawicy, nadal będę robił swoje, na tym polu działam już przecież od dwudziestu lat. Czasem jednak każdy człowiek potrzebuje wsparcia, prawda?

Marek miał wrażenie, że nawiązała się między nimi dziwna nić ni to porozumienia, ni to sympatii. Każdy z nich po swojemu starał się lepić nową rzeczywistość. Iks podniósł się z krzesła, Marek wstał również. Bez słowa wkładali płaszcze.

- Pożegnajmy się tutaj. - Iks podał mu rękę. Ucisnął jego pulchną, ale suchą, silną dłoń.

- W razie czego proszę się zwracać do naszego tygodnika.

- Dziękuję - rzucił Iks niemal w progu i błyskawicznie wyszedł.

Gdy Marek wracał do Warszawy po spotkaniu z Iksem, zdał sobie sprawę, że nie widział Anny od prawie czterdziestu godzin. Jego zmęczenie, sięgnąwszy zenitu, parzyło kolejne części ciała jak słońce w samo południe. Wyprawa do Ireny, a potem bezsenność zabrały mu czas nocnego wypoczynku i dołożyły się do wcześniej odczuwanego znużenia. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin działał jak automat, sprawnie, ale beznamiętnie. Przez krótki czas wydawało mu się nawet, że nie zależy mu już na Annie, może od niej odejść bez specjalnego żalu w każdej chwili. Teraz jednak miał silne przekonanie, że tylko zdawszy się na jej dotyk, czując przy sobie bliskość dziewczyny i lekko rozgrzane pieszczotami ciało, będzie mógł wreszcie odpocząć, pozbywając się ołowiu, który ciążył mu na karku. Jak naiwnie wyobrażał sobie wolność, jak łatwo pragnął w niej żyć. Nawet on nie był przygotowany na nieprzebraną liczbę codziennych wyzwania, które stawiała nie tylko przed nim, ale przed wszystkimi innymi. A przecież znaleźli się dopiero na samym początku drogi. Czy zdołają ją przebyć bez większych strat i urazów? A co będzie, pomyślał z przerażeniem, jeśli zniechęceni trudnościami ludzie zawrócą?

Te pytania wystarczyły, aby zmienił decyzję i zrezygnował z powrotu do domu, do Anny. Tyle jest do zrobienia. Swoimi tekstami nie uleczy kraju, ale przynajmniej w kilku miejscach przylepi plastry, a w innych rozjątrzy rany. Najważniejsze to budzić czytelników z uśpienia, nie pozwolić im na obojętność. Skręcił w kierunku redakcji. Zdaży jeszcze napisać i wstawić do najbliższego numeru wstępniak, który właśnie ułożył mu się w głowie.

## Rozdział VIII

Jasne, ale lekko anemiczne kwietniowe słońce przygrzewało przez okienne szyby. Zza otwartego lufcika docierał do uszu Marka gwar wiosny, ludzkie i ptasie głosy mieszały się ze sobą, tworząc prawdziwy rejwach. Otworzył oczy i spojrzał na zegarek. Było wpół do pierwszej. Jeszcze przez długą chwilę rozkoszował się pierwszym od miesiący leniwym sobotnim przedpołudniem. Leska z Marcinem, zaraz po śniadaniu, postanowili udać się do zoo, co chłopiec oznajmiał, rycząc jak lew lub wyjąc jak wilk, każąc dorosłym zgadywać, jakie zwierzę naśladuje. Po ich wyjściu w domu zapanowała rozkoszna cisza. Nie zastanawiali się zbyt długo, w jaki sposób wykorzystać czas błogosławionego spokoju.

Pierwsza wskoczyła do łóżka Anna, po drodze zsuwając dzinsy i koszulkę. Nie miała pod spodem żadnej bielizny. Jeszcze ubrany, przytulił ją do siebie zupełnie nagą. Przez materiał wyczuwał jej twarde piersi, sterczące sutki, sklepienie łona, jędrne uda. Lekko śniada skóra miała gładkość atlasu. Anna próbowała mu rozpiąć koszulę, lecz ją powstrzymał. Chciał przez chwilę jak obojętny, ale wybitny ekspert podziwiać budowę jej ciała, dotykaniem rozpoznawać doskonałość konstrukcji, wyczuwać pod palcami miękkość brzucha, a potem twarde zwieńczenie bioder. Jego dłoń podążyła w kierunku stopy, a następnie wyżej, poprzez kształtne łydki, lekko wystające kolana, odbywając swoją drogę dalej, zatrzymała się na dłużej po wewnętrznej stronie ud, krągłymi ruchami badając ich aksamitne obicie, i znów ruszyła wyżej, zagłębiła się w szorstkie, sprężyste owłosienie, bawiła się nim przez chwilę, oplatając kędzierzawe końce wokół palców, dalej zatrzymała się na brzuchu - tu jedwabistość nie była już tak doskonała, bo kobieta, którą do siebie przygarniał, była także matką. Odczytywał ślady macierzyństwa na jej brzuchu, wyczuwał małe fałdki i twardą, długą skazę, bliznę, która pozostała po cesarskim cięciu. Wielbił całe jej ciało, ale to miejsce otaczał niemal kultem, bo dzięki niemu rozpoznawał przeszłość Anny, która w takiej chwili nie umykała przed nim, tak jak działo się to zazwyczaj. Tej szramy nie dało się ukryć, bezwstydnie przecinająca brzuch stanowiła odbicie doświadczeń i przeżyć kobiety, którą kochał. Była też obietnicą, że i on kiedyś pozostawi nasienie, które rozrośnie się w jej brzuchu, wytatuje to piękne ciało swoimi znakami. Błyskawicznie ściągnął koszulę i spodnie. Nie czekając już ani chwili, wdarł się we wnętrze kobiecości, której stała się uniwersalną sublimacją. Jego gwałtowność, jak wyczuł napięty niczym struna, nie spodobała się dziewczynie, w jednej sekundzie więc przemieniła się we wszechgarniającą czułość. Kochali się długo, próbując oddawać sobie rozkosz za rozkosz. Pieszczoty coraz bardziej intymne i pozbawione wstydu rozpałały ich niczym ogień, który najpierw lekko się żarzy, potem rozdziela na ogniste, skwierczące języki, a wreszcie wybucha niepowstrzymanym słupem płomienia.

Przytulili się do siebie i zapadli w sen zmęczonych kochanków. Pierwszy ocknął się Marek.

- Aniu - powiedział - już chyba pora wstawać. Obudzona, uśmiechnęła się do niego.

- Masz rację. - Unosząc się, podparła się na jego torsie i jak zwykle wbiła mu łokieć między żebra. Syknął, ale tylko dla podtrzymania pozorów, bo w istocie kochał ten rytualny gest, który podkreślał ich wzajemną bliskość. - Przepraszam - wyszeptała, tak samo jak robiła to zawsze.

Znów ją przygarnął, czując powracające podniecenie.

- O nie, nic z tego! - zawołała, wyskakując z łóżka. - Wstawaj. Ugotujemy obiad. Zrobimy mamie i Marcinowi niespodziankę.

- No dobrze. Zgadza się, skoro tak postanowiłaś - odparł, zabawnie się krzywiąc - ale chciałbym, żebyś wiedziała, jak bardzo jestem rozczarowany twoją nieżyczliwą wobec mnie postawą.

Podeszła do niego, pochyliła się i wyszeptała mu wprost do ucha, przedtem leciutko je całując:

- Jestem ci więcj niż życzliwa, chyba nawet cię kocham.

Wyznanie było niespodziewane. Poczuł gorącą falę przepływającą przez całe ciało. Chciał odpowiedzieć, ale przez zaciśnięte gardło nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Jednak ona wcale nie czekała na żadne oświadczenie, znikła w łazience, a zza drzwi krzyknęła:

- Pościel łóżko! Musimy zatrzeć ślady przestępstwa, zanim wrócą.

Zaczął doprowadzać pokój do ładu. Ogarnęła go spokojna pewność. Uda mu się, skoro ona go kocha, musi się udać. Trudności nie istnieją, odpędził wszystkie złe, nękaące go od miesięcy myśli. Poszedł do kuchni, zajrzał do lodówki, wymyślił obiadowe menu i oznajmił je Annie, która właśnie wyszła z łazienki.

Po obiedzie, który pochwalili wszyscy domownicy, a on anonsował każde danie jako „łakomy popis kulinarny”, postanowili, że zabiorą Marcina do kina. Kiedy cała trójka znalazła się na ulicy, Leska podeszła do okna i patrzyła na nich zza firanki. Wzrok kierowała przede wszystkim na wnuka, który jak bąk kręcił się wokół dwojga dorosłych, coś mówił, szeroko gestykując, podskakiwał, odbiegał od nich i znów podbiegał. Chce zrobić jak najlepsze wrażenie, pomyślała, z całego serca kibicując wnukowi. Wreszcie Marek wziął go za rękę, a drugą dłoń dziecka podał Annie. Szli tak we troje, z Marcinem pośrodku, a ona obserwowała ich aż do momentu, kiedy znikli z pola widzenia. A potem zrobiła coś całkiem dla siebie zaskakującego. Przeżegnała się i pomodliła za Marka, za niego samego i choć całkiem nie wierzyła w ten pomysł, także za jego przedsięwzięcie, za „Start”, o którym ani na chwilę nie przestawał myśleć. Do tej pory swoje modlitwy przeznaczała wyłącznie dla członków własnego, małego, rodzinnego klanu, wypraszając łaski nie tylko dla żywych, ale i zmarłych. Gdyby jej syn nadal żył, nie miałaby nic przeciwko temu, żeby był taki jak ten chłopak. Modląc się, przyjęła go do rodziny.

Gdy tylko wrócili z kina, Marek natychmiast poszedł do dawnego gabinetu Leskiego i po uszy zagłębił się w pracy.

Był już późny wieczór, kiedy do gabinetu weszła Anna. Chciała powiedzieć dobranoc. Przysiadła na brzeżku krzesła stojącego obok biurka.

- Wpadłam tylko na chwilę, żeby sprawdzić, czy się przypadkiem nie lenisz.

Uśmiechnął się nieprzytomnie. Był całkowicie pochłonięty pracą. Nie lubił wówczas, kiedy ktokolwiek mu przeszkadzał, nawet ona.

- Spędziliśmy piękny dzień. Może gdybyś miał więcej czasu, zdarzałoby się to częściej - oznajmiła z lekką pretensją w głosie.

Nie odpowiedział. Stanęła naprzeciw niego. Śączące się światło lampy na biurku prześwietlało jej postać, która mimo koszuli nocnej wydawała się naga. Ciało Anny pachniało ciepłą kąpielą, mydłem i czymś delikatnym, co tylko łaskotało nozdrza, ale nie pozwalało zaciągnąć się tym zapachem, bo zaraz ulatywał. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w splot słoneczny. Zaraz potem odwrócił się do komputera.

- Przepraszam, kochanie. Muszę to skończyć.

Wyszła bezszelestnie. Wiedziała, że jest niesprawiedliwa, ale czuła się rozczarowana. Pragnęła, żeby ten dzień zakończył się inaczej, nie tak zwyczajnie, aby nadal celebrowali swój związek, świętowali wyjątkową miłość, która ich połączyła. Od dziecka bała się szczęśliwych chwil, bo lękała się ich końca. Leżąc w łóżku, nasłuchiwała nadejścia Marka i długo rozpamiętywała swoje dotychczasowe życie. Zanim go spotkała, była przekonana, że nic dobrego już nigdy się jej nie przydarzy. Owszem, pomyliła się. Ale na jak długo?

O trzeciej w nocy wsunął się pod kołdrę. Zasnął, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki. O godzinie 4.42 zadzwonił telefon. Momentalnie wyskoczył z łóżka. Coś złego musiało się zdarzyć w redakcji, pomyślał i zanim podniósł słuchawkę, przebiegło mu przez głowę kilkanaście możliwości. Tego, co się jednak naprawdę stało, nie przewidział.



Wrócił do sypialni. Obudził Annę, która wcale nie miała ochoty z głębokiego snu powracać do rzeczywistości. Jednak stanowczo nią potrząsnął.

- Są kłopoty z dostawą papieru. - Wymyślił kłamstwo na poczekaniu. - Muszę jechać do redakcji. Czy możesz zrobić mi kanapki i kawę do dużego termosu?

Posłusznie wstała, o nic się nie dopytując, ale zaniepokoiło ją zdenerwowanie Marka. Przez skórę czuła, że nie powiedział jej prawdy. Kanapki i kawa? Odkąd się znali, po raz pierwszy poprosił o przygotowanie posiłku do pracy. W ogóle nie miał takiego zwyczaju. Kiedy był zajęty, po prostu nie jadł. Zapobiegliwe troszczenie się o jedzenie wydało jej się podejrzane. Czuła, jak rośnie w niej napięcie. A może to sprawka pułkownika? Czy byłby w stanie zagrozić Markowi i jego gazecie? Głupie pytanie. Jasne, że mógłby. W ten sposób wzięłby odwet na nim, na niej, na wszystkich z redakcji. Tacy jak Kuczek nie przyjmują przegranej do wiadomości, będzie walczył o swoje...

- Gotowe?

- Tak. - Podała mu plastikową torbę. - Marek, co się stało? Powiedz.

- Przecież powiedziałem. Nie martw się, kochanie.

Słyszała jego kroki, kiedy zbiegał po schodach, a potem warkot samochodu. Zapadła cisza, ale nie było w niej nic kojącego. Anna wiedziała, że już nie zaśnie. Znow zaczęła się bać.

W ciągu pięciu minut dojechał do Dworca Centralnego, gdzie czekał na niego młodszy z braci Machnickich. Zanim zdążył zgasić silnik, Andrzej wszedł do auta. Był bardzo blady, oczy miał zaczerwienione ze zmęczenia, ale jego twarz nic nie straciła ze swojego ujmującego wyglądu. Na prostym, niedużym nosie miał kilkanaście piegów. Zaczesał na bok długie kasztanowe włosy stanowiące obramowanie dla pociągłej twarzy z wyraziście zarysowanymi, prawie pąsowymi ustami. Kiedy się uśmiechał, cienka skóra marszczyła się na policzkach, a gdy stawał się poważny, sprawiała wrażenie naciągniętej niczym płótno na kanwie do haftowania. Dość drobny, ale bardzo wysportowany, poruszał się zwinnie, trochę jak ryś, który przyczajony poluje na zdobycz. Styl życia Andrzeja, żartowali z niego koledzy z redakcji, sprowadzał się do tego, że miał zawsze paru ubeków na celowniku i kilka dziewczyn na mieście. Z tego ostatniego powodu nazywany był Macho.

- Co się stało? - zapytał Marek, rzuciwszy zza kierownicy spojrzenie na bladego i roztrzęsionego Andrzeja. - Mów... Albo nie. Poczekaj chwilę, zaraz staniemy, a ty zbierz przez ten czas myśli, bo widzę, że działo się coś cholernie paskudnego...

Macho bez słowa pokiwał głową. Widać było, że stara się zapanować nad nerwami. Nie odzywali się przez całą niedługą drogę. Marek zaparkował samochód na parkingu nad Wisłą, wśród kilku ciężarówek. Szary świt, poprzetykany już złotawymi nitkami słońca, powoli rozpościerał się nad rzeką, która płynąc swoim nurtem, obojętnie przyjmowała zmianę pory dnia. Andrzej chciał mówić, ale głos uwiązł mu w gardle.

Marek otworzył niewielką torbę, z której wyjął termos i kanapki.

- Pora na śniadanie - zaanonsował lekko ironicznym tonem i podał kumpłowi kubek z kawą. Andrzej łąpczywie wypił i gestem poprosił o dolewkę.

- Nie mogę teraz jeść - powiedział. - Może później.

- No to mów.

- Aresztowali Krzysztofa i chyba rąbnęli Iksa... No w każdym razie widziałem, jak dostał... Strzelił do niego jakiś facet, może jeden z tych, co kręcili się przy towarze. Kiedy Iks upadł obok mnie, postanowiłem zwiewać. Zresztą wszyscy się rozpierzchli, ale i tak na placu nie było już wielu osób. Teraz uświadomiłem sobie, że tuż przed przyjazdem policji prawie wszyscy tamci znikli. W każdym razie Krzysiek nie zdążył uciec. Zauważyłem jeszcze, że zgarnia go policja - wypalił tę informację, aby jak najszybciej mieć ją za sobą. Marek słuchał kompletnie oszupiały. - Iks zawiadomił nas, że dziś w nocy będzie duży przerzut narkotyków, który chce nakryć, dostał cynk. Powiedział, że możemy towarzyszyć ekipie i że na pewno

będzie to dla nas ciekawe widowisko. Staliśmy, patrzyliśmy, jak się to wszystko odbywa, a potem wpadła policja i zrobił się kocioł.

Andrzej starał się mówić jak najzwężlej, aby do Marka cała sprawa dotarła w najkrótszym możliwym czasie. Czuł, że sam już ani chwili dłużej nie zniesie jej ciężaru. Gwałtowna reakcja szefa go nie zaskoczyła.

- Dlaczego? Pytam, dlaczego, kurwa, nie zadzwoniście, nie zapytaliście, czy macie tam jechać? Co to jest, do kurwy nędzy, klub towarzyski, gdzie każdy może robić, co chce? - Marek nie posiadał się ze złości, najchętniej wyrzuciłby Macho za łeb z samochodu prosto na bruk. Wyjął papierosa, zmiażdżył go i zapaliwszy następnego, gestem głowy dał znak, że słucha dalej.

- Chcieliśmy zrobić niespodziankę... - wydukał Andrzej. - Myśleliśmy, że jak zbierzemy fajny materiał, to w niedzielę napiszemy tekst, a w poniedziałek przyniesiemy. Sam mówiłeś, że nie mamy w numerze żadnego hitu i jak tak dalej pójdzie, to wszyscy skończymy na makulaturze.

- No, za to teraz mamy hit. Damy portret Krzycha na okładkę z tytułem: „Wyczyn naszego żurnalisty! Za narkotyki wylądował w pierdłu”. Jest się czym popisać - skomentował Marek zgryźliwie. Starał się zachować spokój, ale rewelacje Macho kompletnie wyprowadziły go z równowagi. Cała sprawa śmierdziała na odległość.

\*

Światło sączyło się spod drzwi. To był znak, że mimo późnej pory Anna nie spała. Ostatnio cierpiała na bezsenność. Już wcześniej poznał ogarniające ją od czasu do czasu stany smutku, które doprowadzały do całkowitego wyobcowania z otoczenia, ale teraz przejawiała dodatkowo gorączkowy niepokój. Była rozdrażniona i nieprzyjazna wobec niego, wobec ich związku. Ostatnio kłótnie wybuchały między nimi bez powodu. Nie miał ochoty na kolejną, tym bardziej że już rano rozstali się skłócenii. Mimo to zajrzał do kuchni. W skupieniu rozkładała pasjansa, demonstracyjnie nie zwracając uwagi na jego obecność. Dostrzegł opróżnioną do połowy butelkę wina i stojący przy niej pojedynczy kieliszek. Światło górnej lampy rozświetlało Annie włosy, tworząc wokół głowy jasną poświatę. Biały szlafrok, w który była owinięta, podkreślał blask postaci. Marek doznał uczucia metafizycznego zachwyty nad kobiecością, która z niej emanowała. Już wiedział na pewno, że nie chce uciekać. Nie poddam się tak łatwo, postanowił sobie, nie dam tego zniszczyć. Wziął z kredensu kieliszek i powiedział:

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, napijemy się razem. Kryształowe kieliszki wypełniły się jasnożółtym, świetlistym płynem. Wszystko, co dobre w życiu, pomyślał, ma w sobie blask. Ale jemu ostatnio towarzyszył cień. Poruszał się w półmroku, po omacku, próbując rozróżnić błędne i właściwe decyzje. W milczeniu wypili wino.

- Jak spędziłaś dzień? - zapytał w końcu.

- Siedziałam w domu - odparła, wydymając usta. Obawiał się takiej odpowiedzi i spodziewał się jej, bo Anna od tygodnia rzadko opuszczała dom, odwoływała od dawna umówione już tłumaczenia.

- Powiedz, o co chodzi, Aniu? - Pieszczotliwie zamknął jej kurczowo zaciśniętą, drobną pięść w swojej dłoni. - Co cię dręczy?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami, a po chwili dodała: - Wszystko... Trudno wytrzymać w tym kraju.

Jej wyznanie lekko go zaskoczyło. Nie miał pojęcia, że aż tak bardzo przejęła się sprawą Machnickich, chociaż dostrzegł zdenerwowanie, z jakim wysłuchiwała jego relacji o fatalnej przygodzie braci.

- Jesteśmy na początku drogi, kochanie - tłumaczył jej wyrozumiale. - Nikomu nie jest łatwo. Różne złe rzeczy się zdarzają i będą przydarzały się nadal, ale damy radę.

- Wiem, wiem, startujemy - odparła złośliwie. - Nie znoszę, kiedy zwracasz się do mnie jak do nierozgarniętego dziecka. - Wyrwała dłoń. - Z nas dwojga może ja wiem lepiej, czego trzeba się bać.

- To powiedz, podziel się ze mną tą wiedzą. - W jego głosie dało się odczuć znużenie. Ze wszystkich sił starał się ją zrozumieć, chciał panować nad sobą, ale był zmęczony, na plecach czuł ciężar, a ona, zamiast go wspierać, znowu go dołuje. - Naprawdę, Aniu, jesteś już dużą dziewczynką - dodał zrezygnowanym tonem.

Ogarnęła ją rozpaczliwa bezradność. Jeszcze przed chwilą chciała mu się zwierzyć, wywalić przed nim całą prawdę i obnażyć swój zwierzący strach, ale już było za późno. Minęli się o ułamek sekundy. Ta rozmowa już się między nimi nie odbędzie. Trudno, tak być musi, pułkownik zniszczył jej poprzednie życie, a teraz z diabelską konsekwencją rujnuje jej przyszłość. Czy zresztą umiałaby wyjaśnić, że to on stoi za wszystkimi kłopotami, czy potrafiłaby wytłumaczyć, na czym polega jego przebiegłe działanie? Marek pewnie i tak by nie uwierzył, śmiałyby się z jej obaw. Beztrąsko kpiłby z Kuczka, który poszedł w odstawkę, znikł z pola widzenia, przecież od wielu, wielu miesięcy nikt nie usłyszał o nim ani słowa. Tylko ona nie wątpiła w jego demoniczną moc, bo nawet Mika straciła czujność, lekceważyła zagrożenie, nie wierzyła, że Kuczek znów się ujawni. Tylko jej nie udało mu się oszukać. Dobrze wie, że to pułkownik stoi za wszystkim złym, co spotyka ją i jej bliskich. Jedyne sposobem obrony to schować się jak ślimak w skorupie, tak sprytnie jak on to robi.

Usłyszeli szuranie i ciche pokasywanie. Leska jak każdej nocy zajrzała do pokoju Marcina i jak zwykle od siedmiu lat, tym samym gestem, poprawiła kołderkę na łóżku dziecka. Potem skierowała kroki w stronę kuchni. Jeszcze lekko zaspanym, ale mimo to czujnym wzrokiem oceniła sytuację. Z kolorowych, rozrzuconych na stole kart córka próbowała ułożyć mapę swojego losu, a wszystko może zrujnować własnym postępowaniem.

- Muszę wziąć proszek. Też nie mogę spać.

Anna spojrzała w zmęczoną od nadmiaru przykrości, jakby pofałdowaną twarz matki. Mój Boże, pomyślała, nawet nie zauważyłam momentu, kiedy tak się zmieniła. Nagle odczuła przerażenie na myśl, że któregoś dnia matka odejdzie, tak samo jak Marian, jak Michał. Ta chwila nieuchronnie się zbliża, kiedyś zobaczy matkę po raz ostatni. Miała ochotę wykrzyknąć swoją rozpacz, ale siedziała w milczeniu między dwojgiem kochających ją ludzi i w żaden sposób nie umiała się z nimi porozumieć.

Doktor Jaskier nie mylił się co do niej. Oszukuje, kluczy, przemilcza, a jej bliscy nie podejrzewają, jak bardzo jest winna. Stała się nieodrodną uczennicą pułkownika, niczym nie różni się od swojego prześladowcy, który precyzyjnie jak rybak sieć, motał kłamstwa.

- Czy ty coś jadłeś, Marczku? - zatroszczyła się Leska, bezwiednie budząc w córce poczucie winy. - Może odgrzać zupę?

- Nie, dziękuję. Byłem w Podkowie, jadłem u mamy.

## Rozdział IX

Zwykle ostatnio tak matkę zastawał, siedziała zatopiona w swoim ogromnym fotelu. Mimo jasnego dnia lampa stojąca przy fotelu była zapalona. Coraz gorzej widzi, pomyślał.

- Jak się czujesz, mamó? - zapytał, podchodząc bliżej. Owionął go zapach ziół pomieszany ze słodkawą wonią starości. Cmoknął matkę w czoło i w rękę. Jej ręka była delikatna, wysuszona i krucha, zauważył nabrzmiałe żyły przecinające grzbiet dłoni. Czule dotknęła jego policzka.

- Masz kłopoty, synku? Prawda?

- Ech, nie ma o czym mówić. - Wzruszył ramionami.

- Nie życzę sobie takiego traktowania. - Głos matki zabrzmiał nieoczekiwanie silnie. - Nie mam demencji ani Alzheimera, jestem tylko stara...

- Przepraszam, mamó, pogadamy później, ale teraz muszę wyjść - powiedział zniecierpliwiony, kierując się w stronę drzwi.

Ze smutkiem pokiwała głową. Zawrócił.

- Wszystko ci powiem, może jeszcze dziś wieczorem, ale teraz muszę iść.

- Idź - powiedziała, już uspokojona. - Czy ja cię zatrzymuję? Dom Ireny znajdował się mniej więcej w odległości ośmiuset metrów od willi Zawadzkich. Prowadziła do niego wąska aleja, zarośnięta rozkwitającymi drzewami i krzewami. Wszedł na ścieżkę, rozejrzał się i zachwyił żywopłotem, wyglądającym niby mur wykonany w zielonym papier - mache. Poczul, że miałby ochotę iść tą drogą bez celu, po prostu spacerować, jak inni, którzy go właśnie mijali.

Przez dłuższą chwilę kontemplował wiosenną przyrodę. Aby dyskretnie dotrzeć do Ireny, musiał jednak opuścić kuszącą ścieżkę. Postanowił skorzystać ze starej trasy z czasów ich romansu, pokonywał ją ukradkiem, chroniąc się przed spojrzeniami ciekawskich przechodniów. Kluczył wówczas między domami, dobrze rozpoznając wszelkie tajemne przejścia, dziury w parkanach, podwórka, gdzie można było przemknąć niepostrzeżenie, bo pilnujące ich poczciwe psy tylko zachęcająco machały ogonami. Kilka razy ta doskonale przećwiczona trasa przydawała się, kiedy uciekał przed bezpieką, która przyjeżdżała rewidować dom w poszukiwaniu bibuły, ukrywających się działaczy opozycji, broni i Bóg wie czego jeszcze. Wtedy matka samodzielnie dawała ubekom odpór.

- Szkoda, żeś nie słyszał, jak mieszałam Kraszewskiego z Sienkiewiczem. Zaczęłam od bitwy pod Grunwaldem - relacjonowała mu później, chichocząc. - Rok 1410 nie jest dla mnie, mówiłam, jak dla was przepis na bimber.

Jeden z ubeków wyznał Krzysztofowi Machnickiemu po latach, że rewizje w domu Zawadzkich miały ksywkę „Mówią wieki” i nikt dobrowolnie nie chciał w nich uczestniczyć, brali na nie z łapanki.

- To była gehenna - wspominał ubek, który na fali systemowej odnowy zapragnął się oczyścić i chętnie zwierzał się ze swoich przeżyć. - Babsko stało nad głową i bez przerwy jazgotało, człowiek kompletnie tracił rozum. A to Napoleon Bonaparte, a to, kurna, Poniatowski albo Ignacy Paderewski. Mówię panu, panie Krzysiu, jakby mnie pan wtedy zapytał, to nie wiedziałbym, jaką datę mamy! I to nie piątek czy sobota, dwudziesty czy trzydziesty, ale nawet rok by mi się pojebał.

\*

Marek musiał zrobić krótką przerwę w swojej drodze do domu Ireny, ukrywając się za garażem. Zauważył, że po terenie swojej posesji kręci się ojciec szkolnego kolegi, Bartka Asika, który jeszcze w klasie maturalnej wyemigrował wraz z matką do Szwecji. Jego starego nie chcieli wypuścić z kraju, twierdząc, że jako inżynier elektronik posiadał tajemnicę państwową. Inżynier Asik opuścił więc etat i zajął się składaniem sprzętu elektronicznego z zachodnich części. W stanie wojennym pomagał rozwiązywać problemy techniczne dawnym

kolegom syna, którzy prowadzili tajną radiostację. Marek nie miał ochoty wdawać się z nim teraz w rozmowę, bo inżynier był bardzo gadatliwy, a on nie miał czasu.

Gdy Asik się odwrócił, Marek wyskoczył zza garażu i niepostrzeżenie przemknął za jego plecami. Śpieszyło mu się, pragnął jak najszybciej załatwić sprawę i wrócić do Warszawy. Ostatnio zbyt mało czasu spędzał z Anną. Nie skarżyła się, ale on nawet w swoim zapędzeniu dostrzegł, że zamknęła się przed nim - w tych upragnionych krótkich chwilach, kiedy mogli być razem, zdarzały się między nimi gwałtowne wybuchy namiętności, ale nie było miejsca na wymianę myśli. Zamiast rozmawiać, zaczynali się kłócić, a potem, żeby się nie sprzeczać, milkli. Odczuwał też ostatnio wyrzuty sumienia w stosunku do Anny, bo przemilczał przed nią fakt, że kryjówkę dla Macho znalazł u swojej dawnej kochanki. Gdyby zdecydował się zdać jej relację, jak do tego doszło, na pewno diabelnie płątałyby się w szczegółach.

Obaj doszli wówczas do wniosku, że będzie lepiej, jeśli Macho nie wróci do swojej kawalerki i zniknie na jakiś czas. Marek długo się zastanawiał, gdzie go umieścić. Przez chwilę rozmyślał nawet o willi matki - kumpel mógłby zamieszkać w pakamerze przy kotłowni - ale odrzucił tę koncepcję. Gdyby ktoś chciał odnaleźć Andrzeja, tam właśnie skieruje pierwsze kroki. Gorączkowo szukał w myślach jakiejś rozsądnej propozycji i przysłała mu do głowy Irena. Jej dom nadawał się idealnie na kryjówkę, nikomu nie przyjdzie do głowy, aby tam szukać uciekiniera. Była 6.30, gdy zaparkował samochód przed jej posesją.

- Niezła chata. - Andrzej gwizdnął przez zęby.

- Właścicielka też niczego sobie - mruknął Marek, zastanawiając się rozpaczliwie, jak w najbardziej elegancki sposób złożyć ekskochance, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę ich ostatnie nieprzyjazne pożegnanie, propozycję przechowania nieznanego mężczyzny. Wysiadł z samochodu i dreptał wokół niego, paląc papierosa za papierosem. Andrzej czekał w aucie, dla własnego bezpieczeństwa wolał o nic nie pytać. Doskonale rozumiał, że Big Mac ma prawo być wkurzony.

Co to jest, do cholery, zadawał sobie pytanie rozgoryczony Marek, że ze wszystkim czekają na mnie? Kumpel wpakował się w bagno, ale to on ma go wyciągnąć. Wolałyby chyba zeznania przed prokuratorem niż konieczność stawienia czoła tej pełnej temperamentu kobiecie, i to jeszcze w niedzielny poranek. Wyrzuci go na pysk, nie miał co do tego wątpliwości. Najchętniej by stąd odjechał, ale w końcu żal mu było ledwie żywego ze zmęczenia i zdenerwowania kumpla. Poza tym musi usłyszeć od niego dokładną relację, co naprawdę się stało, i zastanowić się, jak dalej postępować. Do tego obaj potrzebowali spokoju. Wymyślił sto różnych powodów, z jakich Macho powinien się ukryć właśnie u Ireny. W końcu jednak doszedł do wniosku, że musi ją wprowadzić w sytuację, inaczej byłaby to z jego strony wielka nielojalność, ale ogólnie, bez żadnych szczegółów.

- Ja będę mówił - zwrócił się do Macho, mierząc go niechętnym spojrzeniem. - Ty się w ogóle nie odzywaj.

Andrzej pokornie kiwnął głową. Absolutnie nie mam prawa tego od niej wymagać, myślał Marek, naciskając dzwonek. Dog Ireny, Arlekin, zaczął histerycznie szczekać, ona, jeszcze zaspana, ale już idealnie uczesana, otworzyła drzwi.

- Znów wpadłeś mnie odwiedzić? - zapytała, jak przewidywał, niezbyt życzliwie, jednocześnie pytającym wzrokiem obrzucając jego towarzysza.

Po krótkiej rozmowie zdecydowała się dać Andrzejowi schronienie. Miał niejasne wrażenie, że bardziej niż jego sile przekonywania uległa czarowi milczącego Macho.

\*

Kiedy lekko zziąjany wreszcie dotarł do domu Ireny, od razu zauważył, że drzwi od tarasu są na oścież otwarte, mimo to zapukał w szybę. Para, która ciasno objęta oglądała jakąś gazetę, gdy usłyszała ten dźwięk, gwałtownie oderwała się od siebie. Irena machnęła ręką,

zapraszając do środka. Rzut oka wystarczył, by ocenić, że wygląda promiennie. Poczul ukłucie zazdrości. A więc Andrzej i Irena zostali kochankami! W tej samej chwili zachciało mu się śmiać. Kumpel uwił sobie gniazdko na jego starych śmieciach. No cóż, bonne chance!

Usiadł naprzeciw tej dwójki i natychmiast poczul się idiotycznie zbędny, jakby wpadł z niezapowiedzianą wizytą do dalekich znajomych. Nie wiedział, jak się zachować. Nowe role, w jakich los obsadził tę parę, nie przypadły mu do gustu. Nie był przygotowany na tego rodzaju przedstawienie. Ilekroć jestem u Ireny, pomyślał, zbyt wiele rzeczy kojarzy mi się z teatrem. Dawniej podziwiał w niej kobietę o stu twarzach, teraz zastanawiał się, czy w ogóle miała własne oblicze. Czy była oddaną kochanką, czy tylko udawała namiętne orgazmy i zwykłą czułość? Z Macho powtarza pewnie, jak na próbach, te same gesty, które przećwiczyła już z nim. A może dokłada nowe elementy, czyniąc ich spektakl bardziej żywiołowym? Stłumił odruch niechęci w stosunku do byłej kochanki i rozciągnął usta w fałszywie uprzejmym uśmiechu. Zauważył, że Irena lekko się skrzywiła. Wie, o czym myślę, przeraził się.

- Wybacz, że przeszkadzam. Muszę kilka spraw omówić z Andrzejem. Może wpadam nie w porę, ale spotkałem po drodze naszego wspólnego sąsiada, inżyniera Asika - plątał się w tłumaczeniach.

- Fajnie, że jesteś. - Pocałowała go w policzek, ostentacyjnie nie zwracając uwagi na jego zmieszanie. - Zrobię herbatę. A może chciałbyś coś zjeść? Upiekłam kurczaka. My już jedliśmy.

- Posłała Andrzejowi porozumiewawczy uśmiech.

Odmówił, chociaż czuł ssanie w żołądku. Nie wyobrażał sobie jednak, żeby mógł przełknąć posiłek, który przygotowała z myślą o innym mężczyźnie. Jak łatwo wyrzuciła go z pamięci. Jeszcze tak niedawno wiele dałaby za to, żeby do niej wrócił, a teraz nie okazuje cienia skrępowania z powodu swego związku z Andrzejem. Ba, ten podbój uważa za tytuł do chwały. Kiedyś na niego zastawiła pułapkę, przed nim obezwładniła kilku samców, teraz napatoczył się następny, a ona milcząco obwieszcza swój triumf niczym po szczęśliwych łowach. Poczul się paskudnie zdradzony. Odruchowo spojrział na stopy Andrzeja, ale jeszcze zanim popatrzył, i tak wiedział, że kumpel ma na nogach bordowe mokasyny. Pieprzony, drobny detal już na całe życie utkwiał mu w pamięci.

I znów rozpaczliwie starał się odgrzebać uczucia, które budziła w nim ongiś Irena. Poszukiwał wspomnienia ciepła, które ogarniało go, gdy namiętnie się do niej przytulał, ale ulotniło się jak dym nad wypalonym ogniskiem.

Poszedł z Macho do gabinetu. Nie znosił tego pokoju, który przed kilkoma laty z myślą o nim urządziła Irena. Wysokie oszklone masywne szafy z półkami na książki i różne szpargały szczelnie pokrywały ściany. Miał wrażenie, że nad biurkiem, stojącym na środku pokoju niczym katafalk, zatrzasnęło się ciemne wieko - a był to tylko drewniany sufit, przez jakiegoś domorosłego artystę wydziergany dłutem. Ileż to razy pytała go z wyrzutem w głosie: „Dlaczego nie pracujesz u mnie? Urządziłam ci przecież takie piękne miejsce”. Wylewnie dziękował, ale gdy znalazł się za ciężkimi wrotami gabinetu, gdy siadał w swojej drewnianej klatce, nawiedzała go niemoc twórcza, której nie umiał zwalczyć. Nawet nie brał pióra do ręki. Co tam pisać, skoro nawet czytać nie potrafił w tym pokoju. Im dłużej gapił się w ciemne ściany, tym bardziej przybliżały się do niego, jakby miały go zmiażdżyć w dębowym uścisku. Gdy już w żaden sposób nie był w stanie pokonać uczucia klaustrofobii, wymykał się po cichu, ukradkiem, aby nie poczuć na sobie zranionego wzroku kobiety, którą zapewniał o swojej miłości, ale nie był w stanie zaakceptować jej mebli, gustu i ciągłego wtrącania się nie w jego życie - to było do zaakceptowania - ale w jego pracę, którą chciał zachować wyłącznie dla siebie.

Jeden rzut oka wystarczył mu, aby się przekonać, że Macho całkiem swobodnie czuje się w jego dawnym miejscu tortur. Na biurku i na podłodze leżały porozrzucane papiery i

gazety, przy lampie stała niemal pełna popielniczka. Nie przejmował się ani wilgotną plamą, która widniała na błyszczącej politurze biurka, ani miękkim piaskowym dywanem, w który beztrudno wkręcał obcasy butów, ani nawet jedwabnym obiciem fotela, przyjmującym na swoją błyszczącą gładź nieuważnie strząsany przez Andrzeja popiół z papierosa.

- Mów. Co słychać? - Macho podkulił nogę pod siebie i wykonał gwałtowny zwrot ciałem w kierunku gościa, aż kopia siedemnastowiecznego fotela załkała pod jego ciężarem. - Siedzę tu jak na zesłaniu. Nic nie wiem, ty nie dzwonicz.

- Nie dzwonię, bo nie chcę, żeby cię namierzyli, a nie przyjeżdżam, bo ledwo się wyrabiam. - Z górnej kieszeni cienkiej kurtki w kolorze khaki Marek wyciągnął dokument, który podał kumpłowi, i wyjaśnił: - To twoje zaświadczenie o urlopie, dwa tygodnie, od poprzedniego piątku. Na razie tu zostań... jesteś na wczasach.

Andrzej chwycił papier i czytał uważnie, a potem wyznał z nieoczekiwanym wzruszeniem w głosie:

- Mam trzydzieści cztery lata i nigdy jeszcze nie miałem oficjalnego urlopu. - Odchrząknął.

- Zamiast ganiać się z ubekami, trzeba było się zatrudnić w przyzwoitym, socjalistycznym przedsiębiorstwie, miałbyś nie tylko urlopy, ale wysługę lat i prawo do emerytury, a tak, bracie, jesteś jak osesek, dopiero zaczynasz.

- Startuję. - Macho ironicznie przywołał ulubione słowo szefa. - Ale powiedz, co z Krzychem? Kiedy go wypuszczą?

- Nie za dużo pytań jak na jeden raz? - Marek miał ochotę odłożyć moment powiedzenia mu prawdy, ale Andrzej, głodny nowin, nalegał.

Nie miał dobrych wiadomości. Krzyškowi przedłużono areszt do trzech miesięcy, a za udział w aferze z narkotykami mogło grozić mu wieloletnie więzienie. Udało się porozmawiać z prokuratorem, który przynajmniej na początku okazał się człowiekiem całkiem życzliwym, ale tylko bezradnie rozkładał ręce.

- Dysponujemy żelaznymi dowodami, panie redaktorze - twierdził stanowczym tonem. - Mamy zeznania policjantów, którzy rozgromili całą akcję, oraz niepodważalną, potwierdzoną przez kilku z nich obecność podejrzanego w miejscu przemytu. Zresztą niech pan sam powie, co młody mężczyzna może robić o trzeciej w nocy w Łomiankach, pod lasem, przy warsztatach, dokładnie w miejscu gdzie właśnie dokonuje się przestępstwa? Trudno przypuszczać, że był tam na dyskotece.

- Już mówiłem, panie prokuratorze, że mój pracownik zbierał tam materiał prasowy. Złożyłem stosowne oświadczenie.

- Owszem, nadmieniał pan. - Prokurator pochylił siwą głowę nad aktami sprawy. - Ale dlaczego pański dziennikarz nie powiadomił o swoim zamiarze policji? Nie zrobiła też tego redakcja. A poza tym, i to jest fundamentalne pytanie, skąd podejrzany Machnicki Krzysztof wiedział o przemycie? Przecież policjanci sami dostali cynk na niecałe pięćdziesiąt minut przed wkroczeniem do akcji, a on zeznawał, że obserwował miejsce przerzutu co najmniej od kilku godzin. Trzeba będzie rozwiązać sporo zagadek, zanim dojdziemy do prawdy. No ale cóż, taka praca. - Prokurator lekko uniósł się nad krzesłem i podał mu rękę na pożegnanie.

- Panie prokuratorze... - Nie chciał ustąpić, udał, że nie zauważył wyciągniętej dłoni. - Dziennikarz ma prawo do własnych źródeł informacji. Nie musi o nich meldować policji. O wszystkim, co wiedział Machnicki, i tak przeczytałby pan w naszym tygodniku.

- Niech mi pan tu pierdół nie opowiada - zdenerwował się prokurator. Nagle jego pozorną dobroduszość przerodziła się w złość. - Został ujęty na miejscu przestępstwa i za to odpowie.

- A ile jeszcze osób oprócz Krzysztofa Machnickiego zostało zatrzymanych? Czy może tylko on?

- Co mi pan tu robi przesłuchanie? Od tego jestem ja. I dobrze panu radzę... - Głos prokuratora, choć cichszy, nadal nie brzmiał zbyt przyjaźnie. - Niech pan nie wkłada palca między drzwi. Proszę pilnować swojej gazety, a nam zostawić śledztwo.

- Zabrzmiało to jak groźba, panie prokuratorze.

- To już kwestia pańskiej interpretacji. Mam tu tony akt i co najmniej dziesięć spraw na głowie. Nie dysponuję już czasem dla pana, panie redaktorze. Żegnam. - Prokurator ostentacyjnie zagłębił się w czytanie dokumentów.

\*

Siedział już w więzieniu, wytrzyma, myślał Andrzej o bracie. Ale żeby za wolności wylądować w pierdłu, to się nie mieściło w głowie. Poczł, że zalewa go fala złości i determinacji. Na zewnątrz jednak zachował spokój.

- Czy wiadomo, co stało się z towarem? - spytał, zapalając papierosa, a Big Mac zauważył, że piegi na pobludłej twarzy Andrzeja stały się wyraźniejsze, jakby bardziej brązowe.

- Nie mam pojęcia. Pewnie zgarnęła go policja. Prokurator nic na ten temat nie wspominał.

- A ty oczywiście nie zapytałeś. Jesteś na to zbyt dobrze wychowany. - Macho posłużył się gryzącą ironią.

- Może uciekli ciężarówką z resztą towaru, którego nie zdołali jeszcze przepakować do mniejszych samochodów.

- Pewnie masz rację. Nie można też wykluczyć, że pieprzeni handlarze z premedytacją przeznaczyci jakąś część towaru na straty. Policja łatwiej wtedy uwierzy, że przeciek był autentyczny, a nie z góry zaplanowany przez bandytów. Swoją drogą nie rozumiem, kto i dlaczego chciał nas wrobić. O co chodzi?

- Może to zwykły przypadek?

- Wierzysz w takie przypadki? A Iks? Przecież on nas w to wplątał. - Andrzej nerwowo drapał się po brodzie. - Na kilometr węższą w tym komunę.

- To mnie nie dziwi. - Marek wzruszył ramionami. - Twój nos zawsze prowadzi cię w jedną stronę.

- Marek, kurwa! - Andrzej uderzył pięścią o blat biurka, aż podskoczyły starannie ułożone bibeloty. - Czy ty nie widzisz, co się w tym kraju dzieje? Ani kto pociąga za sznurki? Naiwnie przymykasz oczy, łagodzisz, rozmazujesz to gównu, wypychasz je pod deskę, a ono i tak wypływa. Właśnie przez takich jak ty nie możemy do końca wykorzystać naszego zwycięstwa.

- Zwycięstwa? O jakim zwycięstwie mówisz? Oni są słabi, ale i tak silniejsi od nas. Mają struktury, doświadczenie i pieniądze, a my mamy wspaniałą przeszłość i dziury w kieszeniach, w dodatku jeszcze kłócimy się o pryncypia. Wolność, demokracja to są piękne słowa, ale naród będzie miał je w dupie, jak nie będzie co włożyć do garnka. Liczy się skuteczność, chodzi o to, żeby zdobywać kolejne pola, przekonać ludzi. A ty? Co ty chcesz tu, kurwa, urządzić? Powstanie warszawskie?

- My się nie dogadamy - powiedział Andrzej całkiem spokojnym i zrezygnowanym głosem. - Pchałeś nas do kompromisu, myśmy ulegali i co? Krzycho siedzi, a ja w zasadzie się ukrywam jak kiedyś. Nic się nie zmieniło i nie zmieni, jak będziemy się cackać.

- Nie cackajmy się, zgoda. Nie pytajmy nikogo o zdanie, tylko ostro przywalmy i zorganizujmy sobie małą, wdzięczną dyktaturkę. Ja w to nie wchodzę, nie o to mi szło.

- No właśnie, w tym rzecz, że walczyliśmy o to samo, ale każdemu szło o co innego. - Andrzej, już całkiem opanowany, lekko się uśmiechnął.

Na Marka trudno się było złościć. Obaj z bratem rzadko się zgadzali z jego postawą, ale nie rozumiejąc dlaczego, ulegali argumentom. Miał wyjątkowy talent polegający na tym, że pozwalając ludziom zostać przy swoim zdaniu, jednocześnie potrafił przekonać ich do



własnych racji. Kiedyś Krzysiek powiedział o Big Macu, że nie do końca kapuje brud tego świata, ale przecież nie był ani naiwny, ani głupi, wykazywał pragmatyzm, wbrew wszystkim przeciwnościom stworzył „Start”. Gada głupoty, myślał Andrzej, a jednak robi, co trzeba. Chociaż nie jest idealistą, tak jak my z bratem.

Zapadła cisza. Słyszeli brzęczenie pszczoły, która wirowała po pokoju. Z daleka dopływał do nich stłumiony, raz patetycznie, kiedy indziej łagodnie brzmiący głos Ireny. Czytała rolę, próbując różnych sposobów interpretacji. Nagle Marek zapragnął znów posiadać tę kobietę i być jak kiedyś w jej domu gospodarzem, a nie gościem. Z głęboko przysypanych zwałami zdarzeń i przeżyć wspomnień wydobył nagle skarb. Lubił, kiedy po namiętnej nocy budzili się rankiem, rozpaleni od snu i siebie nawzajem, a ona wstawała, czasem narzekając: „Ach, bolą mnie uda od naszej gimnastyki”, i energicznie zaczynała dzień.

Wtedy to on był trutniem, który nie śpieszył się do żadnych zajęć. Bywało, że całe dni spędzał u niej leniwie, jakby był na wakacjach, a ona bezustannie pracowała - nad rolami, nad swoim ciałem, pielęgnowała rośliny w ogrodzie, wykladała na uczelni, dużo czytała, a nawet, co przepępniało go szczególnym wstydem, bo on nieustająco zabierał się do stworzenia jakiegoś większego dzieła, pisała książkę o aktorstwie. Czasem, gdy miał ochotę, aby towarzyszyła mu w rozkoszonym nieróbstwie, drażniła go jej krzątanie. Ale częściej podglądał Irenę w jej mrówczej pracowitości i zazdrościł swobody, jaką daje pogrążanie się w robocie. Zdziwiłaby się, gdyby wyznał, że właśnie ona nauczyła go, jak uczynić z pracy pasję, która wyzwala nie tylko z codziennego kieratu, a chwilami nawet z zależności od drugiego człowieka.

Spotkanie z Andrzejem wytrąciło go z równowagi. Boże, pomyślał, chciałbym mieć godzinę absolutnego spokoju, żeby się nad tym wszystkim zastanowić. Jednak zewsząd otaczały go problemy do natychmiastowego rozwiązania.

Ledwo pokazał się w redakcji, sekretarka podała mu kartkę z numerami telefonów osób, które do niego dzwoniły, a także ściszym głosem zawiadomiła, że czeka na niego Paweł Chrzęszcz. Zdziwił się, bo gość się nie zapowiadał.

- Rozsiadł się przy biurku - zameldowała Rostocka konfidencjonalnym tonem i dodała:  
- Nie lubię faceta.

Miał zamiar za tę uwagę zmiażdżyć ją wzrokiem, ale ujrzał już tylko plecy sekretarki, która wykazywała wielki talent i do nagłego pojawiania się, i do znikania. Zanim wejdzie do gabinetu, gdzie tamten siedział, postanowił odwiedzić halę redakcyjną. Odetchnął z ulgą, gdy ogarnąwszy ją wzrokiem, stwierdził, że wszystko idzie codziennym tempem. Dziennikarze gadali przez telefony, energicznie wystukiwali litery na klawiaturach komputerów, inni rozmawiali ze sobą zbici w małą gromadkę. Usłyszał, jak ktoś zawołał: „Idzie Big Mac!”.

W sekundę skupili się wokół niego, przekrzykując się nawzajem. Mieli do niego sprawy niecierpiące zwłoki, wciskali mu w dłonie jakieś teksty, dopytywali się o termin zebrania, a także jak długo będzie trzeba czekać na wypłatę. To ostatnie pytanie sprawiło mu niemal fizyczny ból. Starał się punktualnie wypłacać zespołowi pensje, ale pieniądze uzyskane ze sprzedaży tygodnika ciągle z opóźnieniem wpływały na konto. Takie spóźnienia zdarzały się wszędzie i kompletnie zacierały ruch ledwo toczącego się koła gospodarki. Inflacja sprawiała, że wszelkie zawirowania związane z przepływem pieniędzy generowały straty. To wszystko wiedział, ale teraz odczuwał na własnej skórze. Przeliczał cyfry na papierze, robił oszczędności, odejmował, gdzie się dało, lecz wszystko to nie miało wielkiego sensu wobec braku gotówki.

- Czy jest ktoś, kto pracuje tu dla pieniędzy? - zapytał donośnie.

Nikt się nie odezwał. Odczekał jeszcze chwilę, ale nie usłyszał odpowiedzi.

- Skoro nikt z was nie pracuje w „Starcie” dla pieniędzy, to przecież nie będę wam ich wmuszał. Za dwa dni zapraszam do kasy.

Zanim jeszcze zdołał skończyć zdanie, rozległ się ogłuszający ryk zespołu, niektórzy pohukiwali, inni gwizdali.

Za plecami słyszał jeszcze cichnący szmer, jakby powoli uspokajało się rozbudzone gniazdo szerszeni. Wszedł do łazienki, zmoczył twarz wodą i popatrzył w lustro. Był na siebie wściekły. Po cholere powiedział im o tych pieniądzach? Co go podkusiło? Papierowym ręcznikiem startł z policzków krople wody.

## Rozdział X

Ulica Marszałkowska w palącym wiosennym słońcu wrzała jak rosół bulgocący w wielkim kotle. Wylewał się z niego niczym spienione szumowiny tłum ludzi. Popychali się nawzajem, tręcali, pokrzykiwali na siebie, przepychając się między rzędami zbitych z desek kramów, stojących obok nich łóżek polowych lub zwykłych plastikowych płacht, na których pysznił się przywieziony z najbardziej nawet odległych zakątków świata towar. Sprzedawcy zachwalali produkty, podtykali pod oczy i nosy przechodniów, spocone przekupki czesały się nad zaimprovizowanymi ladami, jednocześnie wyklócając się z klientami o ceny. Kury poprzywiązywane do stoisk rozpaczliwie gdakały w przewidywaniu mającego się wypełnić losu, ryby w wanienkach z nagrzaną przez słońce wodą wydawały ostatnie tchnienie, odcięte świńskie łby, ułożone w plastikowych pojemnikach, szczyrzyły wielkie żółte zęby w stronę przechodniów.

Dzieci wydawały przeraźliwe dźwięki ze świszczących glinianych ptaszków albo głośno szlochały, wymuszając na starszych zakup plastikowej zabawki. Nastolatki o oczach błyszczących chęcią posiadania snuły się wśród straganów z rękami w kieszeniach, młode pary poszukiwały przedmiotów niezbędnych do stworzenia domowego gniazda, a starzy grzebali w kieszeniach, starannie odliczając dziesiątki tysięcy złotych na słodką bułkę albo parę deko wędliny. Dyskretnie na zapleczu szeptem dogadywali się handlarze, a gdy dobili kontraktu, z plastikowych kubków popijali ciepłą wódkę.

- Za nowe czasy - mówili.

- Żeby były jeszcze lepsze od tych, co minęły - dopowiadali inni i wszyscy wybuchali gromkim śmiechem. Na zewnątrz, pod zwisającymi markizami ich żony, coraz bardziej rozłoższone beztroską mężczyźni, głośno targowały milionowe ceny za niewiele warte towary. Jedna z najbardziej prestiżowych ulic w Polsce tak od kilku miesięcy witała rodzący się kapitalizm.

- Nasza baba z cielęcina była bardziej estetyczna - stwierdził Michael, odwracając oczy od handlarki, która klonowym liściem odganiała z ciemnoczerwonych płatów mięsa opasłe zielone muchy. - Pamiętasz, Jim, jak odwiedzała nas punktualnie co do minuty? Stan wojenny w niczym jej nie przeszkadzał... Boże, od tego czasu wszystko się zmieniło, i tu, i w naszym cholernym życiu.

Jego przyjaciel nie miał jednak ochoty na wspomnienia ani refleksje dotyczące przeszłości. Całkowicie poddał się ulicznej atmosferze, uległ fascynacji żywiołową przedsiębiorczością Polaków, ich żylce do interesów.

- Wschodni bazar to przy tym, co tu się dzieje, zwykły kiosk przy hipermarkecie... ruch jak na Times Square w Nowym Jorku w godzinach szczytu - mówił Jim ochryplym z podniecenia głosem. - Jak tak dalej pójdzie, za trzy lata wybudują tu giełdę...

- No jasne, McDonalds'a i coca - colę mają już od dawna, więc brakuje im jeszcze tylko Wall Street i Piątej Alei.

- Dlaczego jesteś taki zgryźliwy, Mike? Przecież widzisz, że się starają, są dopiero na początku drogi.

- Życzę im jak najlepiej, ale rozejrzyj się, w tym natłoku rzeczy nie znajdziesz w ogóle krajowych wyrobów. Oni nic nie produkują, tylko konsumują, a w ten sposób daleko nie zajdą. Szczerze mówiąc, mam już dość tego polskiego cudu gospodarczego, chodźmy stąd.

Po dawnych śladach powracali do przeszłości, jednak w tej chwili pobyt w Polsce zdawał się im stratą czasu. Nie bardzo rozumieli, po co się tu zjawili ani co chcieli odnaleźć w miejscu, które kiedyś wywarło silny wpływ na ich losy, a dziś zupełnie straciło swoje magiczne znaczenie.

Niewiele brakowało, aby obaj pojawili się w Polsce przed Bożym Narodzeniem. Dokładnie na pięć minut przed startem samolotu z Nowego Jorku do Warszawy Michael otrzymał wiadomość o nagłej śmierci jego stryja, Andrew Watsona - Smitha. Wrócili więc do

Kalifornii, gdzie Mike musiał się zająć nie tylko pogrzebem, ale także uporządkowaniem rodzinnych interesów. Zajął mu to kilka miesięcy.

Z lotniska zaledwie półtorej doby wcześniej odebrał ich Bill Cameron. W pierwszym momencie nie poznali dawnego dobrego znajomego, którego nie nazywali inaczej niż Grubas.

- Schudłem dwadzieścia pięć kilo - oznajmił Bill, wyciągając w ich kierunku obie dłonie w serdecznym geście powitania. - Dieta South Arizona, spożywa się wyłącznie cytrusy i pięć razy w tygodniu chude mięso. Żadnych słodczy - dodał ze smutkiem.

Rysami twarzy, lekko roztargnionym uśmiechem przypominał tamtego Camerona, jednak jak go potem określił Michael, był to „Bill po reinkarnacji”. Oni mieli poczucie, że się nie zmienili, pozostali tacy sami, młodzi, chłopięcy, jak przed ośmioma laty, a potwierdzenie tego faktu odnajdywali wzajemnie w swoich oczach. Jednak Grubas dostrzegł niewielkie pasemka siwizny w ciemnych włosach Michaela, zaznaczające się bruzdy wokół ust, a także zmarszczkę na czole, która nadawała jego twarzy stanowczy wygląd. Jim wyglądał, jakby urósł, bo zeszcupłał, i to dość wyraźnie, aż niegdyś wypukłe policzki lekko się zapadły, nadając twarzy wyraz refleksyjnej zadumy.

- Jim nabrał szlachetnej patyny - zwierzał się Cameron żonie z wrażeń z pierwszego spotkania z przyjaciółmi. - Michael zaś stracił na uroku, a zyskał na męskości.

Jego żona, która poznała obu przyjaciół podczas wspólnej kolacji, zachichotała i stwierdziła:

- Chyba wolę Jima, jest sympatyczniejszy.

- Masz rację, kochanie. Ma mniej pieniędzy od Michaela, a to zwykle poprawia człowiekowi charakter. No i z zasady wywołuje u bliźnich cieplejsze uczucia.

Pobrali się trzy lata wcześniej. W połowie lat osiemdziesiątych Cameron zakończył służbę dyplomatyczną w Polsce, ale nie chciał powrócić do Stanów ani wyjechać na inną placówkę. Postanowił, mimo niezadowolenia swoich zwierzchników, zostać w Warszawie. Ożenił się z urodziwą Polką o rozłożystych biodrach i długich jasnych włosach, które w dzień pozostawały spięte w koński ogon, ale w nocy pięknie rozsypywały się złotym piaskiem na poduszce. Założył firmę joint - venture, dzięki której sprowadzał wprost z Ameryki markowe dzinsowe ubrania, skrojone według szablonu. W swojej małej fabryczce zatrudnił dwadzieścia szwaczek, które pracując na dwie zmiany, z trudem nadążały z wykonywaniem zamówień. Dżins był modny, a znana marka wszyta w ubranie stała się przez tubylców bardziej niż pożądana.

- Znalazłem tu swoje miejsce. Mogę nawet powiedzieć, że jestem szczęśliwy - zapewniał wzruszony, przygotowując dla gości ich ulubiony drink z dawnych lat: żubrówkę z sokiem jabłkowym.

- A ty, Mike, dalej solo?

- Tak - odparł Michael niechętnie. - Nie mam czasu na życie osobiste.

- Czas to on ma tylko na błyskawiczne romanse - podszepnął Jim.

- No cóż, tak to bywa z wielkimi wydawcami. - Grubas, bo jednak nie mogli między sobą inaczej go nazywać, zatarł ręce.

- I jednocześnie z wielkimi kobieciarzami - zaśmiał się, a Jim mu zawtórował. Jednak dotknięty Watson - Smith rzucił im obu ponure spojrzenie.

- Łatwo wam kpić. Jesteście urzędnicy, a ja... a mój problem polega na tym, że nie wyobrażam sobie życia z kobietą...

- No cóż - odpowiedział życzliwie Grubas - ludzie mają różne upodobania.

Jim znów roześmiał się głośno, ale jego przyjaciel nie stracił powagi.

- Dziękuję ci za wyrozumiałość, Bill - odparł.

- Nie obrażaj się, Mike. Żartowałem. Lepiej powiedz, co ci leży na duszy.

- Ja ci powiem - wtrącił się Jim. - Za dobrze mu idzie. Piękny i bogaty Michael Watson

- Smith jeszcze nigdy nie usłyszał słowa „nie”. Na to jest - skłonił się przed słuchaczami,

jakby na scenie zapowiadał występ gwiazdy - za piękny i za bogaty. Poza tym należy do narodu podwójnie wybranego: jest nie tylko Żydem, ale także, a może przede wszystkim, Amerykaninem. To daje gwarancje powodzenia w każdym przedsięwzięciu - dodał złośliwie.

- Odpieprz się - poprosił grzecznie Michael. Absolutnie nie miał ochoty na wygłupy, ale atmosfera nie sprzyjała poważnym zwierzeniom.

Grubas płonął chęcią opowiedzenia im, jak mu się żyje w Polsce, a Jim zupełnie nie miał ochoty zastanawiać się nad klęską osobistego losu jego kumpla. Tymczasem Michaela coraz częściej dopadała dojmująca samotność. Było to najbardziej otepiające uczucie, jakiego zdarzało mu się doświadczać. Obezwładniało, zniechęcało, wywoływało apatię. Jednak przywykł już do tego, że nikt nie miał ochoty słuchać skarg Watsona - Smitha, powszechnie uznawanego za wybrańca fortuny. Jedyne Barbara, żona Jima, której w duchu przyznawał rację, widziała w nim najdoskonalszy przykład godnego pogardy samca alfa.

\*

Barbara nie kryła niezadowolenia, gdy Jim oznajmił, że wyjeżdża z Michaeliem do Warszawy.

- Czy zawsze musisz robić to, czego chce Michael? Po co wam ta idiotyczna wyprawa? - pytała.

Ale Jim, uwikłany w ciągłe kłótnie z nią, a także w niekończące się zawodowe zobowiązania, z których nie mógł wybrnąć na czas, jeszcze bardziej chciał wyjechać, oddalić się od wszystkich amerykańskich spraw i powrócić do tego absurdalnego kraju, w którym znajdowały się jego rodzinne korzenie. Z całej duszy pragnął zobaczyć Polskę, która jak niesprawiedliwie osądzony więzień po latach niewoli odzyskała wreszcie wolność. Uważał to za dobry znak dla siebie, dla innych ludzi. Żadne zło, żadna dyktatura, myślał, nie trwa wiecznie, ale to właśnie my będziemy świadkami jej końca i początku czegoś nowego. Dziwił się swojej kochance Elizabeth Zawadzki, że nie chce z nim jechać do dawno niewidzianego kraju, że nie pragnie odwiedzić matki i brata, ale uparcie odmawiała.

- Amerykanie są wiecznymi dziećmi - odpowiadała z uśmiechem na jego nalegania. - Czy ty naprawdę wierzysz, że z dnia na dzień można socjalizm zrzucić jak brzydką sukienkę?

- Jadąc do Polski, odbędziemy podróż w czasie, kochanie. Na własne oczy zobaczymy, jak się buduje demokrację. Dwieście lat temu podobne rzeczy działy się w Ameryce, ale ominęły nas z przyczyn obiektywnych. Zobaczyć coś takiego na własne oczy, to jest wyjątkowa, historyczna szansa. Jako były dziennikarz potrafię ją docenić. Na pewno coś z tego da się napisać. Może scenariusz, może książkę? A ty zobaczysz po latach ojczyznę w nowym wcieleniu, to pasjonujące doświadczenie. - Za wszelką cenę starał się przekonać Elizabeth do wyjazdu, ale pozostała nieprzejednana.

- Absolutnie nie wierzę w żadne przemiany w tym kraju. Znam go lepiej od ciebie. To wszystko mrzonki - odpowiadała, wzruszając ramionami. Próbowwała też studzić jego entuzjazm, przypominając, że po powrocie z Polski stanu wojennego nie tylko nie napisał wiekopomnego tekstu, ale w ogóle żadnego.

- To prawda, lecz wtedy byłem świadkiem totalnej destrukcji, teraz będę miał szansę obserwować budowanie, narodziny nowej jakości.

- Boję się, że i ta jakość wyjdzie Polakom bokiem, jak każda odnowa do tej pory - kończyła dyskusję.

Jeszcze do niedawna Jim cieszył się na spotkanie z rodziną, ale teraz odczuwał rozczarowanie. Kiedy zadzwonił, Maria Leska odebrała telefon. Reakcja ciotki kompletnie go zaskoczyła. Nie dość, że słysząc siostrzeńca, nie okazała cienia radości, ale chyba była bardzo zakłopotana jego przyjazdem. Nie zaprosiła go do domu, lecz próbowała umówić się następnego dnia na kawę w hotelowej kawiarni.

- Czy przyjdiesz z Anną? - zapytał.

Ciotka wpadła w popłoch. Tłumaczyła mu, że córka dużo pracuje, jest zajęta, ma niewiele czasu.

- Ale ja tylko raz na osiem lat przyjeżdżam z Ameryki. Czy nie mogłaby znaleźć dla mnie choć krótkiej chwili?

Miał wrażenie, że ciotka jest bliska łez. Wydukała, że porozmawia z córką, a potem zadzwoni do hotelu, wówczas ustalą datę spotkania. Jim podał numer i pożegnał się z nią bardzo chłodno. Ogarnęło go poczucie bezsensu.

Po południu razem z Michaeliem wyszli z hotelu, aby znów pokręcić się po warszawskich ulicach, gdzie niemal na każdym rogu widać było ślady walki postu z karnawalem, czyli zmagania socjalizmu z gospodarką rynkową. Szli wolnym krokiem. Gapili się na wystawy, jakby spacerowali po Piątej Alei, bo w porównaniu z zapamiętanym przez nich obrazem sklepów z czasów stanu wojennego obfitość dóbr zdawała się oszałamiająca. Tamta Warszawa przestała istnieć. Ta zaś składała obietnicę na przyszłość. Była jak brzydka kobieta, która po operacji plastycznej, po okresie ran i blizn, niebawem ukaże światu olśniewające oblicze. Mimo wszystko Jim był nieco rozczarowany faktem, że ich wizyta w Polsce przebiega całkiem inaczej, niż to sobie wyobrażał przed przyjazdem.

- Zastanawiam się, Mike, dlaczego tak bardzo chcieliśmy wrócić do tego kraju. Po diabła tu przyjechaliliśmy?

- No właśnie, po diabła - zachichotał Michael. - Pamiętasz? Mieliśmy go przecież za wysłannika piekielnych mocy...

Jim przystanął zdumiony.

- O kim ty mówisz?

- Jak to o kim? - zachnął się Mike. - To chyba jasne. O pułkowniku.

- A co on ma wspólnego z naszą eskapadą?

- Jak to co? - Tym razem Michael sprawiał wrażenie zdziwionego. - Wszystko. Sprawiedliwości musi się stać zadość. Nie mam zamiaru nadstawiać drugiego policzka, jak ktoś napluł mi na jeden. Nie jestem chrześcijaninem.

- O co ci chodzi, do cholery?

- O co? - Michael powtórzył pytanie i uśmiechnął się lekko. - Sprawa jest chyba oczywista. Mam zamiar odebrać od sukinsyna pułkownika sto tysięcy dolarów łapówki, którą stryj z moich pieniędzy przesłał temu złodziejowi na szwajcarskie konto. Po to tu jestem.

Gdyby Jim miał opisać własne odczucia w tym momencie, „grom z jasnego nieba” to byłoby za mało. Przez sekundę zdawało mu się nawet, że kumpel postradał zmysły.

- Oszalałeś! - stwierdził.

- Wcale nie. Od dawna mam wszystko zaplanowane.

- Po co ci te pieniądze? Przecież jesteś cholernie bogaty... A jak ci brakuje, chętnie wystawię czek na tę sumę. Nie ma sensu rozgrzebywać starych spraw tylko dlatego, że pułkownik zrobił z nas frajerów.

- Skunks, miał na koncie moje pieniądze, dostał okup, a mimo to nie oddawał nam paszportów, trzymał nas tutaj jak w klatce, dopóki miał na to ochotę. Chyba nie masz zamiaru puścić mu tego płazem... Pułkownik świetnie się z nami bawił, teraz my pobawimy się z nim.

Jim długo przewracał się w łóżku, a satynowa pościel wydawała mu się oślizgła. Męczyły go słowa wypowiedziane przez kumpla. Chciał wziąć odwet na pułkowniku. Zapiękły kapitalista, potomek zasranych kowbojów, popieprzony biznesmen. Jim wymyślał obraźliwe przezwiska, jednocześnie przewidując same kłopoty. Mimo wszystko wolał swoje słowiańskie korzenie.

Jednak w najskrytszych zakamarkach własnej duszy odczuwał podziw. Kumpel się nie poddał. Jim musiał przyznać sam przed sobą, że jakoś na to liczył, ale nigdy by mu tego nie powiedział.

## Rozdział XI

Raz w tygodniu dozorczyńni wycierała kurze, otwierała okno, wyjmowała ze skrzynki pocztę i wykladała ją na stół, licząc na to, że właścicielka mieszkania kiedyś ją przejrzy. Mika niezmiernie rzadko odwiedzała stare śmieci, ale dziś zdecydowała się to zrobić, nie z sentymentu ani z ciekawości dla korespondencji, która na nią oczekiwała, ale zwyczajnie nie miała pojęcia, co zrobić z wolnym piątkowym popołudniem. W redakcji spędzała zbyt dużo czasu, a kiedy z niej wyszła, snuła się bez celu po ulicach, wspominając swoje dawne, samotne wędrówki po mieście, które odbywała po wyjściu z więzienia. Dziś była w sytuacji - w porównaniu z tamtą - komfortowej, a mimo to odczuwała taką samą jak wówczas samotność i melancholię. Czy naprawdę, zadawała sobie pytanie, nic się w życiu nie zmienia, wszystkie złe chwile i odczucia powracają jak bumerang, niezależnie od okoliczności?

Na męża nie miała co liczyć. Już rano zapowiedział, że wróci po północy, bo idzie na kolację w interesach. Może spędza czas z inną kobietą? Chciałaby, żeby to podejrzenie obudziło w niej żywszą reakcję. Jednak jej obecne stosunki z Pawłem były na to zbyt chłodne. W ich domu, jak niepożądany gość, panoszyła się obojętność.

Starła się nie zwracać uwagi na ohydłą klatkę schodową. Ściany oblażyły wielkimi liszajami, ukazując pod spodem jakieś wzorki. Wszędzie było pełno ordynarnych napisów nabazgranych mazakami albo kolorowym sprayem. Wśród nich zauważyła hasło: „Puchar dla Lecha”. Pod spodem ktoś dopisał wielkimi, drukowanymi literami: „Wałęsy!”. Taka jest ta Polska, patetyczna i brudna, pomyślała z nagłą goryczą. Starannie omijała leżące na schodach papierki i złotka po słodyczach, plastikowe nakrętki, skrawki gazet, niedopałki papierosów. Na okiennych parapetach stały puste butelki po wódce i zgniecione puszki od piwa lub coca-coli, spleśniałe pieczywo. Na drzwiach od zsyków widniały tłuste zacieki. Przez całą drogę towarzyszył jej fetor starych śmieci przemieszany z mysim i kocim smrodem. Do uszu dobiegała głośna muzyka, a gdzieś z wysoka podniesione, bełkotliwe głosy sąsiadów.

Z ulgą otworzyła drzwi mieszkania. Nowoczesne, wysmakowane wnętrze świadczyło o guście gospodyni. Skończyła je urządzać całkiem niedawno, choć właściwie nie wiadomo po co i dla kogo. Usiadła na fotelu, którego kubiczny kształt miękko przylgnął do jej sylwetki. Pożałowała, że przyszła. Głucha cisza, jaka panowała w mieszkaniu, a także jego wyraźna nieprzydatność, przygnębiły ją ostatecznie. Postanowiła, że wynajmie te dwa pokoje z kuchnią jak najszybciej. Zabolą ją pustka. Kiedyś, dawno temu, ciągle bywały tu tłumy ludzi, dym mieszał się z zapachem alkoholu i niezbyt drogich perfum. Brakowało krzeseł, goście siadali na podłodze, a niektórzy, zmęczeni przedłużającą się imprezą, zasypiali na dywanie. Na zewnątrz było beznadziejnie, ale oni nie mogli powstrzymać się od śmiechu, stale żartowali, kpili ze wszystkiego, opowiadali dowcipy. Jedni goście przyprowadzali innych, nieznanomych. Zajmowali jej wersalkę, wyjadali z lodówki resztki jedzenia. Wtedy marzyła czasem o chwili samotności - niech już sobie pójdą, a ona będzie mogła spokojnie poczytać. Gdy zamieszkała z Michaelem, próbowała zakończyć te niespodziewane wizyty. Czasem pogrążeni w miłosnym akcie po prostu nie otwierali drzwi, kiedy indziej on, wkładając spodenki, wychodził półnagi do dzwoniących gości i rozpoczynał się bankiet do rana. Niezwykle bawiła go swoboda, z jaką Polacy odwiedzali się bez względu na porę dnia.

- To jest możliwe tylko dlatego - dowodził - że nikt z was nie pracuje, a nawet ci, którzy pracują, też się objają. Relaks w pracy to jest wyjątkowy, polski wymysł, powinniście to opatentować.

- Po prostu mamy socjalizm - odpowiadali, a on kiwał głową ze zrozumieniem, bo choć powoli, zaczął do niego docierać fenomen tego ustroju. W tym wszystkim chodzi o to, podsumowywał, żeby mieć bardzo dużo wolnego czasu i bardzo mało pieniędzy. Teraz buntujecie się przeciw temu, ale, przepowiadał, jeszcze kiedyś będziecie za tym tęsknić. A oni kpili z jego amerykańskiego racjonalizmu i braku wyobraźni. Wierzyli, że wywalczą ustrój idealny, sto razy lepszy od amerykańskiej demokracji.

Włączyła magnetofon, postawiła wodę na herbatę. Zaczęła przerzucać koperty leżące na stole. Było ich kilkanaście, rachunki, jakiś zaległy mandat, kilka pocztówek od starych znajomych ze studiów, którzy nie wiedzieli o zmianie w jej życiu. Aż nagle zauważyła wśród nich list z Ameryki, z kolorowymi nalepkami. Wpadła w popłoch. Przez długą chwilę nie miała odwagi otworzyć koperty. Nie chciała powracać do przeszłości. Zatrzasnęła ją, jak zamyka się sejf - potrzeba szyfru, żeby go ponownie otworzyć. Przez chwilę ważyła list w dłoni, a potem rozerwała kopertę niecierpliwym gestem.

A więc przyjeżdża. Szybko spojrzała na dużą płachtę kalendarza wiszącego na drzwiach pokoju. Poczuli się dziwnie. W więzieniu setki razy wyobrażała sobie chwilę, kiedy Michael znów pojawi się w Polsce. Ale to było wieki temu. Zdała sobie sprawę, że on od trzech dni jest w Warszawie, ale ona wcale nie ma ochoty go widzieć. Odłożyła list i poszła do kuchni nalać sobie herbatę. Po namyśle jednak otworzyła butelkę wina. Nalała do kieliszka, szybko wypila i zaraz ponownie napełniła kieliszek. Zrozumiała, że nie będzie w stanie oprzeć się ciekawości. Musi go zobaczyć. Nie potrafi zrezygnować. Wzięła prysznic, odświeżyła makijaż. Długo oglądała się w lustrze. Miała dobry dzień. Jeszcze raz przeczesła włosy. Pociągnęła usta pomadką. Zamówiła taksówkę przez telefon. Nie myślała. Działała. Spojrzała na zegarek. Była 19.35. Za oknem gasł dzień.

Taksówkarz był gadatliwy, a ona odpowiadała mu półsłówkami. Zostawiła gigantyczny napiwek. Podeszła do recepcji. Zapytała o Michaela. Recepcjonista spojrział na nią z ciekawością, ale i szacunkiem.

- Pan Watson - Smith jest w barze. Zaraz go zawiadomię...

- Proszę tego nie robić. - Gestem dłoni powstrzymała usłużnego chłopaka. - Znajdę go sama.

Rozejrzała się po lekko przyciemnionym wnętrzu baru. Siedziało tu niewiele osób, a wśród nich on - uosobienie jankeskiego sukcesu. Gładko wygolone, wymasowane policzki, gęste, modnie ostrzyżone włosy, luźna marynarka, sportowa koszula, kaszmirowe spodnie opadające w nieskazitelny szyku na ciemnobrązowe mokasyny. Jak ukłucie ostrym nożem poczuła odruch niechęci do tego eleganckiego, wypielęgowanego gościa, który podczas długich lat jej nieobecności w jego życiu z młodzieńca stał się mężczyzną. Gdyby wówczas nie wyjechał, pomyślała może po raz tysięczny od czasu rozstania, wszystko stałoby się inaczej... a może wcale nie?

Przeszła gehennę, bo tak było jej przeznaczone, a może zawiniła jej własna głupota, też pewnie wpisana w boskie plany. Przeżyła więzienie, hańbę i odrzucenie, poznała przerażającą samotność banity, a cholerny Watson - Smith, jakby nic się nie stało, pozwolił sobie na sentymentalną wycieczkę. Czego tu szuka? Nie daruję mu tego, co przeszłam, przysięgła sobie w duchu. Nigdy. Miała ochotę natychmiast wyjść, ale mimo to stała nadal i wpatrywała się w urodziwą twarz Michaela. Poczuli na sobie jego spojrzenie. W pierwszej chwili obojętnie przesunęło się po niej, potem błysnęła w nim akceptacja dla urody dziewczyny bezradnie stojącej w progu, a wreszcie, po chwili namysłu, tak, poznał ją. Wstał, jego wysoka sylwetka górowała nad stolikiem. Mika doznała wrażenia, że znalazła się w teatrze cieni. Wyciągnął długie ręce w jej stronę. Stała nadal, bez ruchu. Podszedł. Ten sam Michael, ale już inny mężczyzna. Jak wielki czarny kruk rozpostarł przed nią ramiona.

- Mika - powiedział swoim niskim, ciepłym głosem. - Jak dobrze cię widzieć.

Przytulił ją do siebie. Owionął ją znajomy zapach: dużo mydła, szamponu, trochę wody kolońskiej, dużo testosteronu.

Ona i nie ona, zastanowił się. Nie, jednak nie ona, inna. Zobaczył w niej kobietę od tamtej zapamiętanej starszą, atrakcyjniejszą, bardziej zadbaną, szykowną, ale obcą, daleką. Nawet pachniała inaczej. Czy to możliwe, że kiedyś kochał tę kobietę, że jej pragnął? Wtedy była jedyna, dziś jest jak tysiące innych, upodobniła się do amerykańskich dziewczyn. Nawet



z jej oczu zniknął zachwyt, z jakim go kiedyś witała. Starannie ukrył rozczarowanie, ale Mika nie dała się oszukać. Dotknął ją swoim dystansem, bo tylko ona dała sobie do niego prawo.

Usiedli przy stoliku. Kelner zapatrzył się na tę efektowną, doskonale ubraną parę.

- Czego się napijesz? - zapytał, podczas gdy ona próbowała sobie dać radę ze sprzecznymi emocjami, które ogarnęły ją na widok dawnego kochanka. Drżała na całym ciele. A on jak zwykle, pomyślała z goryczą, zachowuje spokój. Wziął do ręki kartę menu. Uważnie spojrzęła na jego dłonie, w nadziei że w ruchu palców dostrzeże niepokój i napięcie, ale były swobodne jak ręce pewnego swojej wirtuozerii pianisty.

- Poproszę margeritę - starała się nadać swojemu głosowi przyjemne, opanowane brzmienie, choć w gardle coś ją drapało.

Obserwowała go, kiedy składał zamówienie u kelnera. Nic nie może zachwiać jego pewności siebie, myślała z rosnącą odrazą. Był samcem, panem stworzenia, a na dodatek stała za nim magnacka fortuna oraz rząd Stanów Zjednoczonych. Ona tymczasem ledwo wyplątała się z potrzasku. Muszę się natychmiast upić, pomyślała, żebym mogła go znieść, żeby to wszystko przetrwać. Nieoczekiwanie przyplęnęło do niej wspomnienie sprzed paru lat.

W jednej z pierwszych podróży po ślubie pojechali z Pawłem do Londynu. Mąż jak zwykle załatwiał interesy, ona snuła się po mieście. Zrobiła zakupy na Oxford Street, obciążona plastikowymi torbami skręciła w którąś z bocznych przecznic. Rozglądała się po fasadach domów, podziwiając architekturę, i nagle na zwykłych drewnianych drzwiach dość znanego klubu Horizon zauważyła wielki plakat anonsujący występ piosenkarki Sary Henderson. W repertuarze gwiazdy, informował kolorowymi, krzykliwymi literami, znajdzie się jej światowy przebój You should never lie to me, który Mika tak dobrze zapamiętała. Następnego dnia, pozbywając się Pawła pod byle pretekstem, sama wybrała się do klubu. Kupiła bilet za dwadzieścia funtów i usiadła przy jednym z najdalszych stolików. Nieduża sala nie była pełna. Mika wysłuchiwała całego recitalu, ale przede wszystkim uważnie przyglądała się śpiewającej kobiecie.

Po powrocie do hotelu długo się nie kładła, choć mąż, spragniony czułości, ją ponaglał. Nie mogła przestać myśleć o Sarze Henderson. Ta słynna niegdyś piosenkarka, o urzekającym głosie i legendarnej urodzie, której podobizny ukazywały się w kolorowych magazynach na całym świecie, teraz przypominała pozbawionego barw kolibra. Smutna i szara, zachowała tylko wielkie oczy, ale i one zostały wyprane z blasku. Mika widziała w niej swoje lustrzane odbicie. Wprawdzie nie stała się fizycznym wrakiem, ale miała świadomość, że dbając o wygląd, z uporem szlifuje przede wszystkim oprawę dla swego podupadłego ducha, żeby nie pogrążyć się w całkowitej desperacji. Po koncercie na krótką chwilę poczuła, że opadł z niej pancierz, że gdyby był z nią nie Paweł, ale ktokolwiek inny - może umiałyby wyrzucić z siebie żale. Jednak jej mąż nie był odpowiednim partnerem do takich rozmów. „Znowu przeprowadzasz gównem przez morze?” - zapytałby, ziewnął i odwrócił się do ściany.

Nieoczekiwanie zatęskniła do Mariana, jemu miałyby ochotę się zwierzyć. Gdyby była odważniejsza, podeszłaby do piosenkarki, zaproponowała drinka i długą noc wspólnych wyznań. Z dwojgiem tych absolutnie nieprzystających do siebie ludzi łączyła Mikę wspólnota losów, oni tak samo stali się ofiarami własnych niepohamowanych emocji. Jak człowiek kocha, z góry skazuje się na klęskę. Już dawno przysięgła sobie, że nigdy więcej nie przegra. Ale przecież dobrze wiedziała, ile warte są takie obietnice. Jak to jest, myślała, że mamy tak niewielki wpływ na przebieg własnego życia? Jak to jest, że podejmujemy decyzje, których potem nie rozumiemy?

\*

- Ty palisz, Michael? - zapytała ze zdziwieniem, nie dając po sobie poznać niechętnych uczuć, jakie obudziły w niej brytyjskie wspomnienia. Jednak nawet tym niewinnym pytaniem skierowanym do Michaela też powracała do przeszłości. Pamiętała przecież, że kiedyś był zaprzysięgłym wrogiem palenia, a teraz zaciągał się dymem z upodobaniem nałogowca.

- Tak. W ogóle przestałem się martwić o formę fizyczną, a atakom hipochondrii ulegam najwyżej raz na kwartał. Niedawno dotarło do mnie, że śmierć jest nieuchronna, a zdarza się, że jej ofiarą padają również osoby zdrowe i wysportowane. To pewnie objaw dojrzałości. - Uśmiechnął się. Znow jak przed laty zrobił na niej wrażenie autoironicznym sposobem bycia. Niczego nie mówił wprost, tylko kluczył, uwodził pozorną szczerością. A pije i pali, bo lubi.

O trzeciej nad ranem drżącą ręką wykręciła numer telefonu, żeby sprawdzić, czy w domu jest Paweł. Nie podniósł słuchawki. Michael spał głęboko, słyszała jego miarowy oddech i od czasu do czasu głębokie sapnięcie. Stała nad nim i przyjrzała się z uwagą. Był nagi. Leżał na wznak, jego ciało wyciągnięte na białym prześcieradle wydawało się bardzo długie i ciemne. Wygląda jak wykrzyknik na niezapisanej kartce papieru, pomyślała. Popatrzyła mu w twarz. Zmierzwiłone ciemne włosy podkreślały chłopięcość ukrywającą się w męskich rysach.

Szybko się ubrała i wyszła z hotelowego pokoju. Portier zaproponował, że wezwie taksówkę. Kiwnęła głową i czekając na auto, przechadzała się po holu. Czuła niepokój, ale nie potępiała się za to, co zrobiła. Co znaczy jedna jeszcze wspólnie spędzona noc? Już kiedyś, przypomniawszy sobie, w innym czasie i w innych okolicznościach zadawała sobie to samo pytanie. Ale człowiek ciągle stawia pytania i nigdy nie otrzymuje jednoznacznej odpowiedzi, więc znowu pyta. I tak da capo al fine. Westchnęła głęboko, aż recepcjonistka popatrzyła na nią z ciekawością. Czy to możliwe, że i ta atrakcyjna, świetnie ubrana kobieta ma problemy?

Jeszcze wczoraj była pewna, że panuje nad swoim życiem, teraz czuła się jak jeździec, który wypuszczając cugle z rąk, stracił kontrolę nad zaprzęgiem. Ale jakie to ma znaczenie, pytała sama siebie, skoro droga i tak została wyznaczona? Wracała do domu, do męża.

## Rozdział XII

Zespołowi wypłacił zaległe pensje, uregulował zaległe faktury. Nie odczuł jednak, wbrew własnym oczekiwaniom, żadnej ulgi. Ciągłe powracało do niego wspomnienie rozmowy z Chrzęszczem, nieustannie ją analizował. Może jednak niepotrzebnie się zwierzył, że brakuje mu gotówki. A tamten od razu, bez chwili wahania zaproponował pomoc.

- Przecież i tak przez fakt, że moja żona tu pracuje, w pewnym sensie już jesteśmy współnikami - powiedział, siedząc za biurkiem. Marek zajął krzesło przeznaczone dla gości. - Zależy mi, by ten biznes kręcił się jak w szwajcarskim zegarku.

Zapalił długie cygaro, zapach zgniłej słomy rozszedł się po całym gabinecie.

- Kubańskie, najdroższe, jakie można kupić... Też nie lubiłem kiedyś palić tego gówna - stwierdził, gdy Marek odmówił poczęstunku - ale jak się dorobisz, Marek, to zrozumiesz, że pewne rzeczy trzeba robić dla prestiżu. W „Start” też mam zamiar wejść z tego powodu.

- Mam nadzieję, że nie będziesz żałował - rzekł Marek, usiłując pohamować irytację, bo gość drażnił go nie tylko sposobem bycia, ale narzucił rozmowie ton, który mu nie odpowiadał. Był to zaledwie cień zagrożenia, jakby odnoże pająka musnęło skrzydło muchy, jednak wyczuwalny dla ewentualnej ofiary.

- Generalnie nie, ale czasami... - Tak?

- Powiem krótko, bo nie ma tu czego owijać w bawełnę. Jako biznesmen mam bardzo dobrą opinię, ona się dla mnie liczy, rozumiesz, public relations, image i te rzeczy - odchrząknął. - Wpadka Machnickiego z narkotykami szkodzi nie tylko tygodnikowi, ale może zaszkodzić i mojej renomie. Coś trzeba z tym zrobić.

- Krzysztof jest niewinny. Pojechał tam jako reporter, został ofiarą niezrozumiałej prowokacji. Próbujemy rozgryźć tę aferę.

- A co z jego braciszkiem? - zapytał Paweł szybko, jakby nie chciał dać mu czasu na wymyślenie wykrętu.

- Andrzej jest na urlopie, wtedy też był...

- Wiem, wiem, wygrzewa się na tarasie u Ireny Sadowskiej. Nieźle trafił. - Na twarzy Pawła pojawił się ironiczny grymas. - No cóż, piękna kobieta, dobra kuchnia, gustowny dom.

- Tak? Nie miałem o tym pojęcia. Ale skoro tak mówisz... Ważne, że dobrze się bawi. - Markowi nie drgnęła nawet powieka, ale poczuł przyspieszone bicie serca.

- Dobra konspiracyjna szkoła, co? Najlepiej udawać, że nic się nie wie. Nigdy się tego nie oduczycie? Nie prowadzimy ze sobą wojny, tylko interesy. - Paweł głośno się roześmiał, ale po chwili już poważnym tonem dodał: - No więc, co z tym zrobimy?

Setki myśli przebiegły Markowi przez głowę. Rozpaczliwie szukał jakiejś sensownej odpowiedzi.

- A ty co chciałbyś, żebyśmy zrobili? - odpowiedział w końcu pytaniem.

- „Start” w żadnym wypadku nie powinien się mieszać w sprawę z narkotykami. Mam nadzieję, że nie macie zamiaru o tym wszystkim pisać. Moja rada jest taka: Ciszej nad tą trumną.

- To nasza sprawa, bo to nasz dziennikarz - zareagował Marek stanowczo.

- No i co z tego? Nie podpisałeś z nim kontraktu na wieczność. Moim zdaniem obaj bracia są cholernie podejrzani, ciągle coś kombinują, węszą, czepiają się porządnych ludzi. Ich dalsze istnienie w firmie może zagrozić egzystencji tygodnika. A nikt lepiej niż ty nie wie, że można was zdmuchnąć jak świeczkę. Przemyśl to.

Paweł spojrział na złotego rolexa, którego miał na ręce, delikatnie zgasił cygaro, a następnie starannie otrząsnął z popiołu, sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął z niej złotawy, owalny futerał przeznaczony na jedną sztukę i z pietyzmem włożył cygaro do środka. Marek przyglądał się tej operacji zafascynowany. Precyzja ruchów wydawała mu się nie przystawać do tak banalnej czynności.

- Prawdziwy rarytas dla bogatych - stwierdził Chrząszcz, lekko ubawiony jego zainteresowaniem. - Nie wyrzuca się niedopalków, tylko chowa na potem. Powiem ci, bracie, że ten, co wymyślił cygara, miał łeb jak sklep, bo jeśli człowiek z pieniędzmi kupi coś drogiego, nie lubi się od razu z tym rozstawać.

- Dzięki za lekcję marketingu - odparł Marek, myśląc o czymś innym.

- Nazwij to, jak chcesz... O cholera, już późno. Muszę lecieć. - Paweł podniósł się gwałtownie, ale natychmiast z powrotem usiadł. - Ile potrzebujesz? Spiszemy króciutki kontrakcik.

Po wyjściu gościa Marek zadzwonił do Podkowy. W słuchawce usłyszał aksamitne „halo” Ireny. Bez żadnych wstępów oznajmił, że będzie u matki i chciałby, żeby Andrzej tam wpadł.

- Przecież miał się nigdzie nie pokazywać - powiedziała zdziwiona.

- Teraz to już nie ma znaczenia - stwierdził enigmatycznie. Podał godzinę spotkania i bez dalszych wyjaśnień, zdając sobie sprawę, że zachowuje się niezbyt grzecznie, odłożył słuchawkę. Irena wypowiadająca się w imieniu mężczyzny, który zamieszkał w jej domu, wydała mu się nagle kimś obcym, jakby była nieznajomą, o której słyszał tylko złe plotki. Męska pycha, tak określiłaby to Anna, pomyślał. I co gorsza miałaby rację, zgnił sam siebie. Krótka telefoniczna wymiana zdań z dawną kochanką pogorszyła mu nastrój. Wszyscy, na których polegał, chodzili własnymi drogami, a od niego oczekiwali, żeby kierował ruchem - nie tylko bezkolizyjnie, ale jeszcze doprowadził ich wszystkich do celu.

Poprosił do siebie zastępców. Zanim weszli, sekretarka ostrzegła ich, że szef jest nie w humorze.

- Prycha, aż bulki lecą mu nosem - poinformowała konfidencjonalnie.

Gdy weszli, nawet nie poprosił, żeby usiedli, ale i tak byli już przygotowani na najgorsze.

- Co sądzicie o tekście o narkotykach? - Tylko on wiedział, że artykuł napisał Macho.

- Świetny - entuzjastycznie odpowiedział Staś. - Dużo tropów, będzie można z tego zrobić cały cykl, może dokopujemy się czegoś ciekawego. Już jest na kolumnach. Możesz go zobaczyć...

- A ty, Mika? Co sądzisz?

- Niezbyt mi się podoba, to wszystko domysły, żadnych konkretów. A poza tym ryzykowne, taka publikacja może uderzyć w wizerunek pisma - odparła bez namysłu.

Mężulek nad nią popracował, domyślił się Marek. Używała podobnych jak Paweł argumentów. Już wiedział, jak rozegrać tę partię.

- Wstrzymuję ten tekst. Zgadzam się z Miką, brakuje w nim potwierdzonych faktów...

- No co ty, Marek, przecież sam go przyniosłeś i dałeś do druku - zaprotestował Staś.

- Dałem, a teraz odbieram - odparł stanowczo.

Staś stał przez chwilę bez słowa, a potem odwrócił się i skierował do wyjścia.

- Wiesz co, Big Mac, chromolę taką robotę - rzucił przez zęby, zanim trzasnął drzwiami.

- I tak dobrze, że nie poprosił o kolejną dymisję - stwierdził Marek i porozumiewawczo mrugnął okiem w stronę Miki. Zawsze go lubiła, a fakt, że opowiedział się przeciwko Stasiowi, uznając jej argumenty, nastawił ją jeszcze przychylniej.

- Staś lubi się grzebać w aferach - odpowiedziała z wyrozumiętym uśmiechem.

- Jak my wszyscy dziennikarze, niekiedy ma to sporo sensu... Swoją drogą artykuł o tej ostatniej aferze z narkotykami bardzo by się nam przydał. Oczywiście, na ile się da w szerszym kontekście. Masz zacięcie społeczne, dobre pióro... Pomyślałem, że mogłabyś taki tekst napisać.

- Ależ Marek, do tego trzeba mieć żyłkę reportera śledczego, przecież to jest kryminalna sprawa.

- Tak uważasz? Czasem kobiecie łatwiej jest doszukać się prawdy niż mężczyznom. No ale jeżeli nie masz ochoty, to nie ma sprawy. Sądziłem po prostu, że od czasu do czasu chciałabyś napisać coś poważnego, większego. Masz przecież dziennikarski temperament... A sama wiesz, że dobre teksty, jak żadne inne, przydają się naszej gazecie - uśmiechnął się do dziewczyny.

- Jasne, napiszę - odparła, mile połączona jego komplementami.

Cieszyła się z wyzwania, które otrzymała od Big Maca. Będzie miała mnóstwo pracy, zabraknie jej czasu na myślenie o Michaelu, na analizowanie każdej sekundy z kilku godzin, które razem spędzili w hotelu. Od tamtych chwil upłynęły zaledwie dwie doby, a ona już setki razy zmieniła opinię na temat spotkania. Uznawała je za dziwne albo niezwykle, czasami za beznadziejne, a kiedy indziej za obiecujące. Nie mogła sobie znaleźć miejsca, bo świadomość, że on był w tym samym mieście, blisko, niemal w zasięgu ręki, nie dawała jej spokoju. Ulicami chodziła wyprostowana jak struna i uśmiechała się do przechodniów, bo Michael mógł znaleźć się wśród nich, ubierała się i malowała z niezwykłą starannością, przecież mogła go przypadkiem spotkać. Nie rozumiała sprzecznych uczuć, które nią targały. Kochała go i stawał jej się obojętny, nie chcąc go widzieć, stale nosiła przed oczami jego obraz. Była rozczarowana jego zachowaniem, a jednocześnie czerpała dziwną nadzieję z faktu, że nadal są sobie fizycznie bliscy, że poszli do łóżka, zamiast się rozstać jak para dobrych znajomych. A jednocześnie, miała tę gorzką świadomość, w ich seksie zabrakło namiętności, powtórzyli czynność sprzed lat, tak jak on powtórzył swoją podróż do Polski. Nie chciała narazić swojego małżeństwa, ale pragnęła, żeby Michael ją do tego zmusił, nie zostawił jej żadnej furtki ani drogi ucieczki. Boże, myślała, żeby już prędzej wyjechał... a potem żarliwie błagała niebiosa, żeby został jak najdłużej.

Czuła się tak, jakby od dawna wędrując po monotonnej równinie, znalazła się u podnóża góry, skąd będzie mogła wreszcie podziwiać pejzaż inny od tak dobrze znanych widoków. Ale przeczuwając trudy i niebezpieczeństwa wspinaczki, zastanawiała się, czy nie lepiej jednak zawrócić, dopóki chęć wdrapania się na szczyt nie pokona w niej resztek rozważań.

\*

- Cholernie sprytnie posunięcie - ocenił Andrzej, gdy szef zdał mu relację z rozmowy z Miką. - Może faktycznie jej artykuł naprowadzi nas na nowe ślady, a przynajmniej ujawni sposób myślenia Chrzęszcza. Nie wątpię, tak jak i ty, że Chrzęszcz będzie współautorem tego dzieła.

Siedzieli na ławce za domem Zawadzkich. Z wnętrza nie dobiegał żaden dźwięk. Matka spała. Łatwo się męczyła, ale z trudem godziła się na zwolnienie tempa. Przed ostatnimi promieniami zachodzącego słońca osłaniała ich zgięta wpół ze starości, spróchniała czereśnia. Jej świeże, jasnozielone liście, poruszone lekkim wiatrem, igrały z błyskami światła, tak samo jak za dawnych dobrych lat, gdy pięła się ku górze. Dopóki ta czereśnia nie uschnie, pomyślał niespodziewanie Marek, matka też będzie żyła.

- Pewnie masz rację. - Ocknął się z zadumy. - Nie czuję się jednak z tym dobrze. Nie postąpiłem całkiem fair w stosunku do Miki. Jednak mam przecież prawo ją poprosić, żeby od czasu do czasu coś napisała - usprawiedliwiał się sam przed sobą. - Wkurza mnie, że Pawła tak bardzo zajmuje ta sprawa. Nic nie mam przeciw niemu, ale w tej rozmowie był inny niż zazwyczaj, nieszczerzy, niespokojny... Sam nie wiem.

- Chrzęszcz na pewno ma sporo za uszami. Jego nazwisko chodzi na giełdzie drani i podejrzanych dorobkiewiczów, ale trzeba przyznać, że nigdy z Krzyśkiem nie trafiliśmy na żadne dowody przeciw niemu. Dobrze się kryje.

- Może jednak nie ma nic do ukrycia? Nie bierzesz tego pod uwagę?

- Udajesz naiwniaka? - Macho podniósł się z ławki i zaczął chodzić wzdłuż przydomowego trawnika. - Skąd się wzięła jego błyskawiczna fortuna? Czy on coś

produkuje? Albo jest genialnym wynalazcą? Albo dostał spadek z zagranicy? Gównu! - Kopnął kamyk leżący na trawie. - Za co dostał taką górę szmalu?

- U nas podejrzewa się każdego, kto ma pieniądze, to jakiś postsocjalistyczny absurd. Ma po prostu talent do interesów.

- Sam go podejrzewasz - odparował Andrzej. Stał naprzeciw i spojrzał mu prosto w twarz. - I wiesz co, dziwię ci się, Big Mac, cholernie się dziwię, że wziąłeś od tego faceta pieniądze...

- Po pierwsze, na tym etapie to wszystko są tylko domysły. A po drugie, zespół od sześciu tygodni nie dostał ani grosza. Z czego mają żyć twoi kumple z redakcji? Ciebie ani innych nie obchodzi, skąd biorą się pieniądze na utrzymanie firmy, na czynsz, na elektryczność, papier. A ja myślę o tym dniami i nocami. Cały czas przeliczam, dodaję, odejmuję, w głowie mam kalkulator. Te pieniądze pozwoliły nam przetrwać kryzys, za chwilę wyjdziemy na prostą, wtedy mu oddamy, pozbędziemy się go.

- Mów o sobie. Nie używaj słowa „my”.

- O co ci chodzi? - Marek dostrzegł na twarzy Andrzeja grymas ni to złości, ni rozpacz.

- Nie mam zamiaru - odpowiedział Macho zimnym głosem - pracować w firmie, która bierze pieniądze od podejrzanych typów. Przyjrzyj się, jakich on ma kumpli, w jakich kręgach się obraca. Jesteś ślepy?

- Nie. - Big Mac postanowił zachować stoicki spokój. - Ale wziąłbym te pieniądze nawet od samego diabła, byleby przetrwać.

- Ambicja nie pozwoliłaby Wielkiemu Macowi pochować firmy i przyznać się do klęski.

- W dupie mam ambicję. Nie rozumiesz, że tu chodzi o coś więcej?

- No o co?

- Choćby o wolną prasę.

Macho odwrócił się gwałtownie w stronę Marka.

- Wolna prasa za podejrzany szmal. Piękna idea! Powinieneś to opatentować! - zawołał i wybuchnął śmiechem.

Najważniejsze, pomyślał Marek, to nie dać się sprowokować. Odczekał spokojnie, aż kumpel przestanie się histerycznie śmiać.

- Znów muszę ci przypomnieć, że cała nasza wolność jest skutkiem kompromisu. - W jego bardzo opanowanym głosie wibrowało napięcie. - A on otwiera nowe szanse, również przed nami, dziennikarzami, choć tak bardzo nie odpowiada ci liczba mnoga. Już nie ma cenzury. Krok po kroku dojedziemy dalej, stworzymy demokratyczne reguły. Wcześniej czy później wygramy, ale potrzeba cierpliwości i odpowiedniej taktyki, a przede wszystkim wolnych mediów.

- A ja nie godzę się na żadne kompromisy. Mam je gdzieś. W odróżnieniu od ciebie uważam, że do niczego nie prowadzą, najwyżej do powtórki z przeszłości. Rozumiesz? I dlatego nie mam zamiaru dalej pracować w „Starcie”. Składam wypowiedzenie.

- Dobrze się zastanów, bo jeżeli jeszcze raz wypowiesz te słowa, przyjmę je do wiadomości. - Marek był zniecierpliwiony. - A nawiasem mówiąc - dodał już całkiem obojętnie - tego dokładnie oczekiwałby Paweł Chrząszcz.

Zapadło głucho milczenie. Sekundy płynęły jak godziny. W końcu Andrzej odezwał się cicho:

- Jakbym teraz odszedł, pomyśleliby, że stchórzyłem. Odłóżmy tę rozmowę do czasu, aż wyjaśni się sprawa Krzysztofa.

- Jak sobie życzysz. - I po chwili, zupełnie jakby nic się nie stało, Marek uprzejmie zapytał: - Zostaniesz na kolacji?

- Dzięki, ale czeka na mnie Irena... Właściwie byłoby ci na rękę, gdybym teraz odszedł ze „Startu”.

- Właściwie tak. Ale jak zwykle w twoim wypadku, zawiodły mnie nadzieje.

Nie odprowadził Andrzeja do furtki, jak miał w zwyczaju to robić w stosunku do gości, ale od razu wszedł do domu. W salonie zastał matkę, która z wielką uwagą układała sztuce obok talerzy. Pochylona nad stołem, wyglądała jak mała elegancka dziewczynka.

- Napijesz się wina, synku? - Nie podnosząc głowy, poprawiła serwetki.

- Tylko jeśli ty napijesz się ze mną - odpowiedział bez namysłu. Uniosła twarz i spojrzała figlarnie.

- Jasne. Musimy to uczcić. Moim zdaniem, racja jest po twojej stronie.

- Podśluchiwałaś?! - udawał zgorzzenie.

- Jak ty mówisz do starej matki! - oburzyła się, ale oczy nadal się jej śmiały. - Okna są otwarte, słychać każde słowo. Ten dupek - matka z przyjemnością używała słowa, które odkryła w amerykańskich filmach, bo jak powiadała, nie jest wulgarnie, a oddaje istotę rzeczy - nie ma pojęcia, że jestem cichą współniczką w tym interesie. - Zachichotała.

Determinacja, z jaką starała się przewyciężyć fizyczną bezsilność, nie dać poznać po sobie słabości i cierpienia, robiła na nim wrażenie. Nie miał ochoty kontynuować rozmowy, ale ze względu na matkę nie chciał się wykręcać. Powiedział więc:

- Wiesz, że nie jest to takie proste.

- Wiem, że nic, co jest coś warte, nie jest proste. - Napotkał jej bystre, żółte spojrzenie.

- Z tego powodu, tak jak i tobie, nie podoba mi się wymachiwanie szabelką. Niczego nie rozwiązuje, a pozostawia niepotrzebne ofiary na placu boju. Ale zostawmy na dzisiaj te rozważania. - Jak zwykle bezbłędnie odczytała nastrój syna. - Wolisz białe czy czerwone? - zapytała beztrząsco. - A nawiasem mówiąc, cóż to za beznadziejne nazwisko Chrzęszcz.

Uśmiechnął się. Matka zawsze umiała go rozbawić.

- Zadzwoń do Anny. Zaraz wracam.

Zniknął za drzwiami swojego dawnego pokoju, który robił imponujące wrażenie, tak kiedyś oceniła Anna, eklektycznym chaosem. Między antycznym biurkiem i solidną powojenną szafą stał jasny sosnowy regał z czasów małżeństwa z Magdą. W apogeum małżeńskiego kryzysu poszli razem kupować meble, jakby mieli nadzieję, że w ten sposób zdołają uratować związek. Niektórzy na pamiątkę trzymają wspólne zdjęcia, jemu pozostał wystany w kolejkach, słono przeplacony, ohydny regał. „Szkoda go wyrzucić, przyda się na książki”, mówiła nawet matka, a przecież pozbył się czegoś więcej, wywalił do kosza swoje małżeństwo, więzy, zobowiązania, przysięgę wiecznej miłości, którą złożył w kościele. To wszystko poszło w diabły, a mebel stoi, jak stał, bezmyślny, beznadziejny, nikomu niepotrzebny. Pozbył się żony, ale na zawsze pozostał ze swoim ukochanym regałem, tak powinno być napisane w moim nekrologu... Przez moment bawił się tą myślą. W istocie nadmiar rzeczy zawsze go irytował, ale wszystkie kobiety, które go otaczały, łącznie z matką, gromadziły je, układały, odkurzały. Może najmniej obchodziły Annę, ale czasem miał wrażenie, że świat w ogóle niewiele ją interesuje. Przyłapywał się na tym, że coraz częściej szuka we wspomnieniach obrazu Anny uśmiechniętej, radosnej, czulej, tak jakby już nie byli razem. A przecież niczego bardziej nie pragnął, niż być z nią. Jestem winien, przyznawał przed sobą, mam za mało czasu. Ale gdzieś głęboko czuł, że ona wznosi mur, chce zamknąć się w fortecy, do której nikt, nawet on nie będzie miał dostępu.

W bezradnym geście zmiął pustą kartkę papieru. Wykręcając numer telefonu, rozglądał się po dobrze znanym wnętrzu. Dostrzegł leżącą na szafie piłkę z autografem Zbigniewa Bońka, a za nią stare, puste akwarium, w którym kiedyś trzymał żółwia. Telefon odebrał Marcin.

- Dostaniesz ode mnie żółwia - oznajmił bez wstępów.

- Ojej, to fantastycznie! Kiedy?

- Jutro, ale pod warunkiem że natychmiast połączysz mnie z mamą.  
- Nie ma jej. - Głos chłopca zabrzmiał przeproszająco. Marek zdziwił się, ale i odetchnął z ulgą. Chandra wreszcie  
minęła. Spojrzał na zegarek. Była 22.58. Przez moment czuł niepokój. To nie była pora, o której Anna, nawet będąc w najlepszej formie, miała zwyczaj sama wychodzić z domu.



## Rozdział XIII

Michael postanowił, że nie będzie nadal informował Jima o próbach nawiązania kontaktu z pułkownikiem. Nie miał ochoty narażać się na jego komentarze. Dziwił się łagodnej postawie przyjaciela wobec Kuczka, ale w końcu, pomyślał ironicznie, to nie on wyłożył pieniądze na łapówkę. A przecież dobrze wiedział, że nie chodzi o te sto tysięcy dolarów, te mógłby spokojnie podarować, pieniędzy i tak miał za dużo, ale pragnął rewanzu. Przed ośmioma laty pułkownik trzymał smycz w ręku i prowadził ich, jak chciał i dokąd chciał. Myśl o tym, że dzięki jego pieniądzom - a w Polsce, inaczej niż w Stanach, była to niebotyczna suma

- Kuczek pewnie do dziś używa życia, doprowadzała go do wściekłości, zwłaszcza od spotkania z Miką. Ta dziewczyna, którą zapamiętał jako swoje alter ego, okazała się nikim innym jak tylko piękną nieznajomą, a mimo to rozdierała mu serce. Nie potrafił odczytać jej myśli ani intencji, była nieprzenikniona nawet wówczas, kiedy leżeli w wielkim, hotelowym łóżu, blisko spleceni jak para zagubionych rozbitków.

Natychmiast, w momencie powitania zauważył na jej palcu obrączkę, ale nie spytał o męża, a ona w ogóle o nim nie wspomniała. Potem odeszła, nie zostawiając żadnej wiadomości ani numeru telefonu. Żałował wszystkich słów, których nie wypowiedział. Powinien był zapytać ją o lata spędzone w więzieniu i o następne, które upłynęły po uwolnieniu. Powinien był opowiedzieć o dławiącym wstydzie, jaki po powrocie do Ameryki ogarniał go na myśl, że pozwolił, aby to ją Kuczek zamknął do więzienia. A ona przeszła nad tym do porządku, ominęła problem, niczym wytworna dama, która unika kałuż, żeby nie pobrudzić sobie pantofli. Powinien był powiedzieć, że docenia jej poświęcenie, które sprawiło, że poznał miłość bez ograniczeń. Po powrocie z Warszawy do Kalifornii miał wiele kobiet, ale żadna z nich nie byłaby zdolna ofiarować mu daru z własnej wolności, który otrzymał od Miki. Wobec tego wszystko, co od tamtych dostawał, to było za mało, więc znów szukał gdzie indziej. Nawiązywał ciągle nowe romanse i stawał się coraz smutniejszy. Był jak podróżnik, który odkrył rajską wyspę i nie umie już żyć na swojej ulicy.

A z drugiej strony czy naprawdę mógłby wyznać swoje winy i najgłębsze uczucia tej nieznanej kobiecie, która odwiedziła go w hotelu? Nawet przed Jimem starannie ukrył nadzieję, która sprawiła, że pragnął wrócić do Polski. Nie przyznał się, że napisał do Miki list zapowiadający przyjazd. Czekał na nią od momentu, kiedy obaj z Jimem wysiedli z samolotu. Rozglądał się, czy już jest, czy przyjdzie za chwilę. A kiedy w końcu się pojawiła, nie umiał jej spotkać ani odnaleźć. Był rozczarowany, choć nie do końca rozumiał dlaczego. Dręczyło go pytanie, czy ta tak bardzo odmieniona kobieta potrafiłaby, tak samo jak tamta, jednym niedbałym ruchem postawić na szali całą swoją egzystencję, aby chronić kochanego mężczyznę. A czy on był tego wart? Czego się mogła po nim spodziewać poza seksem, który jej tak chętnie ofiarował? Nie chciał się do tego przyznać nawet przed sobą, ale jej zniknięcie po wspólnie spędzonej nocy odczuł jak bolesny policzek, na który zasłużył. Wszelkie nadzieje, skrycie pielęgnowane w związku z podróżą, okazywały się płonne, ścieżki wiodące do celu splątały się w drodze donikąd.

- Fuck! - jęknął pod nosem i zapalił dziesiątego od rana papierosa. Nie umiał zapanować nad stresem. Co to jest, do cholery, ten kraj zawsze rozstraja nerwy!

Pułkownik jakby wpadł w piekielną czeluść. Nie dawało się odnaleźć jego numeru telefonu ani dowiedzieć się, co się z nim dzieje, mimo że Cameron usiłnie się o to starał. Według jego relacji z poszukiwań wszyscy, u których usiłował zasięgnąć informacji, jak mantrę powtarzali, że nic o nim nie słyszeli, bo został odsunięty od władzy już kilka lat temu.

- No i co z tego - niecierpliwiał się Michael. - Przecież się nie zdematerializował. Ktoś musi cokolwiek o nim wiedzieć.

- Lepiej nie wiedzieć tego, czego można się o nim dowiedzieć - odpowiadał filozoficznie Cameron, a już kompletnie wyprowadzał Michaela z równowagi, gdy dodawał: -

Dobrze ci radzę, zostaw tę sprawę. Jak ruszysz gównem, zaczyna śmierdzieć. Miałeś już w przeszłości dość kłopotów z powodu Kuczka. Do czego teraz go potrzebujesz?

- Zamierzam z nim pogadać, lubiłem faceta, a zwłaszcza ceniłem jego wyjątkowe poczucie humoru.

Grubas wzruszał ramionami, ale nie miał ochoty się spierać. Gdy Michael był w złym humorze, jego złośliwość cięła niczym brzytwa.

- Jest inny, niż go zapamiętałem - zwierzał się Bill swojej żonie.

- To znaczy jaki? - dopytywała się Ewa Kowalska - Cameron, która starannie ukryła przed mężem fakt, że Michael zrobił na niej piorunujące wrażenie.

- Nie umiem tego dokładnie określić...

- Spróbuj. - Żona była nieubłagana.

Od początku czuł, że niepotrzebnie rozpoczął tę rozmowę. I jak zawsze w chwilach zakłopotania przed oczami zamajaczyła mu wypełniona po brzegi lodówka.

- Niespokojny, rozdrażniony... - Zastanowił się, ale zaryzykował: - Jakby był nieszczęśliwy.

- Na pewno jest zakochany, i to bez wzajemności - błyskawicznie rozwiązała problem pani Cameron.

Popatrzył na żonę z rozczeniem. Kobiety we wszystkim widzą tylko sprawy miłosne.

- Rzadko się zdarza, skarbie, aby ktoś tak bogaty i przystojny jak on był nieszczęśliwie zakochany.

- Ale nie można tego wykluczyć - nie ustępowała.

- Nie można.

Nie miał już ochoty drażnić tematu, tym bardziej że żona rozpięła kłamrę podtrzymującą kok, a uwolnione loki niczym złota piana spłynęły jej po plecach. Mieli jeszcze, wykalkulował, co najmniej godzinę do wyjścia na kolację do Leskich.

\*

Goście obsiedli ogromny stół niemal tak gęsto jak w ostatnie święta. Brakowało Marcina, ale Anna się uparła, że chłopiec musi pojechać do Podkowy, do babci Zawadzkiej. Kiedy indziej byłby szczęśliwy, bo lubił tamten dom i jego właścicielkę, która zawsze robiła mu niespodzianki. Była nie tylko kompletnie różna od babci Leskiej, ale od wszystkich innych znanych mu starszych pań. Pudrowała się, czasami bywała surowa, a złośliwością nieźle czasem potrafiła dotknąć. Kiedy miała dobry humor, trudno było o lepszego kompana. Potrafiła śmiać się z innych, z siebie, z całego świata. Instynktownie wyczuwał wówczas, że pokazuje mu coś ważnego, jakby demonstrowała życie pod tysiącokrotnie powiększającym szkłem, aż przybierało absurdalne i groteskowe formy. Tyle jest warte, zdawała się mówić, więc nigdy nie dawaj się nabierać na zbytnią powagę.

Tym razem Marcin bronił się przed wyjazdem i rozpaczliwie szlochał. Babcia współczuła mu tak bardzo, że sama miała łzy w oczach.

- Niech zostanie - przekonywała córkę. - On jest taki towarzyski, taki gościnnie.

- Nie bądź śmieszna, mamó - krótko ucięła Anna. - Pojedzie i już.

Leska nie chciała dłużej zwlekać z zaproszeniem siostrzeńca. Kolację zaplanowała jako kameralne, rodzinne spotkanie, jednak gdy zadzwoniła z zaproszeniem, Jim uznał za oczywiste, że przyprowadzi ze sobą Michaela i Cameronów, Marek zaprosił Paprockich, bo uważał, że spotkanie z amerykańskim wydawcą będzie dla nich ciekawe, oraz Mikę, ponieważ wiedział, że zna obu przyjezdnych. Nie przypuszczał, że dziewczyna pojawi się z mężem, tym bardziej że od pewnego czasu wszędzie pokazywała się samotnie. Obecność Chruszcza popsowała mu humor, choć wcześniej cieszył się na tę kolację. Chciał oznajmić wszystkim dwie radosne wiadomości. Jedną z nich dotyczyła tygodnika.

Przed zebraniem z zespołem przejrzał kwartalne dane i odczuł radosną satysfakcję. „Start” z tygodnia na tydzień zyskiwał coraz więcej czytelników. A więc było się o co bić,

walić głową w mur, zaliczać nieprzespane noce i spędzać niekończące się godziny w redakcji. Ogłosił w redakcji wyniki sprzedaży, a jego oświadczenie wszyscy powitali z krzykliwym entuzjazmem.

- Nie chciałbym jednak - kontynuował - żebyśmy na tym skromnym sukcesie poprzestali. A tak się stanie, jeśli będziecie dostarczać marny towar jak ostatnio. Czy w tym kraju nic się nie dzieje? Jesteśmy świadkami systemowej transformacji, a wy co? Siedzicie na tyłkach w stolicy. Umówmy się, że na dwa tygodnie wszyscy zapominamy drogi na Wiejską i w Aleje Ujazdowskie. Politycy i urzędnicy won z łamów. Idziemy do ludzi, ich zapytamy o zdanie.

- Co to, ogłaszasz plebiscyt, jak za komuny? - oburzył się Stefan Młynarski, niewysoki, ciemnowłosy trzydziestolatek o wydętych jak u Brigitte Bardot ustach. Kiedyś był liderem zespołu Deep Dno, który za komuny nigdy nie dostał zezwolenia na występy, a zaraz po wolnych wyborach się rozpadł. Z braku innego pomysłu na życie postanowił zostać dziennikarzem i okazało się, że ma talent do tego fachu. - Zrobimy bohatera z szarego obywatela?

- Tytuł w sam raz dla twojego przyszłego tekstu. - Marek uśmiechnął się i dodał już poważnie: - Musimy ludziom pokazać, że ich decyzje się liczą, mogą coś zmienić. Jeśli to się nie uda, za rok, a najdalej za dwa lata, po kolejnym okresie błędów i wypaczeń, powrócimy do starego sprawdzonego systemu.

- Od razu możemy postawić na come back - odezwała się w charakterystyczny dla siebie sposób, niezbyt głośno, ale dobitnie reportażystka, Joanna Malewska, szczupła szatynka w nieokreślonym wieku, siedząca w kucki pod ścianą. Uważała się za dziennikarską wygę i ani na chwilę nie opuszczała jej pewność, że jest przygotowana na wszystkie zawodowe niespodzianki. Gdy była w dobrym nastroju, demonstrowała młodszemu kolegom zawartość swojej torebki: mały budzik, cztery długopisy, dyktafon, notatnik, małe słuchawki, zapasowe baterie, miniaturowy śrubokręt, latarkę, pomadkę w nieoczekiwanej wścieklej czerwieni oraz zestaw suchego prowiantu w blaszanym zielonym pudełku z napisem „US Army”.

- Mam sto takich opakowań - przechwalała się. - Kupiłam na bazarze w Nowym Targu.

- Powiedz, co tam jest w środku - błagali wszyscy, którzy widzieli hermetycznie zamknięty pakunek.

- W żadnym wypadku - odpowiadała stanowczo Joanna. - To jest tajemnica moja i armii amerykańskiej.

Nikt nie wiedział, czy żartuje, czy naprawdę w to wierzy. Jej przekonanie o własnym posłannictwie było niepodważalne. Przez to padała łatwym łupem bardziej lub mniej wybrednych dowcipów, koleżeńskich aluzji i złośliwości. Po redakcji zaś krążyła anegdota, że dzięki Malewskiej będą musieli przyjąć wreszcie Polskę do NATO, bo wykupiła cały zapas suchego prowiantu dla amerykańskiej armii.

Gdyby Marek miał powiedzieć, co najbardziej lubi w dziennikarskim fachu, to byłoby właśnie owo połączenie cynizmu, dystansu i wątplenia we wszystko z żarliwością, ciekawością i nieustannymi, choć często chybionymi próbami naprawiania rzeczywistości. Jego zastępca przestrzegał przejętych stażystów, którzy garnęli się do redakcji: „Nie myśl, że jak zrobisz kleks na papierze, to od tego zawali się Rzeczpospolita”. Dziennikarze jednak traktowali słowa jak pociski, dzięki którym można wygrać albo przegrać życie, tak samo cudze, jak i własne, ślepo wierzyli w szyk liter na papierze, jak w linię frontu na polu walki.

Przed zebraniem zdążył jeszcze zadzwonić do domu, bo chciał się pochwalić sukcesem „Startu”, ale znów nie zastał Anny. Ostatnio ciągle gdzieś zniknęła. Wracała późno, smutna i zmęczona. Odmawiała odpowiedzi na wszelkie dociekania, gdzie była. Nie chce mnie już, myślał i za każdym razem odczuwał przeszywający ból.

A jednocześnie w głębi duszy był przekonany, że taka właśnie jest zwyczajna kolej rzeczy, sam zdradzał, odchodził, a teraz koło się zamyka. Nie miał odwagi jej spytać o Amerykanina. Słowa Ireny, wypowiedziane kiedyś z intencją, aby go dotknąć, stale do niego powracały. Czy to możliwe, żeby odżył (o ile kiedykolwiek istniał) romans Anny z Michaeliem?

Podczas kolacji uważnie ich obserwował, ale nie zauważył przelatującej pomiędzy nimi iskry, raczej niezbyt przyjazną obojętność. Z doświadczenia wiedział, że zdrada umie się doskonale maskować. Mógłby dziewczynę zapytać wprost, ale na to nie potrafił się zdobyć. Bał się usłyszeć odpowiedź twierdzącą, bo wtedy musiałby coś zdecydować, określić swoje stanowisko, a nie był przygotowany na ostateczne rozwiązania. Wobec tego postanowił, choć ucieczka od prawdy prowadziła w ślepią uliczkę, schronić się w jej zaułek.

Leska wzdychała w duchu, bo nad stołem pełnym kiełbas, pierogów, żuru i schabu ze śliwkami panowała ciężka atmosfera. Goście próbowali wszystkiego po trochu, ale byli bez apetytu, nie delektowali się daniami. Jeden Cameron sięgał po dokładki, lecz żona strofowała go za każdym razem, gdy tylko wyciągnął rękę po półmisek. Mąż jest na diecie, odchudza się, tłumaczyła. Rozmowa się nie kleiła. Anna wymieniała od czasu do czasu jakieś uwagi z Jimem, ale jak zauważyła matka, niemal ignorowała jego kumpla. Staś kilkakrotnie próbował nawiązać z nim rozmowę na temat prasowego biznesu, lecz osowiały Michael odpowiadał skrótowo, niechętnie. Zupełnie jakby odganiał się od muchy, pomyślał urażony Paprocki i uznał go za pyszałka, z którym nie warto gadać. Mika demonstracyjnie często zwracała się do męża, jakby chcąc podkreślić, że jego obecność jest dla niej najważniejsza. Unikała kontaktu z Michaeliem, a on był w coraz podlejszym nastroju. Grubas próbował przypominać różne anegdoty ze stanu wojennego, ale nawet te jego zdaniem najśmieszniejsze nie wywoływały odzewu, a nawet przeciwnie, wzbudzały dziwne zakłopotanie. W końcu żona boleśnie kopnęła go w kostkę, więc zamilkł. W takich sytuacjach ogarniał go nieposkromiony apetyt, więc skoncentrował się na rozważaniu, jak go zaspokoić, unikając czujności Ewy.

Na myśl o fortunie Watsonów - Smithów, z którą jego osobisty majątek nie mógł się nawet równać, siedzący obok żony Paweł się zasępił. Przez pewien czas rozważał nawet, czy nie warto byłoby mieć owego jankeskiego nababa za partnera w interesach, ale doszedł do wniosku, że nie będzie z nim na ten temat rozmawiał. Rekin taki jak on połknie współnika na śniadanie, popijając sokiem pomarańczowym. Siostrzeniec Leskiej to co innego, rozmyślał, też ma parę groszy, ale nie posiada kiepele do biznesu jak ten Michael. Amerykański współnik dodałby firmie prestiżu i mógłby być przykrywką do pewnych nie całkiem klarownych interesów. Przelknął ślinę. Nie chciał o nich myśleć, bo ostatnio nic nie szło po jego myśli. Miał wrażenie, że czarna łapa zaciska mu się wokół szyi. A jeszcze ten, kurna, popatrzył z niechęcią na Marka, ze swoim etosem może sprawić kłopotliwą niespodziankę. Od czasu rozmowy z naczelnym odczuwał niepokój. Zawadzki jest nawiedzony, a co gorsza czysty, niczego nie można mu wyciągnąć, ciężko będzie go utrzymać w ryzach. Niepotrzebnie wdawał się w ten interes ze „Startem”. Cholera wie, co jeszcze z tego wyniknie. Ale z drugiej strony łatwiej będzie kontrolować wydarzenia. Już dotarło do niego, że oszołom Andrzej Machnicki lata po całym mieście i wypytuje o jego interesy. Niech to diabli wezmą! Wypuścił z ust potężny kłęb dymu z cygara. Jedna Mika w tym całym towarzystwie potrafi go docenić. Wie, gdzie stoją konfitury. Zadowolony ścisnął żonę za kolano, a ona odpowiedziała mu czułym gestem.

Za dużo wypiłam, pomyślała Anna, wyciągając rękę po kolejny kieliszek wina. Od czasu do czasu pojawiały jej się przed oczami migocące ciemne koła, a momentami odczuwała słabość, jakby za chwilę miała zemdleć. Przy stole zrobiło się zamieszanie, matka z Markiem zaczęły zbierać talerze, Zuzia Paprocka rzuciła się do pomocy. Niektórzy wyszli na balkon, aby przed kawą i deserem zapalić papierosa. Postanowiła wykorzystać ten moment, wstać niepostrzeżenie i zamknąć się w swym pokoju, odgrodzić od klimatu napięcia i

niedomówień, jakie panowały przy stole, a przede wszystkim od Michaela. Znów, jak wiele razy przedtem, patrzyła mu w twarz, starając się porównywać jego rysy z twarzą Marcina, ale nie odnajdywała podobieństwa. Może mieli coś wspólnego w zarysie ust, lecz to wrażenie szybko uleciało. Teraz za wszelką cenę pragnęła się schować. Bała się, że Michael uzna moment zamieszania za odpowiedni i zapyta ją w obecności tych wszystkich kręcących się osób, dlaczego ciągle mu towarzyszy, jaką ma do niego sprawę. Musi uciec. Jednak gdy tylko wstała i przeszła parę kroków, Michael podszedł do niej i powiedział:

- Słyszałem, że masz synka. Gratuluję. Szkoda, że go nam nie przedstawiłaś.

- Musiał wyjechać - wyjąkała, patrząc mu w twarz z rosnącym przerażeniem, aż poczuł się speszony.

- Źle się czujesz? - zapytał przyjaźnie.

- Nie, muszę tylko pójść do pokoju, zabrać swoje rzeczy - odparła zupełnie bez sensu.

Zrozumiał, że nie jest zupełnie trzeźwa.

- No jasne, idź - powiedział, uśmiechając się wyrozumiale.

Miała ochotę zapłakać, ale najpierw musiała dotrzeć do swojego pokoju. Tymczasem przeszkody się mnożyły, bo Jim postanowił ją odprowadzić. Przechodząc przez salon, wsparta na ramieniu kuzyna, przez krótką chwilę, jakby przemknął jej przed oczami filmowy kadr, widziała Michaela podającego ogień Mice. Pochylał się nad nią, podsuwając płomień zapalniczki, a drugą ręką przygarnął jej dłoń. O nie, pomyślała, nie wydam się znowu na męki zazdrości. Zresztą naprawdę, skonstatowała ze zdumieniem, absolutnie nic mnie to nie obchodzi. Wyrwała się kuzynowi, podeszła do Marka zatopionego w rozmowie z gośćmi, niezbyt grzecznie pociągnęła go za rękaw.

- Chyba pora oznajmić niespodziankę wieczoru.

- Nie teraz, Aniu - odparł lodowato. - To nie jest odpowiednia pora, przynajmniej dla ciebie.

Poczuła nieprzyjemne ukłucie. Nawet on miał ją za nic, lekceważył, zarazem dając odczuć swoją władzę, tak jak kiedyś Michael. Gdy dowiedziała się, że Watson - Smith ma przyjść na kolację, natychmiast zadzwoniła do doktora Jaskiera i poprosiła o błyskawiczną konsultację.

Umówili się w Łazienkach. Szła alejką, obserwując wiewiórki migające rudymi kitami między gałęziami. Oszałamiająco pachniały czeremchy. Dała się ponieść radości, porzuciła złe myśli, wobec przepychu rozkwitającej przyrody własne sprawy wydały jej się małe, niewarte zainteresowania. To była przecież pierwsza wiosna zapowiadająca dla wszystkich nową, lepszą przyszłość.

Jaskier siedział na ławce, czytając „Start”. Kiedy zauważył dziewczynę, pomachał tygodnikiem i powiedział:

- Wreszcie można coś poczytać. Twój chłopak zrobił naprawdę dobry tygodnik. Podoba mi się nawet jego wstępniak, a zwłaszcza ten fragment o konieczności rozmowy. „Bez dialogu - zacytował - nie ma mowy o demokracji. Monologi, długie i pompatyczne, uznajmy za formę należącą do niedawnej przeszłości. Pogadajmy jak ludzie, którzy mają do załatwienia wspólną, niezmiernie ważną sprawę. Pomówmy jak Polak z Polakiem”. Zręczne, bardzo zręczne - stwierdził, a zamknąwszy tygodnik, zaczął go nerwowo ugniatać.

- Jeszcze nie czytałam - usadowiła się obok doktora. Ławka rezonowała jego niespokojnymi ruchami. Jaskier nie skomentował jej oświadczenia, tylko uniósł krzaczaste brwi. Gdy opowiedziała mu, z czym przyszła, długo się zastanawiał, targając włosy na wszystkie strony. Spokojnie czekała na werdykt, przyglądając się feerii barw na zadbanych rabatkach. Motyle przysiadające na kwiatkach na chwilę zmieniały kolory płatków, żółtozielony dywan z trawy i mleczków zdawał się nie mieć końca.

- Sądzę - powiedział doktor ostrożnie - że jest pewne bezpieczne rozwiązanie...

- Jakie?

- Przyjmij wreszcie oświadczenia Marka, to powinno uchronić cię przed głupstwami.

Uśmiechnęła się do Jaskiera, a on po raz kolejny doszedł do wniosku, że uroda tej dziewczyny ma w sobie coś niepokojącego. Desperacji, głęboko chowanej na dnie oczu, nie udawało się jej do końca ukryć. Jego zadaniem powinno być wydobywanie dręczącej Annę tajemnicy na światło dzienne, jednak wybitny, choć kontrowersyjny psychoterapeuta się wahał. Obawiał się doprowadzić to dziecko do ostateczności.

Zdziwiła się, że jej samej nie przyszło do głowy tak proste i oczywiste rozwiązanie.

## Rozdział XIV

Michael umówił się z żoną Camerona na rogu Marszałkowskiej i Królewskiej, skąd miała zabrać go samochodem w dalszą drogę. Spóźniła się jednak, a on się niecierpliwił. Co chwilę podchodzili coraz to nowi mężczyźni, proponując mu wymianę pieniędzy, „czindź manej”. Miejscowi nazywali ich cinkciarzami. Pamiętał ich sprzed ośmiu lat, wówczas jednak nie byli tak nachalni. Ciekawe, dlaczego do tego odpowiedzialnego zadania nie zatrudniają kobiet. Doszedł do wniosku, że to sprawa katolickiej moralności. Kobieta składająca dyskretną ofertę zanadto kojarzyłaby się z ulicznicą. W tej sytuacji, pomyślał z ironią, całe ryzyko na własną pierś biorą rycerscy Polacy.

Nie ma prawa z nich kpić. Sam niczym się tu nie popisał. Niełatwo żyć w kraju, który wystawia człowieka na tyle prób. W gruncie rzeczy, rozmyślał, dają sobie radę, sporo wywalczyli, są jak amerykańscy pionierzy, może nie zawsze uczciwi, ale mocni, byle co ich nie podłamię. Przyznał rację Jimowi - trzeba ich podziwiać, nie krytykować. Uśmiechnął się pod nosem na myśl o swoim kompanie podróży, który docenił w Polsce siłę własnych pieniędzy. Za namową Camerona Jim postanowił zrobić tutaj interes życia.

- Brakuje w tym kraju pieniędzy, przedsiębiorstwa nie mają kapitału, a ludzie oszczędności ani kart kredytowych - ostrzegał kumpla Michael. - Na tym etapie można się dorobić dużego majątku jedynie nieuczciwą drogą, ale jak chcesz zarobić na dodatkowego hamburgera, to proszę bardzo.

- Twoje bogactwo sprawiło, że stałeś się konserwatywny. To typowa postawa dla posiadaczy wielkich fortun. Psychicznie cię już nie stać na ryzyko. Wolisz trzymać, co masz. Prędzej wsiadłbyś na „Titanica” niż na „Mayflower” - perorował Jim, tym bardziej zły, im bardziej jego przemową bawił się Michael.

Po powrocie z kolejnej wyprawy po złote runo Jim złożył przyjacielowi propozycję.

- Słuchaj - powiedział podekscytowany. - Mąż Miki... jego nazwisko jest niemożliwe do wymówienia, proponuje mi wejście w biznes prasowy. Może ty też jednak byłbyś zainteresowany? W końcu to twoja dziedzina.

Michael z trudem się opanował, żeby nie wybuchnąć, choć zdawał sobie sprawę, że przyjaciel nie ma pojęcia o prawdziwym stanie jego uczuć wobec Miki.

- Jesteś wymarzonym towarzyszem podróży - wycedził w końcu przez zęby - ale wybij sobie z głowy myśl o tym, żeby przedstawiciel rodu Watsonów - Smithów wchodził w interesy z podejrzanym trio. - Wyliczał na palcach: - Były dziennikarz, były dyplomata na diecie oraz - w jego głosie zabrzmiała pogarda - bazarowy tubylec.

- Masz cholernie przewrócone w głowie, i to do tego stopnia, że tylko ja mogłem z tobą wytrzymać, ale też mam cię dosyć. Bujaj się sam! - zawołał Jim, ale będąc już przy drzwiach, odwrócił się i dodał bardziej pokojowym tonem: - Z twoją forszą mógłbyś jakoś pomóc Polakom...

- Już jednego wspomogłem, więcej nie mam zamiaru.

Jim patrzył na kumpla, nie do końca rozumiejąc, w czym rzecz. Dopiero po chwili pojął sens tych słów.

- Masz obsesję. Zastanawiam się tylko, czy na punkcie pieprzonego pułkownika, czy własnych pieniędzy.

- Jedno z drugim dziwnie się łączy! - zawołał Michael do pleców Jima, który znowu śpieszył się na spotkanie w interesach.

Nie mógł więc liczyć na jego pomoc w próbach odnalezienia pułkownika. Nie chciał też już więcej zwracać się w tej sprawie do Camerona, który okazywał nie tylko znudzenie wcześniejszymi, bezskutecznymi zabiegami wokół tej sprawy, ale był też kompletnie nieprzekonany do ich sensowności. Na szczęście jego żona nie ukrywała sympatii dla przystojnego Watsona - Smitha. Licząc na jej przychylność, nawiązał niezobowiązujący flirt.

Pani Cameron nie tylko chętnie łapała się na lep słodkich słówek, ale miała jeszcze jedną nieocenioną zaletę - potwornie nudziła się podczas nieobecności męża w domu. Pałała żądzą przygody, a dopuszczenie przez Amerykanina do sekretu traktowała jako specjalne wyróżnienie. Opowiedział jej niezbyt trzymającą się kupy historyjkę o przesłuchującym go ongiś pułkowniku, którego pragnął zobaczyć w wolnej Polsce, aby przedyskutować z nim historyczne racje. Pani Cameron niespecjalnie nawet słuchała uzasadnienia, tak bardzo pragnęła ruszyć na poszukiwania, podczas których miała być jego kierowcą, przewodniczką i ewentualnie tłumaczką.

Doskonale pamiętał nazwę podwarszawskiej miejscowości, w której mieszkał pułkownik. Nie zapomniał też obrazu jego dziwacznego, ozdobionego ażurowymi drewnianymi wycinankami domu. Czy jednak uda mu się trafić? A nawet gdyby, to czy możliwe, żeby Kuczek tam jeszcze mieszkał, skoro nikt nie może go znaleźć? Miał jednak nadzieję, że na miejscu zdoła uzyskać jakieś informacje.

Wjeżdżali w małe uliczki, płacząc się w ich gmatwaninie. Niecierpliwił się. Pamiętał, że dom Kuczka stał na uboczu, a otaczał go duży ni to ogród, ni to fragment lasu - nie byłoby dla niego miejsca w ciasnej zabudowie. Za wszelką cenę usiłował przypomnieć sobie dodatkowe szczegóły. Wysilał pamięć w poszukiwaniu elementów uzupełniających obraz, który jak układankę z puzzli nosił w głowie. Wreszcie wjechali na leśny trakt. To mogła być ta droga. Drzewa zmęźniały, a ich konary nie kojarzyły się już z ramionami młodzieńca, raczej barami dojrzałego, ciężko pracującego mężczyzny. Splecione gałęzie tworzyły nad przecinką liściasty baldachim, pod którym panował chłodny cień.

Michael wpatrywał się w ciemnozielony tunel i nagle wydało mu się, że w oddali dostrzegł Annę. Wzdrygnął się lekko, ale wcale nie zdziwił. Postać tej dziewczyny ostatnio ciągle mu towarzyszyła. Kiedy wracał wieczorem do hotelu i rankiem, kiedy z niego wychodził, obserwował kryjącą się przed jego spojrzeniami sylwetkę. Niekiedy szła za nim podczas spaceru w sporej odległości albo niemal odprowadzała go do taksówki. Próbował nawiązać rozmowę, ale wyraźnie sobie nie życzyła żadnego kontaktu. Służbie hotelowej powiedział, żeby nie zwracała uwagi na nieproszonego gościa, i poparł swoją prośbę kilkoma dziesiątkami zielonych banknotów. Nie chciał, żeby spotkała ją jakakolwiek przykreść. Było mu żal dziewczyny, a jednocześnie go irytowała. Postanowił cierpliwie czekać - może wreszcie powie, czego chce.

Uroda Anny skusiłaby niejednego mężczyznę, ale on już w czasie pierwszego pobytu w Polsce w niej zasmakował i choć zauroczenie z jego strony trwało krótko, był pewien, że się nasycił. A poza tym jej rozedrgana psychika, nerwowość, dostrzegalna nawet w sposobie poruszania się, przypominały mu Sarę Henderson. Jedna kobieta na skraju załamania nerwowego, którą po zaledwie trzyletnim związku będzie się musiał opiekować do końca życia, to i tak było już dość. Sara mnie kocha, rozmyślał, Anna też kiedyś zapewniała o swej miłości. Z tego powodu obie kobiety mają ochotę stworzyć mi piekło na ziemi.

Czyniły go odpowiedzialnym za własne uczucia, jakby były niewolnicami, a on ich panem, który batem wymusza oddanie. Obdarowywały go klejnotem, na jaki w ogóle nie miał ochoty, a one za wszelką cenę pragnęły mu go wcisnąć. A w końcu obwiniając się za to, że odrzuca tak cenny podarek, uznawały, że same są nic niewarte. Rozumiał ten mechanizm, a jednocześnie buntował się przeciw obowiązkowi wzajemności uczuć, narzuconemu przez te kobiety. Tak pojmowana miłość była niczym karta kredytowa - należało wziąć z niej tylko tyle, ile można oddać z powrotem. Szaleństwo bez pokrycia, uczuciowe długi ani emocjonalne debety nie mieściły się im niczym skrupulatnym księgowym w głowie. Mika była zupełnie inna.

Miał szczerzy zamiar pogadać z Jimem na temat dziwnych wizyt Anny w hotelu, ale kumpel, ogarnięty szalem robienia intratnych interesów, nie nadawał się do żadnej sensownej rozmowy. Z Cameronem rozstawał się tylko na krótkie godziny snu, bo obaj ciągle mieli coś



do załatwienia lub przegadania. Michael kpił z nich bezlitośnie, a oni obrażali się na niego, pewni, że w nowej ziemi obiecanej znajdą swoją żyłę złota i jeszcze pokażą Watsonowi - Smithowi, kto jest górą. On zaś, ilekroć natknął się na nich w holu, pytał z wyszukaną uprzejmością: How is your business today, dear guys? A oni w odpowiedzi obdarowywali go nieprzyjawnymi spojrzeniami.

Nie, to jednak nie Anna. Dziewczyna, która szła poboczem, była znacznie od niej młodsza, ale podobna nawet w ruchach, które miały w sobie tyle samo gracji, co i niepewności. Nie chciało mu się wysilać na polski. Poprosił panią Cameron, aby zapytała o dom Kuczka. Dziewczyna tylko pokręciła głową.

- Nie wiem, kto to jest. Mieszkam tu od niedawna.

A więc był ktoś w Polsce, kto nie słyszał o pułkowniku Kuczku. No cóż, nowe pokolenie, pomyślał dziwnie poruszony tą banalną scenką. Minie jeszcze parę lat i zapomną nawet o stanie wojennym. Życie wszystko zarasta. Pojechali dalej. I nagle, kiedy już Michael zupełnie stracił nadzieję, jego oczom ukazał się dom, którego obraz tak dobrze wrył mu się w pamięć. No, panie pułkowniku, pomyślał, wreszcie się policzymy.

Dom stał w głębi działki, otoczony sosnami. Michael szybko wysiadł z samochodu. Ewa ustawiała auto, aby nie zawadzało na wąskiej leśnej drodze, a on już naciskał dzwonek. Setki razy wyobrażał sobie to spotkanie. Wymyślał słowa, którymi powita osłupiałego ze zdumienia pułkownika. Jednak, jak to w życiu bywa, wszystko odbyło się kompletnie inaczej. Nie zdziwiło go to specjalnie, bo już się przekonał, że wszelkie plany wymykają się człowiekowi z rąk jak śliskie mydło. Obowiązuje odgórny scenariusz, a jego akcji nie daje się przewidzieć.

W drzwiach pojawiła się tęga kobieta w różowej sukience. Jej włosy błyszcząły od nadmiaru lakieru, a twarz mieniła się różnymi kolorami tęczy: niebieskość powiek przechodziła w czerwień na policzkach i amarant na ustach. W ramionach, które tworzyły bezpieczne gniazdo, trzymała małego, kudłatego psa, spokojnie wpatrującego się w przybyszy. Zapytała, czy chcą obejrzeć dom. Gdy Ewa przedstawiła Michaela, kobieta drgnęła i uważnie spojrzała mu w twarz. Potem odpowiadała na pytania ze spuszczoną głową. Michaelowi ani razu nie udało się popatrzeć jej w oczy.

Była żoną pułkownika Kuczka, który według jej relacji kilka lat temu ją opuścił.

- Umarł? - zapytała wówczas Ewa, gotowa do wylewnego wyrażenia współczucia.

- Wyjechał służbowo za granicę i nie wrócił. Zdecydowałam się teraz na sprzedaż domu. Po co mi taka wielka chałupa? Dałam ogłoszenie do gazety. To piękna posiadłość, a budynek duży i komfortowy - zachwalała, jakby byli potencjalnymi kupcami. - Okna salonu wychodzą na sosnowy las.

- Pamiętam ten dom, hasn't changed - powiedział, gdy Ewa przetłumaczyła mu słowa gospodyni, z których i tak wiele zrozumiał. Przed przyjazdem wziął kilka lekcji polskiego u kochanki Jima, Elizabeth, którą serdecznie lubił. Jego nauczycielka była zdumiona, jak dużo Michael rozumie i jak wiele pamięta słów. Sam podzielał jej zdziwienie, ale z drugiej strony ten chropawy język kojarzył mu się z być może najbardziej znaczącym okresem życia. Był jak miłosny, a zarazem dramatyczny song, w takt którego działo się wszystko, co najważniejsze.

Niewinne stwierdzenie Michaela na temat domu wprawiło kobietę w niezrozumiały popłoch, zdecydowała jak najszybciej zakończyć wizytę nieproszonych gości. Jej dotychczasowy lekko spłoszony, lecz miły wyraz twarzy zastąpił nieprzyjawnym grymas. Szybko ich pożegnała. Jej mąż był bardziej gościnnie, pomyślał z ironią Michael, przypominając sobie ucztę, którą pułkownik wydał dla swoich zakładników przed laty.

Tylko przed sobą mógł przyznać, jak bardzo rozczarowała go ta wizyta. Nie lubił niezłatwionych spraw, a ta już pewnie nigdy nie znajdzie swego finału. Rejestr krzywd, które jeden człowiek może wyrządzić drugiemu, jest nieskończony. Kiedyś Kuczek zachwiał

jego niezłomną wiarą w wolność, teraz - w sprawiedliwość. Co to jest, do cholery, że na tym pieprzonym świecie do takich kreatur jak pułkownik należy ostatnie słowo?

## Rozdział XV

- Czy musicie mu zawracać głowę byle gównem? - pytała dziennikarzy zirytowana sekretarka.

Marek jednak nie protestował przeciwko niekończącym się pielgrzymkom do jego gabinetu. Kontakt z dziennikarzami, trzymanie ręki na pulsie pisma uważał za najważniejszą część swojej pracy. Ekonomiczną stroną przedsięwzięcia mógł się zajmować nocą, za dnia liczyło się bieżące redagowanie tygodnika i nie zdarzyło się, żeby dobrowolnie odpuścił jakikolwiek tekst. Do niedawna nie miał żadnych kłopotów z ludźmi. Pracowali w zwartej, dobrze rozumiejącej się grupie. A teraz czuł w niej jakieś pęknięcie. Ten mechanizm nie pracował tak jak dawniej w idealnym rytmie, ale bywało, że się zacierał w najmniej oczekiwanych momentach. Nie szukał winnych, nie chciał nikogo oskarżać nawet przed samym sobą, lecz coraz częściej przychodził mu do głowy Macho jako sprawca zamętu.

Od kiedy Andrzej powrócił z przymusowego urlopu do redakcji, podejmował kolejne tematy, ale teksty, choć wiele o nich opowiadał, nie powstawały. Zaczął w ogóle kontestować wszelkie pomysły, a co gorsza także zdanie Marka. Przyjął wobec szefa postawę buńczuczno - ironiczną, nieżyczliwie interpretował wszelkie jego decyzje. Ktokolwiek czuł się chwilowo choćby pokrzywdzony albo niedoceniony przez naczelnego, znajdował u niego natychmiastową pociechę i zrozumienie. Jak długo się dawało, Marek próbował ignorować ten stan rzeczy, ale jednocześnie czuł, że tolerowanie takiej sytuacji nadweręża jego autorytet. Starał się usprawiedliwić postępowanie Machnickiego. Rozumiał, że Macho jest rozgoryczony, bo choć niesłusznie, oskarża go o złożenie broni w sprawie brata.

Krzysztof z dnia na dzień gorzej znosił uwięzienie. Przesyłał rozpaczliwe grypsy. Skarżył się podczas widzeń. Cierpliwość, a nawet poczucie humoru, z jakim początkowo znosił pobyt w areszcie, całkowicie go opuściły. Przez pierwsze dwa tygodnie uważał całą sprawę za wypadek przy reporterskiej pracy, pomyłkę, która lada dzień się wyjaśni. Jednak czas mijał, a w jego sytuacji nic nie zmieniało się na lepsze. Coraz częściej był wzywany na szczegółowe przesłuchania. Więzienni strażnicy, którzy początkowo traktowali go z lekkim przymrużeniem oka, teraz okazywali mu surowość, z jaką zwracali się do wszystkich innych aresztantów.

Doktor Jaskier, którego Marek poprosił o widzenie się z więźniem, stwierdził, że Krzysztof jest w fatalnym stanie psychicznym.

- Prześladowają go myśli samobójcze, co przy jego wcześniejszych skłonnościach, które opisałem w książce, może okazać się niebezpieczne. A przy okazji, czy pan ją zna, panie redaktorze? Chętnie prześlę panu egzemplarz. - To mówiąc, doktor zadrżał, jakby przez ciało przeciągnięto linię wysokiego napięcia. - No więc, zmierzam do tego, że możemy spróbować wyciągnąć go z pudła - żartobliwie zaryzykował kolokwializm - z powodów psychiatrycznych. To jednak wymaga wdrożenia długiej procedury, uruchomienia sądowych biegłych. Niestety - doktor złapał się za ucho, próbując je rozciągnąć do niemożliwych rozmiarów - nie jestem jednym z nich. Postaram się jednak pomóc i wykorzystam w tym celu swoje zawodowe kontakty - obiecał na zakończenie, kłaniając się tak nisko, że Marek z zainteresowaniem przyglądał się, czy swoją bujną czupryną nie zamiecie podłogi.

Nieustannie poszukiwał nowych sposobów, aby uwolnić Krzysztofa. Jednak o podejmowanych próbach przestał informować jego brata, bo dość już miał jego pretensji wyrażanych za każdym razem, kiedy kolejna kończyła się fiaskiem. W tajemnicy wydzwaniał do wysoko postawionych kolegów z prośbą o interwencję, innych błagał o rekomendacje i podpisanie listu w sprawie uwolnienia dziennikarza. Jego działania nie przynosiły rezultatów. Z początku przychylni, gdy tylko dowiadawali się, że chodzi o narkotyki, ich chęć pomocy błyskawicznie ulatywała. Tłumaczyli się niemal tymi samymi słowami: nie mogę babrać w to własnego nazwiska, to zbyt ryzykowna sprawa. Lepsza już byłaby kradzież, a nawet

morderstwo w afekcie, za narkotykami zawsze ciągnie się brud, który łatwo się może przykleić.

Kiedy Marek znalazł w pocztowym pakiecie kopertę ze swoim nazwiskiem, bez żadnego adresu, a w niej karteczkę z informacją:

„Czerwony opel - wtorek, 14.00”, w pierwszym momencie aż podskoczył z radości na fotelu. Ta wiadomość oznaczała, że Iks żyje, a więc będzie mógł zaświadczyć o niewinności Krzysztofa. Po chwili jednak opadły go wątpliwości. A jeśli teraz na niego przyszła kolej i ktoś chce go zrobić? Może uwięzienie Krzysztofa było tylko jednym z elementów misternie utkanego planu, który ma na celu wykończenie „Startu”? Kto wie, co może go spotkać, jeśli da się złapać na lep tej informacji?

Choć wszyscy deklarowali umiłowanie wolności słowa, istnienie niezależnego pisma uwierało coraz więcej osób. Dziennikarze tygodnika wtrącali się, oceniali, krytykowali, rozliczali - nie wykazując w warunkach ustrojowej przemiany dostatecznego zrozumienia dla politycznych i ekonomicznych konieczności. Wielu kumpli teraz uważało go niemal za zdrajcę wspólnych idei. Nie opowiadał się posłusznie po ich stronie, ale poszukiwał, tak to oceniali, wpadek i uchybień, aby zburzyć idealny obraz, który oni wypracowywali, siedząc w urzędowych fotelach. Przypomniawszy sobie niedawną rozmowę ze swoim niegdyś bliskim kolegą, a obecnie wysoko postawionym politykiem.

Bogdan Kot zaprosił Marka do odziedziczonego po socjalistycznym antenacie gabinetu z masywnym biurkiem, z boków którego wyrastały wielkie mosiężne lwie głowy. Z dawnego brata łaty, trochę niechlujnego, ale wesołego kumpla, przeistoczył się w dygnitarza. Krawat z wpiętą miniaturką napisu „Solidarność” cisnął go w grdykę, marynarka opinała lekko utyte ciało, zapuścił wąsy a la Wałęsa - w każdym calu był en vogue. Usiedli przy błyszczącym stoliku. Sekretarka wniosła kawę i koniak rozlany do dwóch pękatych kryształowych kielichów. Rozmowa się nie kleiła. W końcu Kot przystąpił do rzeczy.

- Wypisują w twoim piśmie bzdury o moim resorcie. Zrób z tym porządek, mój kochany. Sam wiesz, gdzie drwa rąbią, wióry lecą, a twoi dziennikarze czepiają się byle gówna. Rozumiem, muszą zarobić - zażartował - ale czy koniecznie na moim garbie?

- A jednak mieli rację - odpowiedział Marek, pociągając łyk obrzydliwego koniaku o smaku rozbełtanego mydła. Spojrzał na nalepkę; tak jak przypuszczał, trunek był radziecki. Pewnie ze starych komunistycznych zapasów, pomyślał. - Sam wiesz, że nie był to najbardziej udany kontrakt stulecia. Przy jego zawieraniu popełniono mnóstwo błędów, więc je opisaliśmy. Z tego tekstu, choć nie powinienem był tego robić, wykreśliłem jedynie sumę strat, jakie kraj by poniósł, gdyby kontrakt doszedł do skutku... Uznałem, że to już nie ma znaczenia, a nie chciałem cię pograżać. Każdy czasem popełnia błędy.

- Ale ta umowa musi być zawarta. Zobowiązałem się do tego wobec zagranicznych kontrahentów. - Kotowi wystąpiły rumieńce na policzki. - Nie mogę robić z gęby cholewy, jestem przedstawicielem nowej, lepszej władzy. A po waszym wrednym artykule moi zwierzchnicy boją się klepnąć umowę.

- Dla ciebie tak jest wygodniej, bo w ten sposób wezmą odpowiedzialność na swoje barki. Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Kot zniżył głos do konspiracyjnego szeptu.

- Jak mnie utracą, na moje miejsce wejdzie ktoś z innej opcji, nie nasz człowiek. Dobrze byłoby więc, gdyby w „Starcie” ukazał się teraz artykuł, w którym przedstawi się naszych zachodnich partnerów i uzasadni, że po wprowadzeniu drobnych korekt umowa z nimi ma sens.

- Dobrze wiesz, że jest do dupy.

Kot okazywał coraz większe zniecierpliwienie.

- Ciężko się z tobą dogadać - westchnął. - Udajesz, że niczego nie kapujesz, a to jest sprawa najwyższej politycznej wagi. No, jak chcesz... Będziesz miał mnie na sumieniu, a

wraz ze mną pewnie jeszcze paru naszych kolegów. Może - w jego głosie zadźwięczała niby żartobliwa groźba - kiedyś odwdzięczymy ci się za tę przysługę...

Opuszczając gabinet, Marek nie miał wątpliwości, że pozostawia w nim śmiertelnego wroga.

\*

Najpierw zdecydował, że uniknie spotkania z Iksem, nie podejmie tak dużego ryzyka. Ale myśl o Krzysztofie nie dawała mu spokoju. Jeśli nie wykorzysta tej szansy, następna już może się nie przydarzyć. Iks się więcej nie odezwie, a on nie miałby pojęcia, jak go odszukać. Całą noc przewracał się w łóżku. Anna, która wróciła po północy, także nie spała, ale nie miał ochoty zwierzać się jej ze swoich problemów. Od paru dni panowało między nimi głucho milczenie. O nic nie pytał, czekał, aż dziewczyna je przerwie, ale i ona się nie odzywała. Postanowił, że da jej jeszcze trochę czasu. Dopiero gdy rozwiąże sprawę z Iksem, zajmie się wreszcie domowymi kłopotami. Nad ranem przytuliła się do niego, ale się odsunął. Walczył z przyływami pożądania, za wszelką cenę postanawiając im nie ulegać.

Wpatrywała się w ciemność, czując, że coś powinna powiedzieć, ale nie umiałaby Markowi wytłumaczyć swojego postępowania. Doskonale wiedziała, że podejrzewa ją o zdradę, a przecież była niewinna. Czuła się dotknięta jego zachowaniem, grymasami, niemymi pretensjami. Traktował ją, jakby była przedmiotem, własnością, którą może dowolnie rozporządzać. Na całe dni znika w redakcji i oczekuje, że będzie na niego czekała. Gdy siedziała w domu, też był niezadowolony i ciągle się dopytywał, dlaczego nie wychodzi, nie spotyka się z ludźmi. Boże, czy to możliwe, aby kobieta z mężczyzną, żyjąc pod jednym dachem, mogli się porozumieć bez zgrzytów i napięć?

W gruncie rzeczy najlepiej wspominała czas ich związku, kiedy jeszcze nie mieszkali razem i z codzienności wykradali krótkie, odświętne godziny, które mogli spędzić we dwoje. Im dłużej i bliżej byli ze sobą, tym bardziej czuła się winna, że ukrywa przed nim swoją przeszłość, swój sekret. A zarazem nie wyobrażała sobie nawet momentu, w którym mogłaby się zdecydować na wyjawienie prawdy. Czy zresztą sama do końca ją znała?

Z nagłym zażenowaniem przypomniała sobie rozmowę z Michaeliem w hotelowym holu, gdzie czekała na jego pojawienie się, jak miała w zwyczaju od kilku dni. Myślała, że on nie zwraca na nią uwagi. A nawet po wspólnej kolacji na Koszykowej nie miała co do tego wątpliwości, bo wówczas Michael nie dał po sobie poznać, że kiedykolwiek dostrzegł jej nieustanne towarzystwo. Tym razem jednak, gdy tylko przekroczył próg hotelu, podszedł do niej stanowczym krokiem.

- Przepraszam cię, ale stale tu przychodzisz, czekasz na mnie... Chcesz porozmawiać?

Pokręciła głową, ale nie ustąpił.

- Powiedz, o co chodzi.

Zielonkawe oczy Michaela wpatrywały się w nią z serdecznym zaciekawieniem. Jego twarz o wyjątkowo regularnych rysach wyglądała w półmroku jak wyrzeźbiona w kawałku hebanu. Pochylił się nad nią, poczuła delikatny sandałowo - cytrynowy zapach, biała koszula podkreślała śniadą karnację. Nie obdarzała go miłością, tak jak się jej kiedyś zdawało, ale mogłaby się z nim kochać. Był podniecający w niemal każdym ruchu. W jego sposobie poruszania się odnajdowała cichy chód myśliwego, żar tancerza flamenco i elegancję mistrza ceremonii.

A jednak nie umiałaby bezwstydnie się przed nim obnażyć ani przytulać go czy pieścić. Stanowił ikonę, którą niosła w wyobraźni. Przy jego ustach dostrzegła krótką zmarszczkę, a może była to tylko oznaka zmęczenia albo zniechęcenia. Jednak nawet ten niewielki defekt dodawał mu w jej oczach uroku, bo jakby kreską podkreślał kształt ust. Gdyby umiała rysować, jego portret nakreśliłaby z zamkniętymi oczami. Czy potrafiłaby wyznać, że obserwuje go z ukrycia tylko po to, żeby zapamiętać każdy szczegół jego wyglądu?

Potem, kiedy wraca do domu, porównuje twarz synka z zapamiętanym obrazem. Dopasowuje do siebie oba wizerunki, stale zadając to samo pytanie: Czy jest ojcem Marcina? Nie znajdowała odpowiedzi, więc natrętnie powracała, aby znów i bez końca patrzeć na Michaela.

- Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić? - zapytał w końcu.

- Tak. Wyjedź... - poprosiła nieoczekiwanie dla samej siebie. Tak bardzo była zmęczona swoją obsesją.

- Masz rację. Nie mam tu czego szukać - odparł, myśląc o Mice, która inaczej niż Anna, unikała z nim spotkań.

## Rozdział XVI

Nie miała zamiaru porzucić pracy nad artykułem, choć szef ją do tego zachęcał.

- Wiesz, Mika, przemyślałem sprawę. Nie chodź już wokół tego tematu.

- Dlaczego?

- Bo możemy zaszkodzić Krzyškowi. Najwidoczniej są granice dziennikarskiej prawdy.

- Przesunął ręką po nosie, co było wyrazem najwyższego zakłopotania.

- Ejże, Big Mac! - zaprotestowała z nietypową dla siebie dezynwolturą. - Chcesz złamać zasady, które sam ustaliłeś? Mam ci odczytać kodeks etyczny dziennikarza „Startu”? Punkt jedenasty... - Uniosła palec i wyrecytowała z pamięci: - Nigdy nie rezygnujemy z ustalenia faktów i napisania na ich podstawie rzetelnego tekstu, choćby pod groźbą szantażu, utraty pracy lub wszelkich innych wyobraźalnych oraz niewyobraźalnych dolegliwości.

Wszyscy w zespole wspólnie układali kodeks zaledwie kilka miesięcy temu, a jemu wydawało się, jakby od tego czasu upłynęły długie lata. Ten dokument, z którego był taki dumny, okazał się naiwnym świstkiem papieru. Szybko się przekonał, że szczytne zasady, które wypisali, są podważalne, żadnej nie można się trzymać ze stuprocentową pewnością. Wszystko płynęło, chwiała się, ugięło pod presją okoliczności. Jeszcze tak niedawno dałby sobie rękę uciąć za prawdziwość każdej z dwudziestu trzech zasad, a teraz mógłby podać w wątpliwość punkt po punkcie.

Mika uważała, że nie może wykonać polecenia szefa. Wdrożyła prywatne śledztwo, wciągnęła ją ta sprawa. Zebrała mnóstwo informacji na temat przemytu narkotyków do Polski i po przeprowadzeniu kilku wywiadów w tej sprawie zorganizowała widzenie z Krzysztofem. Mówił zupełnie bez sensu. Bredził o jakimś Iksie, którego nazwiska nawet nie znał. Wyliczał pretensje pod adresem długiej listy osób. O Marku, a nawet o własnym bracie wyrażał się jak najgorzej. Wszędzie węszył spisek, ale nie umiał podać tropów. Potem wrzeszczał, że się zabije, a w końcu dostał ataku hysterii, aż pojawili się więzienni strażnicy, aby z powrotem zamknąć go w celi.

Wyszła, ledwie trzymając się na nogach. Z trudem zniosła zapach zamkniętego pomieszczenia i tak dobrze znane odgłosy, choć wcale nie była pewna, czy słyszała je naprawdę. Może przywoływały je wspomnienia: głuchy trzask drzwi, ciężkie kroki strażników, brzęk pęków kluczy. Próbowwała wyjaśnić więźniowi, że świetnie rozumie jego odczucia, bo sama także siedziała. Nie chciał jej słuchać, a w końcu z bezbrzeżną rezygnacją w głosie powiedział:

- Nawet jak zamknęli cię za niewinność, nigdy nie pojmiesz tego, co czuję. Jestem nie tylko niewinny, ale przymknęli mnie za wolności, o którą od młodych lat walczyłem jak kto głupi. Wierzyłem, że będzie inaczej, lepiej i co z tego mam? Co?... Ja umieram ze wstydu, że tu siedzę. Czuję się wystrychnięty na dudka, wydymany. Zrobili ze mnie durnia.

Słyszac rozpacz w głosie Krzysztofa, obiecała sobie, że zrobi wszystko, żeby przyczynić się do jego uwolnienia. Jeszcze tego samego wieczora próbowała uzyskać pomoc od męża, ale oganiał się od niej, a w końcu krzyknął, żeby dała mu święty spokój, bo głównie go ta cała sprawa obchodzi. Dla niego obaj Machniccy mogą zgnić w pierdlu. Zadzwoiła więc do jednego z wysoko postawionych przyjaciół Pawła. Obiecał, że sprawdzi, co się da zrobić, lecz parę godzin później mąż zrobił jej karczemną awanturę.

- Załatwię nie tylko twojego zasranego Big Maca, ale całe to wasze durne pismo! - wrzeszczał.

- Masz w nim udziały - przypomniała.

- Tymi udziałami mogę sobie dupę podtrzeć! Jakbym te pieniądze włożył w produkcję papieru toaletowego, to miałbym zyski. Ale do inteligentnego tygodnika - wykrzywił się - mam tylko honor dokładać. I jeszcze psują mi opinię, grzebią, czepiają się. To się, kurna, w głowie nie mieści. Banda popaprańców. Jeszcze będą mówić, co mam robić, doradzać...

Porządnych ludzi się do pierdła nie wsadza. Ja nie siedzę - stwierdził z godnością i opuścił pokój, z całej siły trzaskając drzwiami.

Spotkała się z prokuratorem nadzorującym śledztwo, tym samym, z którym wcześniej rozmawiał Marek. Facet nie stracił nic ze swojej życzliwości, zyskał natomiast parę dodatkowych dowodów przeciwko podejrzanemu Machnickiemu. Przez skórę czuła, że prokurator chce na tej sprawie pójść do przodu, awansować przed niedaleką emeryturą. Narkotykowi macherzy rzadko się dają złapać, udowodnić im przestępstwo jest jeszcze trudniej. A jemu ktoś wyłożył ofiarę jak na tacy. Nie miał ochoty łatwo zrezygnować z takiej gratki. Nie ufał dziennikarzom, ale ta pani redaktor była taka miła, co ważniejsze, nosiła nazwisko Chrzaszcz, a mało kto nie znał jej męża, poważnego biznesmena i przyjaciela wielu zasłużonych osób.

Udostępnił akta sprawy, które utajnił zaraz po wizycie Marka Zawadzkiego. Zagłębiła się w nich na długie godziny. Czytała uważnie, do niektórych wątków powracała kilkakrotnie, robiła notatki. Wreszcie dotarła do planów z miejsca przestępstwa i zdjęć z wizji lokalnej. Obejrzała je bardzo dokładnie. Wiele razy. Zrobiło jej się niedobrze. Poprosiła o szklankę wody. Postanowiła, że musi tam pojechać, jak najprędzej, już jutro.

\*

Marek szukał Miki, chciał jeszcze pogadać na temat nieszczęsnego tematu, który jej zlecił, ostatecznie wybić dziewczynie z głowy tropienie tej sprawy, ale gdzieś przepadła. Zajął się innymi problemami, tysiącem niecierpiących zwłoki redakcyjnych duperel. Adiustował teksty, odpisywał na listy, rozmawiał przez telefon, zatwierdzał plany marketingowe, ale cały czas pytał w duchu sam siebie: Jechać? Nie jechać? Nie był przesądny, lecz oczekiwał na jakiś znak, który pomógłby mu w podjęciu decyzji. Jeszcze dwadzieścia po pierwszej był gotów zwołać za pół godziny krótkie zebranie. Dziesięć minut później wsiadał do samochodu. Kierowała nim nie tylko chęć pomocy Krzyškowi, ale na miejsce spotkania pchał go niepowstrzymany dziennikarski instynkt. Był cholernie ciekaw, co też tam się wydarzy.

Poprzedniego dnia złożył wizytę inżynierowi Asikowi. Jak zwykle zastał go w warsztacie. Tym razem inżynier był w świetnym nastroju. Natychmiast po przywitaniu się wyjął z szuflady stołu dziewiczy paszport i zademonstrował go gościowi. Z dumą pokazywał szwedzką wizę. Ze zdenerwowania zwracał się do niego to po imieniu, to na pan. Pluł, seplenił, wyrzucał z siebie słowa niepowstrzymanym potokiem.

- Jadę, panie Mareczku, do Szwecji, do syna. Nie mogę się już doczekać. Niech pan powie, jakich czasów dożyliśmy. Bierze się książeczkę i fru, bez żadnych problemów. Pokażę panu zdjęcia. Specjalnie prosiłem syna, żeby podesłał, bo cholernie się bałem, że go nie poznam. Wyjdzie na lotnisko, a ja, proszę pana, go nie poznam. Własny ojciec i nic, jak obcy człowiek. Mam sześćdziesiąt lat i jeszcze nigdy nie byłem za granicą. Uwierzysz, chłopcze? Czy ja się tam nadam? Przecież człowiek nie umie się znaleźć ani nie zna języków. Co ja potrafię? Bonjour i good - bye. Ale zawiozę synowi parę groszy. Nie pojedę jak dziad. Mam tu dla niego - otworzył szufladę - pięć tysięcy dolarów.

- Niech pan sobie zostawi te pieniądze, on tam dobrze zarabia. Panu się przydadzą.

- Mnie? Ja tu wszystko mam. I dom, i warsztat, i kawałek szynki w lodówce. A on tam w Szwecji musi Asików reprezentować, pokazać się jako Polak, że nie wypadł sroce spod ogona. Zawiozę biżuterię po babce dla synowej, jeszcze serwis porcelanowy, srebrne sztuce, książki.

- Zapłaci pan nadwagę.

- No i co z tego? - Inżynier wypchnął pierś do przodu i popukał się w nią palcem. - A co to, nie stać mnie? Całe życie przepracowałem w ludowej ojczyźnie. Ojej, ale ty pewnie do mnie ze sprawą, a ja gadam jak najęty.



Marek poprosił o przygotowanie jak najmniejszego dyktafonu, ale o dużej mocy, tak żeby można było nagrać każde słowo, nawet ze znacznej odległości.

- Zrobi się. Kabelek z włącznikiem przewlecze się przez dziurkę wyciętą w kieszeni, będzie się prezentował jak mały guziczek na pętelce. Włożysz rękę i lekko naciśniesz, będziesz miał nagranie jak z La Scali. Wieczorem aparacik będzie gotowy.

Był Asikowi wdzięczny, że o nic nie pytał. Już rano, wybierając się do pracy, miniaturowy magnetofon specjalną taśmą przywiązał wokół talii. Kabel, wedle instrukcji Asika, przylepił plasterkami do ciała, tak aby mikrofon ze specjalną osłonką przeciw hałasom zewnętrznym znalazł się w rękawie, dzięki czemu ruchami ręki mógł go nakierowywać na źródło dźwięku. Czuł się okropnie. Swędziało go skóra. Ciągłe sprawdzał, czy kabelek z włącznikiem nie wystaje mu z kieszeni. Był zdecydowany znieść męki, żeby się przyzwyczaić do urządzenia, tak na wszelki wypadek, gdyby mimo wszystko poszedł na spotkanie z Iksem. Wychodząc z redakcji, zawrócił jednak, udał się do łazienki i zdjął całe okablowanie. Od razu poczuł się lepiej. Nie mogą zachowywać się tak jak tamci, pomyślał. Musi być między nami jakaś różnica.

Sekretarka poinformowała Mikę, która właśnie weszła do redakcji, że kilkakrotnie dzwonił Michael Watson - Smith.

- Ładne nazwisko - dodała. - Romantyczne.

Mika śpieszyła się, mimo to postanowiła się do niego odezwać, lecz wątpiła, czy o tej porze zastanie go w hotelu. Po pierwszym dzwonku podniósł słuchawkę. Nalegał na spotkanie. Wymawiała się brakiem czasu. Kiedy oznajmił, że następnego dnia o świcie wyjeżdża, zgodziła się z nim zobaczyć. Już wcześniej miała pewien plan. Nie chciała zwlekać z jego realizacją. Michael nie ma pojęcia o całej sprawie, a będzie się w jego towarzystwie czuła bezpiecznie.

Czekała pod hotelem w samochodzie. Kiedy wyszedł, rozejrzał się lekko nieprzytomnym wzrokiem. Podniósł rękę do czoła. Wpatrywała się w niego, doznając dziwnego wzruszenia, jakby był długo oczekiwanym gościem, którego zobaczyła po latach. Wsiadł do auta, a wówczas uczucie obcości doznało metamorfozy, zmieniło się w bliskość. Jakby byli zażyłym, udanym mimo upływu lat małżeństwem i udawali się na kolejną wycieczkę. Postanowiła jednak, że będzie zachowywała w stosunku do niego przyjazny dystans. Każde z nich ma swoje życie i niech tak zostanie.

Uśmiechnęła się do niego. W oczach dziewczyny na krótko zatliła się iskra. Może kochał ją tylko za ten maleńki błysk radości zapalający się w źrenicach. A może za kształt głowy albo zadarty profil małej piersi odciskający się pod sportową koszulką. Opowiedział jej o poszukiwaniach pułkownika i wizycie u jego żony, ale obojętnie przyjęła jego relację.

- A więc wyjechał, niech i tak będzie. Skoro przepadł za granicą, tym lepiej dla tego kraju. - Zaśmiała się. - Ale po co do niego pojechałeś?

- Mamy wspólne wspomnienia - zażartował. Kretyński dowcip, zganił się w myślach.

Jednak Mika jakby wcale go nie usłyszała. Dawała mu w ten sposób do zrozumienia, że przeszłość jej nie obchodzi, już się nie liczy. Tak samo jak i on.

Wtedy, przed laty bali się wraz z Jimem napomknąć choćby jednym słowem o łapówce dla pułkownika. A potem, kiedy zamiast niego pozwoliła się uwięzić, nie miał okazji jej o tym powiedzieć. Zresztą i tak nie starczyłoby im odwagi. Tam, gdzie ona postawiła na szalę swoją wolność, w gruncie rzeczy szło o grę między mężczyznami, której stała się dobrowolną ofiarą. Chciałby się teraz usprawiedliwić, ale Mika postawiła tamę wszelkim powrotom do przeszłości. Karała go, pozostawiając z wiecznym poczuciem winy.

Wyjechali z Warszawy, minęli sznury małych domków, a potem skręcili w niemal niewidoczną przecinkę. Zatrzymała samochód przed gęstą zaporą z krzaków. Przedarli się przez nie i wyszli na przestronny teren zabudowany z jednej strony dużymi halami. Niemal wszystkie były zamknięte na wielkie kłódki. W jednej, otwartej, wielkości niedużego

hangaru, stała ciężarówka. Okrążyli teren kilka razy, aż w końcu próbował przepędzić ich stamtąd strażnik.

Przeprosiła Michaela i wdała się w rozmowę ze strażnikiem. Odeszli na bok. Usiadł pod drzewem, obserwując kobietę, którą kochał, ale ona była żoną innego mężczyzny. Ciemne włosy miała związane w węzeł, dzinsy podkreślały nieco zbyt szerokie biodra, jej gestykulacja i sposób poruszania się przyciągały uwagę, z całej postaci zaś emanowała maskowana żywość. Po tej kobiecie wszystkiego się można spodziewać i dlatego wydawała się aż tak pociągająca.

Skończyła rozmowę ze strażnikiem i wróciła. Nie umiała ukryć emocji.

- Czy coś się stało? - zapytał.

- Wszystko - odparła z udawanym śmiechem, ucinając jego dociekania.

Poszli na spacer łąkami, które odkryli po wyjściu z zagajnika. Szli obok siebie, czasem chwytając się za ręce, gdy któreś z nich potykało się na nierównej, podmokłej powierzchni. Łąka buzowała od ukrytego życia. Fiolet, żółć i zieleń mieszały się ze sobą jak na malarskiej paletce. Doszli do kępy drzew i skryli się w cieniu.

Nie była zbyt rozmowna. Próbował kilkakrotnie zahaczyć różne tematy, a w końcu zamilkł. Siedzieli w kompletnej ciszy, wokół niczym małe szybowce latały srebrzyste ważki. Była pochłonięta własnymi, dalekimi myślami. Instynktownie wyczuwał, że jego obecność się nie liczy. Znów, podsumował z wisielczym humorem, nic nie idzie tak, jak zaplanowałem. Spędził w Polsce siedemnaście dni. W Ameryce potrafiłby w takim czasie zarobić kilkaset tysięcy dolarów, podpisać dziesiątki umów, kupić lub sprzedać gazetę, a tutaj jakoś nic mu nie wychodzi. Ten kraj ma to do siebie.

W drodze powrotnej wpadli z Miką w rytm towarzyskiej rozmowy. Prowadził dialog niby przy pomocy suflera, który podsuwał mu właściwe słowa. Spoglądał na zegarek w poczuciu, że bezcenne minuty mijają bezpowrotnie. Czekał na chwilę, w której będzie mógł wreszcie wyznać wszystko, co ma do powiedzenia, ale żadna nie wydawała się właściwa. A co gorsza Mika przyłapała jego dyskretne spojrzenia.

- Ciągłe patrzysz na zegarek. Śpieszysz się?

- No wiesz, jutro wyjeżdżam - przypomniał jej - muszę się jeszcze spakować.

Mógłby się zabić za te słowa, ale nie umiał ich cofnąć. Zgodnie przyśpieszyli kroku. Po chwili zwolniła, aby zapamiętać na następne lata postać Michaela.

Zostanie jej to wspomnienie, którym będzie się mogła karmić w parszywych momentach. A one, co do tego nie miała cienia wątpliwości, niebawem nadejdą.

## Rozdział XVII

W redakcyjnym holu znów natknął się na Chrzęszcza. Ukłonili się sobie chłodno, a Big Mac natychmiast poszedł dalej. Czego chce ten facet, po co tu węszy? Od niedawna Chrzęszcz bywał w „Starcie” niemal codziennie. Nikt nie mógł mu tego zabronić, przecież włożył w tygodnik pieniądze. Wkupił się za marne dwieście tysięcy dolarów. Gdyby Marek miał taką sumę, pozbyłby się kłopotliwego współnika jeszcze dzisiaj. Przypomniały mu się ostrzeżenia Rostockiej, które wcześniej lekceważył, ale teraz coraz poważniej brał je pod uwagę.

- Przylazi, rozsiada się w barku albo w holu - relacjonowała oburzona - gada z dziennikarzami, podpytuje, zagaduje, a wieczorem niektórych z nich zaprasza do drogiej knajpy na wino albo frutti di marę.

Ale najbardziej bulwersującą w swojej opinii wiadomość sekretarka schowała na koniec. Najwięcej czasu z tym typem, podkreślała oburzona, spędza Machnicki.

- Andrzej? - zapytał.

- A któż by inny? Przecież ten drugi siedzi.

Rostocka wiele wiedziała o redakcyjnym życiu. Nie roznosiła plotek, bardzo oszczędnie przekazywała wszelkie wiadomości, i to tylko te, które uznawała za absolutnie niezbędne. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent z tego, co się tutaj dzieje, śmiała się, nie ma żadnych znamion prawdopodobieństwa, to bzdury wysane z palca. Tym razem włączyła czerwone światło.

Macho zachowywał się coraz bezczelniej. Już nawet nie pozorował pracy, otwarcie krytykował nie tylko Marka i innych członków kierownictwa redakcji, ale wprost atakował linię pisma. Na kolegiach wygłaszał długie tyrady, których sens sprowadzał się do tego, że „Start” pozbawiony jest charakteru, ideologicznego oblicza i nie potrafi walczyć o rzeczywiste zmiany w Polsce. Marek w dalszym ciągu uważał, że takie zachowanie jest po prostu wynikiem stresu.

- Macho dostał małego rozumu - stwierdził niedawno Staś Paprocki. - Zwolnij go. Jak otrzeźwieje, to wróci.

- Nie zwolnię nikogo za to, że nie zgadza się z naszym stylem pracy i poglądami - odpowiedział stanowczo Marek.

- On rozwala robotę, a sam nie tyka jej palcem. - Zazwyczaj łagodny Staś wyraźnie stracił cierpliwość. - Nie wyrabia wierszówki, tylko zajmuje się intrygami. Nie stać nas na niego.

Co dziwne, Mika, będąca w nieustannym, cichym konflikcie z Paprockim, choć nie całkiem wprost, jednak przyłączyła się do jego opinii. I ona, podobnie jak Rostocka, wypuściła ramię ostrzegające.

- Wczoraj po teatrze - zaczęła opowiadać ni stąd, ni zowąd - byliśmy małą grupą na kolacji w restauracji, my z mężem, dwóch jego znajomych i Macho z panią Ireną - spojrzała znacząco na Marka, który lekko odchrząknął. - Rozmawialiśmy o spektaklu, pani Irena opowiadała o przygotowaniach do sztuki, zresztą była fantastyczna jako lady Makbet. Owacja na stojąco trwała pięć minut. Trochę piliśmy, niezbyt wiele. Macho dużo paplał o redakcji, moim zdaniem za dużo, nie tylko o tekstach, które przygotowujemy, ale obiecywał znajomym męża jakieś artykuły i interwencje. W końcu wyszłam z nim na chwilę i powiedziałam, żeby się zamknął. A wtedy zaczął się śmiać i stwierdził, że dziwi się, iż nic nie wiem o zmianach w redakcji, jakie przygotowuje mój mąż, i jak tak dalej pójdzie, to jeszcze on, Macho, może zostać moim przełożonym.

Na swój sposób Marek przyjaźnił się z Miką. W stosunku do innych osób z redakcji utrzymywała dystans, z nim pozwalala sobie czasem na daleką idącą otwartość. Z różnych półsłówek i aluzji domyślał się wprawdzie, że nie jest w małżeństwie szczęśliwa, mimo to był zaskoczony jej postawą. Zemsta niekochanej kobiety czy może nielojalność zdradzanej?

Jednak nie wyczuwał w jej słowach negatywnych emocji, raczej przekonanie, że opowiada się po właściwej stronie. Kiedyś powiedział, że ma ją za osobę bardzo ideową. Zdziwiła się. Ale teraz miał pewność, że wówczas się nie pomylił. Jej wewnętrzny świat był zapewne bardzo chaotyczny, lecz znajdowało się w nim kilka wektorów, według których postępowała. Nie nazwałby tego kodeksem moralnym, to określenie wydawało się nazbyt patetyczne. Po prostu starała się być w porządku, i tyle.

Dziewczyna przyłapała badawcze spojrzenie Marka, speszyła się lekko, ale szybko się opanowała.

- Wiem, że moja sytuacja jest dwuznaczna. Nie wyobrażam sobie rozstania z redakcją, natomiast z łatwością mogę zrezygnować z funkcji. I tak właśnie chcę postąpić.

- Oszalałaś? Mam do ciebie absolutne zaufanie. - Jednak minimalnie zawahał się, wypowiadając ostatnie słowo. Przypomniało mu się auto Miki mijające go na leśnej drodze.

Jego zająknięcie sprawiło dziewczynie przykrość, ale utwierdziło ją w decyzji. Wyjęła z torebki prośbę o zwolnienie ze stanowiska.

- Jak widzicie, jestem przygotowana na wszystko - stwierdziła, starając się zdobyć na żartobliwy ton. - Nie martwcie się, redakcja tylko zyska na moim piórze. Naprawdę wolę być dziennikarką.

- A co będzie, jeśli nasz szanowny wspólnik zdecyduje się na twoje miejsce przeforsować kandydaturę Macho? - zapytał przytomnie Staś. - Od czegoś chłopak musi zacząć, zanim trafi na szczyt.

Przez długą chwilę w gabinecie naczelnego panowało milczenie. Każdy z trojga obecnych po swojemu przegryzał problem.

- Nie ma wyjścia, Mika, musisz pozostać na stanowisku. - Marek na strzępy podarł pismo, które wcześniej mu podała.

Odetchnąby z ulgą, gdyby nie to, że parę godzin temu widział ten jej cholerny samochód na leśnej drodze. Czego ona, u diabła, tam szukała?

\*

Czerwony opel czekał w tym samym co poprzednio miejscu. Jednak tym razem poprowadził go inną drogą niż przy pierwszym spotkaniu. Jadąc, kluczyli bardzo długo. Wreszcie opel zjechał w leśne bezdroże, więc i Marek, który za nim jechał, znacznie zwolnił. Z przeciwka minął go samochód. Nie wierzył własnym oczom. Przysięgłby, że był to charakterystyczny srebrny peugeot należący do Miki.

Iks zatrzymał się dokładnie w miejscu, gdzie wcześniej parkowała Mika. Niemal stanął na śladach opon jej peugeota. Wysiedli. Dał znak i przystanęli przy gęstwinie krzaków. Czerstwe dawniej policzki Iksa w pełnym słońcu były trupio blade.

- Cieszę się, że pan żyje - powiedział Marek i uściśnił dłoń, która była lepka od potu. Czoło Iksa też miało wilgotne, wyraźnie widać było, że facet zmaga się ze słabością.

Marek poczuł lekkie wyrzuty sumienia na myśl, że podejrzewał Iksa o chęć wciągnięcia go w zasadzkę. Cierpię ostatnio na manię prześladowczą, skarcił się w duchu, będąc następnym przypadkiem opisanym w naukowym dorobku doktora Jaskiera.

- Niewiele brakowało, o tyle - pokazał Iks na palcach - a byśmy się spotkali, panie redaktorze, dopiero w drugim życiu. Ale mniejsza z tym. Jesteśmy niemal na miejscu przestępstwa. Nasze zamaskowane samochody stały tam. - Wskazał chaszczę. - Przerzut odbywał się w halach, proszę spojrzeć, po prawej, za tymi brązowymi krzakami. Wówczas były oświetlone jak w dzień... Poprosiłem o spotkanie, bo chcę pana ostrzec. Niech pan będzie ostrożny, a najlepiej proszę się w ogóle nie wdawać w całą tę sprawę. To jest cholernie niebezpieczna gra, stoją za nią grube miliony dolarów, tu nikt się nie zawaha przed załatwieniem kolejnego pionka. Proszę porzucić dziennikarskie śledztwo, jeśli pan lub ktokolwiek inny je prowadzi. Mnie już i tak całkowitego zdrowia nic nie przywróci, a inni mogą je tylko stracić. - Machnął ręką zrezygnowany.

- A co z Krzysztofem Machnickim? Rzucić go na pożarcie klawiszom? Pogodzić się z tym, że kawał życia spędzi za kratami, skazany za udział w aferze, w której nie brał udziału?

- Dostanie wyrok, posiedzi i pewnie wyjdzie za dobre sprawowanie. Został kozłem ofiarnym, a to zawsze jest mało komfortowa sytuacja. Wiem z autopsji. - Iks zakaszał. - Przejście Andrzeja na drugą stronę z pewnością ułatwi jego sytuację, a to tylko kwestia czasu. Kupią go, już tego próbują, za obietnicę uwolnienia brata, za pieniądze, a może za jedno i drugie. Chrzęszcz już fruwa wokół swojej ofiary. Wygląda na to, że Macho, jak wy o nim mówicie, złapie się na jego przynętę.

- Straszne rzeczy pan mówi... Czy pan wie, co się wtedy stało? Kto do pana strzelał?

- Mogę się domyślać mocodawców, ale nie podam ich nazwisk. Tak będzie bezpieczniej dla pana i dla mnie.

- A jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Chrzęszcz? Domyśla się pan?

- Ba, tego nikt nie wie poza nim samym. On nie wygląda na ojca chrzestnego, ale proszę mi wierzyć, mamy do czynienia z kutym na cztery nogi, bezwzględny cwaniakiem. W ciągu ostatnich kilku lat wiele razy wpadałem na jego trop i zawsze się wywinął. Umie się wywinąć, wie, za jakie pociągać sznurki. Nie zależy mu na niczym oprócz pieniędzy.

- Czyli wiemy, że nic nie wiemy - stwierdził Marek.

Miał ochotę ukryć się w krzakach i do dna się wyrzygać. Po raz pierwszy zwątpił w sens istnienia „Startu”. Gdyby tygodnik miał się stać narzędziem w rękach Chrzęszcza, niech lepiej szejnie. Zdumiał się, że przyszło mu do głowy słowo rodem z rewolucyjnej retoryki, ale może właśnie ona była najbardziej odpowiednia na te czasy? To nie koniec tej wojny, przyszło mu do głowy i odzyskał rezon. Chrzęszcz posługuje się wielkimi liczbami, ale to on, matematyk, jest od nich specjalistą. Nie da się.

- W swoim prywatnym śledztwie ustaliłem - mówił Iks - że policja zapewne nie była wplątana w całą sprawę. Dostali cynk o przerzucie czterdzieści osiem minut przed przyjazdem. Dobę wcześniej do mnie dotarł przeciek na ten temat. Oba cynki były celowe i miały załatwić rozbicie misternie utkanej przez mój departament siatki, do której przestępcy mogli powpadać jak muchy. Zdawali sobie z tego sprawę, więc zaatakowali. I udało im się. Nie przewidziałem takiego posunięcia. Popelnilem błąd. Rozmawia pan z emerytem, a cały departament został rozwiązany. Najlepsi fachowcy w kraju od zwalczania narkotyków poszli na zieloną trawkę. Tamci nie muszą się już niczego bać.

Dwa celowe przecieki, powtórzył w myślach Marek. Czy to nie za wiele jak na jedną akcję? Znow obudziły się w nim podejrzenia.

- Dlaczego nie wkroczył pan ze swoją ekipą, zanim przyjechała policja? Po coście tam stali i gapili się, jak przeladowują towar? Moim dziennikarzom - dodał złośliwie - wystarczyłaby chwila. Nie musiał pan dla zaspokojenia ich ciekawości narażać siebie i swoich ludzi.

- Ma pan prawo, panie redaktorze, mieć wątpliwości. Jednak proszę wziąć pod uwagę, że założeniem akcji było rozpoczęcie działań w momencie, gdy po towar zgłoszą się Holendrzy. Czekaliśmy na nich... Ktoś musiał sypnąć, ostrzec przestępców. Nie chcę się domyślać, kto to był. Nawet moi agenci zostali wtajemniczeni wyłącznie w swoje zadania. Szczegółowy plan akcji, poza mną, znały tylko dwie osoby z najwyższego szczebla.

- Tres faciunt Collegium. - Marek ironicznie przypomniał słowa Iksa, który tylko bezradnie pokiwał głową. - Nie muszę znać pańskiego nazwiska, ale proszę mi podać pozostałe dwa.

- Nic pan przez to nie zyska, a wiele może stracić. Proszę mi wierzyć. Nie mam zamiaru narażać pańskiego życia. Przyda się pan jeszcze temu krajowi. - Iks był nieugięty.

- Dalej nie rozumiem, dlaczego do pana strzelali - odezwał się Marek po chwili ciszy.

- Może puściły im nerwy, a może chcieli trafić Andrzeja Machnickiego, który stał przy mnie. Spodziewali się tylko mojej ekipy. Nie sądzili, że pojawię się z dwoma obcymi, może

nawet wiedzieli, że to dziennikarze, przecież Machniccy są znani. Albo chcieli jednak załatwić mnie, bo sporo już wiedziałem, a wystawić braci policji. Nie mam pojęcia, panie redaktorze. Przecież musieli się przygotować, musieli mieć odpowiednią broń wyposażoną w noktowizor, bo inaczej w ciemnościach, gdzie staliśmy, nie trafiliby nawet słonia. W takich warunkach trzeba snajpera, aby mieć osiemdziesiąt procent szansy, że nie chybi. Zastanawiam się nad tym nieustannie. Tak czy inaczej z wielkiej, precyzyjnie przygotowywanej przez mój wydział operacji wyszło wielkie gówno. No i zostałem zdymisjonowany.

- A jednak nie ujdzie im to całkiem bezkarnie, tego jestem pewien. Ich czas powoli się kończy. Wcześniej czy później wpadną. Demokracja wypływa takie męty.

- Oby pan miał rację, ale ja już tego nie dożyję.

- Jeszcze pan wróci do roboty, i to w tym samym departamencie. - Marek chciał dodać mu otuchy.

- Oj, panie Marku. - Iks po raz pierwszy się uśmiechnął lekko fioletowymi wargami. - Przepraszam, że tak po imieniu się zwracam. Ma pan rację, trzeba być optymistą, a skoro tak, to ja też powiem, że wierzę w pańską przepowiednię. Może tak być? Jeszcze tylko się przedstawię, żeby pan wiedział, z kim ma do czynienia. Nazywam się Tadeusz Mruz, przez u zwykłe. Będę trzymał za pana kciuki.

Pożegnali się serdecznie. Marek miał poczucie, że pozostawił Iksa w lepszym nastroju, ale sam czuł, że na duszę spadła mu gradowa chmura. Myślał o Macho, kumplu, zwariowanym, lecz bliskim. Tyle razem przeszli, a teraz kolega chce go wystawić do wiatru. Na nikim nie można polegać, pracownicy zawodzą przełożonych, żony mężów, koledzy kolegów, kochanki swoich mężczyzn. Cały świat kręci się na kłamstwie jak ziemia wokół własnej osi.

Po spotkaniu z Iksem wrócił do swojej kawalerki. Czekał go samotny wieczór z ciężkimi myślami. Przy Annie mógłby od nich uciec...

Parę dni temu wyprowadził się z Koszykowej. Odchodząc od Anny, postąpił wbrew sobie, ale odnosił wrażenie, że z niego zakpiła. Zadzwoił z redakcji do domu. Był już dość późno, prawie jedenasta. Anna odebrała telefon, co ostatnio się nie zdarzało. Zdziwił się.

- Jak to, nie wyszłaś?

A ona, zamiast odpowiedzieć byle co, poinformowała go całkiem po prostu:

- Michael wyjechał dziś o świcie do Ameryki.

Zaskoczyła go tak bardzo, że odłożył słuchawkę. Skoro tamten wyjechał, Anna ma teraz czas, żeby czekać wieczorami na niego, nie musi wychodzić. Wiele znosił, ale to jawne lekceważenie dotknęło go do żywego. Nie jest z nim szczerą, nigdy nie była. Teraz miał dość. To nie związek, wściekał się, to jakiś podejrzany układ.

Noc spędził w swojej kawalerce, ale następnego dnia przyszedł na śniadanie. Okazał dobrą wolę. Anna powitała go ani mniej, ani bardziej serdecznie niż zazwyczaj. Nie tłumaczyła się, nie okazywała żadnej skruchy. Podała mu grzanki, a do nich jak zwykle morelową konfiturę. Zapytała, czy ma ochotę na kawę, czy woli herbatę. A on po prostu wstał i wyszedł. Wydawało mu się, że słyszał za sobą wołanie dziewczyny, ale śmiertelnie urażony, nie zawrócił.

\*

Opowiedziała to zdarzenie Jaskierowi i czekała na jego werdykt. Doktor chwycił się za nos, jakby miał zamiar go sobie wyrwać, i zapytał przez zaciśnięte palcami nozdrza:

- Dlaczego nie wyjaśniłaś mu wszystkiego, skoro jak twierdzisz, twoje spotkania z Amerykaninem były całkiem niewinne? To się Markowi chyba należało.

- Jak mam z nim rozmawiać, skoro mi nie wierzy?

- A powinien? - zapytał Jaskier nadal przez nos.

## Rozdział XVIII

Jim miał naprawdę dobre chęci. Chciał zainwestować pieniądze z pożytkiem dla siebie, ale i dla Polaków. Czuł się do tego nawet zobowiązany z powodu swojego polskiego rodowodu, a także pragnął okupić swoje prywatne, niezbyt wielkie, ale jednak przewiny wobec tego kraju w czasach stanu wojennego. Problem tkwił w tym, że w żaden sposób nie potrafił się dogadać z Polakami w interesach. Jedni chcieli dostać pieniądze bez żadnych warunków ich zwrotu, inni obiecywali złote góry bez pokrycia w rzeczywistości. Zdezorientowany spytał Camerona, jak on daje sobie radę w tej dżungli, gdzie nie obowiązują żadne prawa, ale Grubas beztrudno wzruszył ramionami.

- To kwestia intuicji. Jeśli człowiek kieruje się tu intuicją bardziej niż ekonomicznymi regułami, da sobie radę - odpowiedział.

Po namyśle, a może też trochę na złość Michaelowi, Jim postanowił zainwestować w „Start”. Otrzymał odpowiednie dokumenty. Przejrzał je z uwagą. Wynikało z nich, że tygodnik ma przed sobą przyszłość, krzywe sprzedaży były więcej niż obiecujące. Spotkał się kolejno z dwoma najważniejszymi udziałowcami: Markiem Zawadzkiem i Pawłem Chrzęszczem. Gdyby doszedł z nimi do porozumienia, czekała go jeszcze rozmowa z kierownictwem fundacji, która rozpostarła opiekuńcze skrzydła nad tygodnikiem. Sytuacja własnościowa „Startu” nie była zbyt klarowna, lecz tym postanowił się na razie nie przejmować.

Nie czuł się zanadto biegły w negocjacjach finansowych, ale to, co go w ich trakcie spotkało, przepełniało zdumieniem. Chrzęszcz przekonywał, że nie warto inwestować pieniędzy w tygodnik, bo i tak niedługo się go zamknie ze względu na idiotyczne treści, które lansuje.

- Lepiej zainwestuj kasę w moje hurtownie. A najważniejsze - dodał konfidencjonalnym szeptem - żebyś ani dolara nie dał do ręki Zawadzkiemu. Między nami mówiąc, to naiwny głupek. Idealista, z nim nic nie znajdziesz, najwyżej zgubisz.

Spotkanie z Markiem miało podobny przebieg, tyle że Zawadzki (a żywił do niego specjalną sympatię, był przecież bratem Elizabeth) działał z większą finezją. Nie wypowiadał się prosto z mostu, ale dawał do zrozumienia, że jedynym właściwym posunięciem jest wyślizganie ze wspólnego biznesu Pawła Chrzęszcza. Inaczej wszystko przepadnie, a w ogóle wchodzenie z nim w jakikolwiek układ jest całkowicie pozbawione sensu. Marek dowodził, że celem Chrzęszcza jest doprowadzenie do klęski „Startu”. Jim nie mógł tego pojąć.

- Przecież to jest wasz wspólny biznes. Dlaczego więc dąży do zagłady pisma? Straciłby tylko pieniądze.

- W tej sprawie w ogóle nie chodzi o pieniądze - odparł Marek ze śmiertelną powagą.

- Nie? - Jim kompletnie stracił rozeznanie.

- To znaczy o pieniądze też - zreflektował się Marek - ale Chrzęszcz jest niebezpiecznym cwaniakiem. Demokracja to dla niego tylko łatwiejszy sposób na zarabianie pieniędzy, nic więcej.

Kiedy Jim zdawał Michaelowi telefoniczną relację ze swoich biznesowych negocjacji z Polakami, przyjaciel ryczał ze śmiechu.

- Spodziewałem się, że tak to tam wygląda. To jest, stary, jak boksowanie się bez żadnych zasad, czyli wolna amerykanka. Reguł biznesu, tak samo jak demokracji, trzeba się nauczyć. Przed nimi jeszcze długa lekcja.

- Przestań się wymądrzać i powiedz lepiej, co mam zrobić.

- Jak wrócisz do Ameryki, zainwestuj w koncern Watsonów - Smithów.

- Nigdy w życiu! - Jim aż sapnął z oburzenia. - Wolałbym raczej zebrać na La Brea.

- Dlaczego nie? Proponuję ci dobry biznes, ale zapomniałem, że masz polskie korzenie, więc nie przepadasz za stuprocentowo pewnymi inwestycjami. - Michael zachichotał.

- A jednak - odparował mściwie Jim - przynajmniej jeden Polak cię okpił.

- Kto?
- Jak to kto? Pułkownik.
- Kiedyś wydrę mu z gardła moje pieniądze. Znajdę go, choćby wylegiwał się na Kamczatce. Jeszcze nigdy żaden Watson - Smith dobrowolnie nie pogodził się z finansową stratą. Widziałeś Mikę?
- Mikę? Przelotnie w „Starcie” na korytarzu.
- Pytała o mnie?
- Jasne. Chciała wiedzieć, kiedy w końcu kupisz Pałac Kultury.
- No to cześć. Baw się dobrze.
- Niedługo wracam - zapowiedział Jim, ale po drugiej stronie słyszał już tylko sygnał.

Co on znowu z tą Miką? - zastanowił się z pewną niechęcią. Ale szybko przypomniał sobie, że postanowił lubić tę dziewczynę bez żadnych zastrzeżeń. Nie zapomina się takiej rzeczy, jaką dla nich zrobiła. W tej całej historii było więcej romantyzmu niż zdrowego rozsądku, ale takie właśnie bywają typowe zachowania Polaków. Nie miałby jednak odwagi podzielić się swoimi rozważaniami z kumplem, bo Michael, zawsze sceptyczny, w ocenie tej jednej sprawy tracił miarę. Postawił Mikę na piedestale i czcił ją, na szczęście głównie z daleka.

U ciotki Leskiej, gdzie Jim poszedł z pożegnalną wizytą przed powrotem do Stanów, panowała ponura atmosfera. Anna wyglądała na ciężko chorą, zamieniła z nim kilka zdań i uciekła do swego pokoju. Ciotka popłakiwała. Nawet Marcin, którego zaprosił już wcześniej na wakacje do Kalifornii, nie dał się wciągnąć w żadną rozmowę. Milcząc, z wydłużoną miną przeglądał kolorowe książeczki. Jim odniósł wrażenie déjà vu - niemal tę samą scenę, tyle że po części z innymi aktorami, przeżył osiem lat temu w tym samym mieszkaniu, gdy u jego kuzyna, Michała, odkryto raka mózgu. Kiedy dowiedział się od ciotki, że chodzi tylko o wyprowadzkę Marka, odetchnął z ulgą. A więc nikt z nich nie jest dotknięty śmiertelną chorobą.

Minęło osiem lat i wszystko się zmieniło, w tej rodzinie, w tym kraju, a także osobiście u niego. W końcu, pomyślał z absolutnie wyjątkowym dla siebie brakiem ostrożności, mimo wszelkich złych wydarzeń, które spotkali na niełatwej dla wszystkich drodze, zmieniło się na lepsze. Odpukał, tak jak zawsze polskim obyczajem robiła matka, aby przepędzić złe duchy. Tylko kuzynka nie umiała odnaleźć się w tym nowym, również i dla niej, obiektywnie biorąc, lepszym życiu. Z pełnej wigoru dziewczyny stała się kłębkim nerwów. Próbował odnowić z nią bliski kontakt, jaki mieli za dawnych lat, ale zachowywała się, jakby był amerykańskim szpiegiem odwiedzającym kraj za czasów żelaznej kurtyny.

\*

Matka odprowadziła Marcina do szkoły, potem miała zrobić zakupy. Anna odczuwała ulgę na myśl o samotnym poranku. Wreszcie spokojnie zastanowił się nad konfliktem z Markiem. Włożyła dzinsy i niebieską koszulę. Starannie uczesała włosy i pociągnęła rzęsy tuszem, a powieki kredką. Chciała dobrze wyglądać, ale całkiem zwyczajnie, po domowemu, nie tak, by sądził, że specjalnie na niego czekała. Była pewna, że Marek nie wytrzyma rozstania, na pewno wpadnie pod byle pretekstem. Zabrała się do tłumaczenia tekstu, z oddaniem którego już była spóźniona, ale nie mogła się skupić. Nie miała ochoty zagłębiać się w robocie, którą on z pewnością niebawem przerwie. Kiedy usłyszała dzwonek do drzwi, nie miała wątpliwości, że to on. Poczowała przyspieszone bicie serca i lekki niepokój. W przedpokoju zerknęła do lustra. Może być, oceniła swoje odbicie.

Przed drzwiami zobaczyła tęgą kobietę, której twarz wydała się dziwnie znajoma. Pewnie jakaś kuma matki, pomyślała. Zagapiła się jednak na gościa, bo kojarzył się z dawnymi przeżyciami.



- Nie poznaje mnie pani - stwierdziła nieznajoma. - Nic dziwnego. Opiekowałam się panią w ciężkich chwilach, może nawet uratowałam pani życie. Była pani wtedy ranna i nie bardzo przytomna. Jestem żoną pułkownika Kuczka.

W tym momencie Anna zamknęła drzwi. Kobieta znikła jak senna mara. Ale drzwi znów się otworzyły.

- Pani nie chce mnie widzieć, a ja muszę z panią porozmawiać.

- Czy pani mąż też pragnie mnie odwiedzić? - Anna siliła się na złośliwość. Czowała, że słabną jej nogi i jeśli zaraz nie usiądzie, zemdleje. Jej koszmar się ziścił. Zaraz tu wejdzie, chudy, postarzały, wstrętny.

- Mój mąż, proszę pani, od prawie pięciu lat nie żyje i właśnie w tej sprawie tu przyszedłem.

Osunęła się po framudze. Gdy się ocknęła, zobaczyła nad sobą zmartwioną twarz żony pułkownika, która próbowała ją podnieść z podłogi. Odepchnęła gościa i pozbierała się sama.

Kuczkowa nalała wodę do szklanki i postawiła ją przed Anną. Sama usiadła i ciekawie rozglądała się po wnętrzu. Czekala, aż dziewczyna zupełnie oprzytomnieje.

Wtedy zaczęła opowiadać.

- Mojego męża ktoś zamordował, ale ten fakt został otoczony najściślejszą tajemnicą. Nawet przyzwoicie nie dali go pochować - westchnęła.

Anna nie chciała słuchać.

- Nic mnie to nie obchodzi - powtarzała, ale Kuczkowa wcale nie zwracała uwagi na protesty. Pragnęła wreszcie zwierzyć się z przeżyć, z którymi przez wiele miesięcy musiała się zmagać zupełnie sama.

- Parę dni po śmierci Janka - kontynuowała - jeden ze śledczych, co rezydowali w naszym domu, powiedział: „Jak pani chce, niech się pani ubierze na czarno, jedziemy na pogrzeb”. Wywieźli mnie pod Warszawę, na jakiś mały wiejski cmentarzyk, nawet nie wiem, jak tam trafić, żeby chociaż zapalić mu świeczkę na grobie... Już czekali z trumną, dół był wykopany, tych w cywilu było dwóch, dwóch grabarzy, no i ja, razem pięć osób, tyle co palców u jednej ręki. Nie mieliśmy z mężem dzieci, ale nigdy nie sądziłam, że zupełnie sama, bez nikogo z rodziny i znajomych, będę stała przy jego grobie. Jak włożyli trumnę do dołu, to jeden z tamtych zaproponował: „Może się chce pani pomodlić?”. Nie wiedziałam, co zrobić, nie pamiętałam tekstu żadnej modlitwy, a nie chciałam zostawić go tak w milczeniu. Przypomniało mi się, że mąż, chociaż był niewierzący, bardzo lubił kolędę „Cicha noc”. Pomyślałam, że to pasuje. Głos miałam zawsze ładny, chociaż od dawna trochę przepity. Zaśpiewałam, tak jak śpiewałam mu w pierwsze wspólne święta, gdy jeszcze wierzyliśmy, że nasze życie pięknie się ułoży. Czulałam się jak jakaś gwiazda, bo tamci też słuchali i spoglądali na mnie nie z odrazą, jak na starą grubą kobietę, ale z zainteresowaniem. Nikt od dawna tak na mnie nie patrzył. Gdy tylko skończyłam śpiewać, szast - prast zakopali go i było po wszystkim. Już odchodziliśmy, kiedy usłyszałam, jak grabarz mówił: „Jeszcze, kurna, na takim pogrzebie nie byłam”. Nie można oceniać czyjegoś życia, dopóki się człowieka nie pochowa, bo powiem pani, Aniu, że te ostatnie chwile mogą okazać się decydujące dla obrazu, jaki po sobie pozostawi... Ja o moim mężu przez ostatnie lata myślałam, że to twardy, silny, bezwzględny mężczyzna, ale ten pochówek zmienił wszystko. Żał mi go, bo to był biedny, zagubiony facet, jak się teraz mówi, ofiara systemu. Na ostatnie zdanie Anna zareagowała gniewnym parsknięciem.

- A co pani myśli - obruszyła się żona pułkownika. - Tamten ustrój nie tylko opozycjonistów przemieniał w aniołów, ale i porządnych ludzi w diabłów. Wciągnęli go w to wszystko, a on się dał, chociaż był bardzo inteligentny, znał języki, dużo czytał. I wie pani, on na swój sposób kochał mnie przez całe życie. Miał inne kobiety, owszem, ale zawsze do mnie wracał, swojej zapijaczonej, grubej starej. Może dlatego, że pamiętałam go z czasów, kiedy

był subtelnym, trochę niezaradnym intelektualistą. Zmienił się, ale czy przez życie każdy się nie zmienia?

Przez kilkanaście dni śledcze ekipy nie opuszczały domu. Taśmami z napisem „Uwaga, niewybuch. Grozi śmiercią lub kalectwem” odgradzili wielki kawał lasu, psy tropiły ślady. Nie znaleźli jednak sprawcy zbrodni. Bez przerwy kręcili się po domu, ale nie uznawali za stosowne poinformować żony jak i co. Z podsłuchiwanych rozmów dotarło do niej, że śmierć pułkownika traktują jako odwet za zabójstwo księdza, a może za inne sprawki, w które mąż był wmieszany. Zabronili wspomnieć choćby jednym słowem o jego śmierci, komukolwiek, nawet jak się zaleje.

- Puści pani parę z ust, zabierzemy dom, a panią wsadzimy do szpitala, żeby się pani wyleczyła z alkoholowych urojeń. Kapewu? - powtarzali, żeby dobrze to sobie zapamiętała.

- Sąsiedzi się domyślą, przecież zauważą, że go nie ma.

Mąż wyjechał za granicę w specjalnej misji, tak kazali wszystkim odpowiadać w razie jakichkolwiek pytań. Gównu ich to obchodzi, mówili. Mieli rację, bo mało kto się o niego dowiadywał, nie miał zbyt wielu życzliwych osób wokół siebie. Tylko jak potrzebowali coś załatwić, wtedy go znajdowali, błagali o wstawiennictwo do wyższych władz, wydzwaniali. A on pomagał, może i za pieniądze, jak twierdzili niektórzy, ale pewnie musiał się z kolegami podzielić. Takie to były czasy, może teraz nadejdą lepsze, ale bardzo w to wątpi, prosi jednak, żeby nikomu o tych jej wątpliwościach nie wspominać. Od razu po czerwcowych wyborach myślała, żeby zgłosić się do Anny, jednak czekała jeszcze, bo nie wierzyła, że zmiana jest trwała. Przedtem co dwa miesiące zgłaszał się do niej jakiś cywil, wypytywał, co się działo, z kim się widziała, o czym rozmawiali. Od roku nie pojawił się ani razu. Niedawno tylko odwiedził ją jakiś Amerykanin, dopytywał się o pułkownika.

Gość był zza żelaznej kurtyny, ale po tej wizycie cywil też się nie pokazał. Wówczas doszła do wniosku, że nadeszła pora, aby załatwić stare sprawy. W nowym systemie pragnie mieć święty spokój, nie chce, żeby ktokolwiek się jej czepiał albo miał pretensje. Zdecydowała, że trzeba wypełnić ostatnią wolę męża. Przyniosła więc jego testament. Znalazła go w tajnej skrytce, w której przechowywał złoto i kilkanaście tysięcy dolarów na czarną godzinę. Znała to miejsce od 1980 roku, kiedy wybuchł strajk w stoczni.

Mąż zaprowadził ją wówczas na strych. W jednej z grubych stropowych belek była spora skrytka, zamaskowana idealnie.

- Zapamiętaj - powiedział - trzecia belka w prawo od okna. Widzisz, w tym miejscu jest maleńka kropka, trzeba tu cztery razy starannie nacisnąć, dopiero wtedy mechanizm otworzy skrytkę. Jakby coś się ze mną działo, będziesz miała za co mnie wykupić.

Przez całe lata nie myślała o tym schowku, prawie o nim zapomniała. Dopiero wtedy przyszedł jej na myśl. Chciała wyjąć dolary, zanim tamci, którzy setki razy przeglądali każdy kąt domu w poszukiwaniu ewentualnych dowodów zbrodni, odnajdą schowek.

Wykorzystała moment, kiedy na krótko opuścili dom, i z drżącym sercem, boso, aby schody mniej trzeszczały, wdrapała się na górę. Schowek otworzył się od razu. Mechanizm zaskrzypiał, drewniana pokrywa odskoczyła. Precjoza i dolary leżały jak przedtem, dopiero teraz zauważyła, że całe wnętrze schowka było wyłożone metalem. Janek myślał o wszystkim, nie chciał, żeby do banknotów dobrały się myszy. W skrytce były też dwa dokumenty: testament, w którym przepisywał na nią dom, i ten drugi, który właśnie przyniosła. Nie ma zamiaru wnikać, skąd miał taką dużą sumę pieniędzy i dlaczego przepisał je Annie.

- To już sprawa nieboszczyka mojego męża - mówiła. - On miał dużo na sumieniu, może za dużo jak na jednego człowieka, ale ja nie chcę go sądzić. Spędziłam z nim trzydzieści lat i powiem pani, że miał swoje dobre chwile. Potem wlaźło w niego jakieś lichy... Nie wiem, co tam było między wami. Nigdy mi nie powiedział, ale coś go widać gryzło. Ja tych pieniędzy nie potrzebuję. Odziedziczyłam dom i dostaję jego emeryturę.



## Rozdział XIX

Miotał się po całym domu, przechodził z pokoju do pokoju, przysiadł i zaraz wstawał, otwierał okna i wdychał wiosenne powietrze, którego słodycz uznawał w tych okolicznościach za nieprzyzwoitą, więc znów starannie je zamykał. Wracił do pokoju matki w nadziei, że jej się polepszyło, ale widział ją nadal nieprzytomną, z podłączoną do wychudłej ręki kroplówką. Z trudem chwyciła powietrze, oddychała chrapliwie, czasami z jej ust wydobywał się nie jęk, ale rozdzierający pisk. Na ten dźwięk Marek drętwiał ze strachu. Nigdy w życiu niczego nie lękał się tak bardzo jak cierpienia matki, wobec którego był absolutnie bezradny. Życzył jej, żeby odeszła jak najprędzej, a potem przerażony swoim okrutnym racjonalizmem cofał te słowa, w myślach za nie przeproszał. Miał wrażenie, że słyszy, jak ona mówi: Daj spokój, synku, sama mam już tego dość.

Poszedł do kuchni. Od kilkunastu godzin nie miał nic w ustach, ale wypił tylko szklankę wody. Jedzenie w obliczu śmierci obrażałoby jej majestat. Nie byłby w stanie przełknąć nawet kęsa, czując dziwny zapach, który rozprzestrzenił się po całym domu, od chwili gdy tylko przekroczyła próg kostucha, bezwstydnie ciągnąca za sobą smugę stęchlizny, jakby to były najdoskonalsze perfumy świata.

I dalej odbywał wędrowkę po schodach, kręcił się po tarasie, zajrzał na strych i do pralni. Znów wracał do pokoju, gdzie leżała matka, ale zastawał niezmienny obraz: ona umęczona umieraniem, obok niej długi żuraw z kroplówką i biała jak śnieg pielęgniarka, której twarzy w ogóle nie widział, snująca się wokół łóżka niby gość z zaświatów. Chciał uciec, ale przecież nie mógł zostawić matki samej podczas tego przerażającego zadania, które miała do wykonania, choć zdawał sobie sprawę, że jej samotność jest absolutna. Tkwił więc na miejscu, chory z własnej niemocy i bezradności, rozgorączkowany, a zarazem trzęsący się z zimna. Nie wspominał, nie myślał, ale całym sobą starał się jej pomóc, niemal fizycznie dzielił z matką trud odchodzenia. To wszystko polegało na odwróceniu ról i czasu, miało swoją morderczą logikę, której nie udawało się podważyć. Nagle doznał dziwnej ulgi, dostępił wyciszenia, ogarnął go cichy spokój. To już koniec, przeszło mu przez głowę i w tym momencie weszła pielęgniarka, która wypowiedziała wyuczoną formułkę:

- Pańska matka umarła. Współczuję panu. Zadzwońiłam już po lekarza, który stwierdzi zgon. Potem przyjedzie transport po zwłoki.

Zrozumiał, że ona wciąż stoi w drzwiach, bo czeka na pieniądze. Zdziwił się, że w tej chwili może myśleć o tak przyziemnej sprawie. Zapłacił i błyskawicznie się wyniosła. Został zupełnie sam w pustym domu, z ciałem zmarłej. Matka znalazła się już w innym czasie i wymiarze. Stracił punkt odniesienia, według którego mierzył się ze światem. Teraz musi polegać już tylko na sobie. Nigdy nie ujrzał tak jasno jej desperackiej miłości, jak w chwili kiedy ta stara, schorowana kobieta w jednej sekundzie pozbyła się wszystkich swoich oszczędności, aby mógł założyć „Start”. A nie była rozrzutna czy beztroska w sprawach materialnych, tylko z pewnością wiedziała jedno: nie ma dla miłości zbyt wysokiej ceny. I nie chodziło wyłącznie o uczucia do syna, ale także do kraju, z którym miała swoje porachunki i rozliczenia, lecz mimo wszystko była gotowa dla jego przyszłości rzucić na szalę cały majątek.

Znał wiele matek kolegów. Były wśród nich nudziary, despotki, mieszczyki, kobiety nadopiekuńcze, matrony i histeryczki, ale ona była zupełnie inna. Niepokorna, energiczna, zabawna. Nosła buty na wysokich obcasach na chudych nogach, zawsze miała pod ręką szminkę, parę złotych na drobne wydatki. Sarkastyczna, wewnątrz niezależna. „Jeszcze będziesz się z tego śmiał, synku”, powtarzała, kiedy skarżył się na dziecięce, a później dorosłe kłeski, ukazując mu w ten sposób relatywizm tego świata. Miała rację. Ile razy się zatracił, walczył do upadłego, zajadle, z zacisniętymi zębami, wówczas przegrywał. Gdy zostawiał sobie margines na przegraną, świętował przynajmniej małe zwycięstwo, polegające na tym, że nie dał się porwać nadmiernej ambicji, pysze, prymusostwu.

Obcy ludzie zabrali jego matkę, wynieśli w asyście dyskretnych spojrzeń zza płotów i współczujących szeptów sąsiadów. Ostatni raz, zanim jeszcze wyszli, spojrzął na jej twarz i odwrócił wzrok. Nie chciał zapamiętać tego dziwnego grymasu, który wykrzywił jej usta w skamieniałym uśmiechu. Ale jednocześnie odetchnął z ulgą, bo odniósł nieprzeparte wrażenie, że ta kobieta, którą zamknęli w worku na suwak, nie jest jego matką. Włożyli do niego dziwną mumię, więc o jej duszę mógł być spokojny. Nie wątpił, że nigdy nie pozwoliłaby się wtłoczyć do folii jak na odpadki, po prostu uleciała jak ptak wypuszczony na wolność. Nie umiał tego wszystkiego poukładać w głowie, wszystko mu się plątało, życie na przemian ze śmiercią, nie czuł rozpacz, tylko straszliwe zmęczenie. Został sam w opustoszałym i cichym domu, położył się na łóżku i potoczył się w niebyt na całe czternaście godzin. Spał bez żadnych snów, zupełnie tak jak gdyby sam umarł.

\*

Życie w Polsce, o czym Jim przekonał się na własnej skórze, było pełne niespodzianek. I teraz, podobnie jak przed ośmioma laty, nie wyjechał z Warszawy, tak jak wcześniej zaplanował. Na kilka godzin przed odlotem, tym razem dobrowolnie, zmienił termin wyjazdu. Został na prośbę Elizabeth, aby uczestniczyć w pogrzebie jej matki. Ona sama nie chciała przyjechać do ojczyzny, złością reagowała na wszelkie namowy. Dziwił się nieprzejednaniu tej kobiety, którą znał jako miłą, dzielną i raczej łatwą do kompromisów. W końcu już sam fakt, że potulnie godziła się być jego kochanką, też o tym świadczył. A ona nie tylko odmówiła swojego towarzystwa w podróży do Polski, ale z dzikim uporem odrzucała perspektywę przyjazdu na pogrzeb, mimo że nalegał nie tylko Jim, ale i jej brat.

- Dla matki moja obecność nie ma już znaczenia - odpowiadała jakby znudzona powtarzaniem tych samych argumentów.

Zarzucała Jimowi, że nie chce zaakceptować jej postępowania. Wyklócała się z nim o podstawowe pojęcia, takie jak ojczyzna i patriotyzm. Drwiła z nich, twierdząc, że jako banitka ma do tego prawo. Odkrywała przed nim nową stronę osobowości, a on z fascynacją drażył temat nadal. Chciał przeniknąć sposób myślenia tej bliskiej mu kobiety, wydobyć na światło dzienne jak najwięcej ukrytych jej cech, fobii, uprzedzeń. Miał uczucie, że dopiero teraz zaczyna ją lepiej poznawać, może nawet naprawdę kochać. Podobało mu się, że potrafi walczyć o swoją prawdę, ale w inny sposób niż to czyniła jego żona feministka, która ruszyła na wojnę, gdzie front rozciągał się na cały ziemski glob. Elizabeth, myślał z ulgą, ograniczyła się przynajmniej do jednego kraju.

- Wybaczyłem Nixonowi i republikanom aferę Watergate, wobec tego ty też możesz spuścić zasłonę miłosierdzia na przymusową emigrację Żydów z Polski - przekonywał ją podczas niekończących się dyskusji, które prowadzili późną nocą przez telefon.

- Ośmieliłam się wyjść za Żyda, tym czynem zasłużyłam na wygnanie. Uważasz, że można taki powód przyjąć do wiadomości i pogodzić się z nim, jakby nic się nie stało? Zaakceptować jako pomyłkę historii?

- Podobnych błędów w dziejach świata było bardzo wiele, ale ludzie przechodzą nad nimi do porządku dziennego. Taki jest naturalny bieg rzeczy. Twoje małżeństwo z Szymonem już dawno się rozpadło, a w Polsce zmienił się system. Wszystko jest inaczej, tylko twoje poglądy są stałe, głosisz je bez względu na okoliczności, to niemal fanatyzm, kochanie. Nie chcę powiedzieć, że taki sam jak antysemityzm, ale jednak...

- Nie rozumiesz. W Polsce ciągle rządzą ci sami ludzie. Znam ich nazwiska od lat, stale się powtarzają.

- OK, ale do władzy doszli też nowi.

- Potrzeba co najmniej stu lat, żeby sytuacja naprawdę się zmieniła.

- Boję się, Liz, że możesz nie dożyć aż tak sędziwego wieku - roześmiał się, aby rozładować napięcie.

Nie dała się rozbroić.

- Potępiasz mnie tak samo jak moja matka. Dla niej myśl, że ma córkę emigrantkę, była niemal obraźliwa. Mam mnóstwo listów od niej, wśród nich sporo przemyconych przez granicę w czasach stanu wojennego, a mimo to w każdym pytała, dlaczego nie wracam.

W hotelowej restauracji jadł późne śniadanie po kolejnej nocnej konwersacji z miss Zawadzki, jak lubił ją nazywać przez sentyment do czasów, kiedy była tylko jego nauczycielką polskiego. Długo nie mógł zasnąć, bo choć nie wspominał na ten temat ani słowa, całkiem poważnie zaczął rozważać związanie się z nią na stałe. W odróżnieniu od własnej żony Elizabeth lubił, choć małżeńscy puryści potępialiby go za to słowo.

Jego związek z Barbarą nie był wiele wart. Kiedy się pobrali, starała się respektować jego prawa. Po urodzeniu Kathy, którą uwielbiał, uznała, że ich małżeństwo stanowi węzeł nienaruszalny. Odejście od żony oznaczałoby przecież rozstanie z córeczką, więc, tak to odczuwał, dowolnie nim manipulowała. Zawsze bał się Barbary, w miarę upływu lat coraz bardziej. Poddawał się jej panowaniu, jednocześnie nienawidząc własnego tchórzostwa, które sprawiało, że ciągle potakiwał, starannie wykonywał polecenia, a nawet się podlizywał, otrzymując pochwałę, tylko gdy na nią zasłużył. Żona oddawała mu ciało, ale duszą zawładnęły kobiety. Liczyły się tylko ich problemy, żadna, nawet najbardziej żalosna skarga Jima nie wzbudzała w niej współczucia, najwyżej zniecierpliwienie. Wystarczyło jednak, że pojawiła się w ich domu byle Dolores z Kentucky, której nigdy wcześniej nie widziała na oczy, narzekająca na kłopoty w pracy i surowego szefa, a Barbara rzucała się do walki niczym Robin Hood w obronie uciśnionych.

Szczerze mówiąc, nie znosił feministycznego środowiska żony, ale także z coraz większą determinacją odrzucał jej poglądy. Potężną falę buntu objawił po raz pierwszy, kiedy stanowczo odmówiła pójścia z nim na premierę filmu Woody Allena.

- Kreuje się na ofiarę kobiet, a jest załganym hipokrytą, zamaskowanym prześladowcą płci żeńskiej, zupełnie jak wilk z Czerwonego Kapturka - stwierdziła pogardliwie.

Uwielbiała się popisywać, z rozkoszą cytowała zdania ze swoich coraz słabszych, w opinii Jima, rozpraw naukowych. Postanowił bronić swojego ulubionego reżysera. Wyłożył tonę argumentów, przedstawił jego dorobek, z ogniem udowadniał, że kpi nie tylko z kobiet, ale też z siebie i z całego męskiego rodu. Prezentował przykłady. Barbara jednak pozostawała nieprzejednana.

- Moim zdaniem ma kompleks zbyt krótkiego członka, a to uniemożliwia dogłębną penetrację. Nienawidzi kobiet, bo nie potrafi ich zaspokoić - oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu. - A poza tym jest Żydem, przesiąkł więc antykobiecym wymiarem swojej religii.

Do kina zaprosił Elizabeth.

Rozmyślenia nad kawą o własnym niedoskonałym małżeństwie przerwało mu nadejście Anny. Za nią skradał się recepcjonista, który sprawdzał, czy dziewczyna naprawdę udaje się na spotkanie, czy chce znów skrycie obserwować kolejnego gościa. Od czasu wyjazdu Michaela Watsona - Smitha nie pojawiała się w hotelu, więc jej ponowna wizyta wywołała prawdziwy alert.

Jim ucieszył się na widok kuzynki, choć wyglądała blado i mizernie, ale na jej twarzy malował się wyraz ulgi, znikło napięcie, które zaobserwował, gdy zobaczył ją pierwszy raz po przyjeździe. Od czasu, kiedy ponownie zawitał do Polski, trzymała go na dystans. Byli przecież najbliższymi krewnymi, żal mu było utraconej bliskości z czasów stanu wojennego. Być może, pomyślał z nadzieją, pojawiła się szansa na jej odzyskanie. Uśmiechnął się szeroko.

- Szampan i lody z truskawkami? - zaproponował.

- Szampan, tak, ale wolałabym truskawki bez lodów - odwzajemniła serdeczny uśmiech.

- Ba - rozłożył ręce w bezradnym geście - podają tylko w zestawie. Jeszcze nie wszystko zmieniło się w tym kraju.

W sposobie bycia kuzyna Anna odnalazła cień wspomnienia zmarłego brata. Dziedzictwa genów nie da się unicestwić. Dzięki Bogu, już nie musi się bać, że pułkownik mógłby w jej synu dopatrywać się genetycznej wspólnoty. Nie ma go i już nie będzie. Jeśli nawet pozostawił po sobie pojedyncze ogniwa DNA, to i tak splecione z innymi tworzyły już całkowicie odrębną, niepowtarzalną całość. Odpowiedź na pytanie, które dręczyło ją przez lata, nagle wydała się nieistotna, straciła wagę. Pułkownik smażył się w piekle, Michael był obcy i daleki. Liczył się tylko fakt, że to ona jest matką Marcina. Po raz pierwszy od narodzin syna opuściły ją rozterki. Pozbyła się gorsetu, który przez długie lata nie pozwalał jej swobodnie oddychać, powodował duszności. Teraz wreszcie zaczerpnęła tchu. Postanowiła zawrzeć rozejm z całym światem.

## Rozdział XX

Z głębi szuflady, odgarniając stopy osobistej bielizny, Mika wyjęła dość duże, złotawe pudełko po czekoladkach Lady Godiva. Otworzyła. Leżała w nim kasetka z taśmą. Trzymając ją w rękach, długo stała bez ruchu, zastanawiając się, co z nią zrobić. Wreszcie stanowczym krokiem podeszła do magnetofonu stojącego na półce i włożyła kasetę. Przekręciła klucz w drzwiach pokoju. Nacisnęła klamkę, aby sprawdzić, czy są zamknięte. Zatrasnęła okno. Włączyła magnetofon i usiadła w fotelu. Usłyszała cichy szmer przesuwanej się taśmy, a wreszcie chrząknięcie i słowa wypowiedane powoli z doskonałą dykcją:

Nazywam się Marian Leski. Nagrywam tę taśmę w maju 1986 roku. Mam 65 lat, mieszkam w Warszawie, przy ulicy Koszykowej 12. Przyznaję się do zabójstwa pułkownika Jana Kuczka. Jestem wyłącznym winowajcą. Wymierzyłem Kuczкови sprawiedliwość, ponieważ osądzenie go w obecnie panujących w naszym kraju warunkach absolutnie by nie było możliwe. Nie jestem zwolennikiem samosądu, ale musiałem go dokonać, ponieważ moim zdaniem pułkownik, przy całej swojej inteligencji i bystrości, a może właśnie dzięki obu tym cechom był wyrafinowanym łajdakiem, który nie powinien uniknąć kary.

Podniosła się z fotela i przewinęła taśmę do przodu. Prawdziwe i domniemane przewiny pułkownika, które wyliczał Leski, znała na pamięć. Jakże zresztą miały teraz znaczenie? Należały do przeszłości. Minie jeszcze parę lat i w ogóle zostaną zapomniane, tak jak i pułkownik Kuczek. Kto wówczas będzie zawracał sobie głowę aparaczkami, który wykazywał się wyjątkową przebiegłością i znajomością języków? Już teraz się nie liczył, a jako symbol będzie należał najwyżej do masy upadłościowej minionego systemu.

Jeszcze raz jednak zapragnęła usłyszeć opowieść o tym, jak Leski został doprowadzony do ostateczności. Może wreszcie uda jej się rozstrzygnąć, czy Marian dokonał odwetu z własnej woli, czy stał się pionkiem w rękach pułkownika, który przewidując jego ruchy, ustawiał go niczym gońca na szachownicy. Napinając nerwy przeciwnika do granic wytrzymałości, rozegrał partię wedle własnych zasad. Udowodnił, że nie obowiązują żadne etyczne reguły, a wszelkie cnoty i przyzwoitość postawił pod znakiem zapytania. Pośmiertne posłanie Kuczka zdawało się głosić, że każdy człowiek znajdujący się w sytuacji, którą uzna za przymusową, w końcu przekroczy barierę między dobrem a złem, wkraczając na teren zakazany. Gdy Leski zamknął się w labiryncie nienawiści, pułkownik niczym doskonały cicerone prowadził go dalej. Patrzył na klęskę przeciwnika i napawał się nią, bo gdzie rozum przegrywa z emocjami, one zawsze doprowadzają ludzi na skraj przepaści. Jak to się mogło stać, że jeden zaślepiony miłością, a drugi złością spotkali się w końcu w tym samym miejscu? Na to pytanie Mika poszukiwała odpowiedzi.

Moja spowiedź będzie drobiazgową, nie dlatego jednak, żebym dzięki niej spodziewał się łagodniejszej oceny mojego czynu. Pragnę jedynie dowieść w ten sposób, że nikt inny nie był w tę zbrodnię zamieszany. Nikt też nie powinien mieć cienia wątpliwości, że rzeczywiście jej dokonałem. Z tych przyczyn opowiem szczególnie po szczególe przebieg moich ostatnich spotkań z pułkownikiem Kuczkiem. Będę korzystał z notatek, które robiłem na bieżąco po każdej wizycie w jego domu. (Odchrząknął i nabrał tchu).

Po długiej przerwie pojechałem odwiedzić go w domu. Nie miałem żadnego konkretnego planu. Po prostu chciałem się z nim spotkać, spojrzeć mu w oczy, popytać o dawne sprawy. Jeszcze wtedy nie kierowała mną chęć odwetu. Może tylko antypatia i swego rodzaju ciekawość. Miałem ochotę zobaczyć go przegranego, spokorniałego, przybitego. Drzwi otworzyła jego żona, Edyta. Towarzyszył jej pies o długiej zadbanej sierści. Zauważyłem, że jest lekko podpiita, ale nie było w tym nic dziwnego, od lat nadużywała alkoholu. Ucieszyła się, kiedy mnie zobaczyła. Zawołała:

- Janek, zobacz, kto przyszedł!

- Chodźcie tutaj! - odrzyknął, bo jego zawsze musiało być na wierzchu. On się nie fatygował, to inni przychodzili na wezwanie.



Siedział w salonie przy stole. Było na nim mnóstwo rzeczy do jedzenia. Część z nich jeszcze w opakowaniach, niektóre rozwinięte, leżały na papierach. Dostrzegłem otwartą butelkę wódki, soki, kilka butelek wina, z których co najmniej dwie były odkorkowane. Wstał, żeby się ze mną przywitać, oblizał potłuszczone palce i podał mi rękę.

Nie utył, lecz jego twarz wyglądała, jakby była nadmuchana. Zrozumiałem, że jest to obrzęk alkoholowy. W przeszłości też pił, ale zawsze w sposób kontrolowany, teraz jednak sobie nie żałował. Poza tym miał już swoje lata. Wyłysiał. Zza okularów widać było zaczerwienione oczy, błyskało w nich nadal bystre, zimne spojrzenie.

- Nie widzisz, że mamy gościa? Posprzątaj - nakazał Edycie. Była teraz jedynym jego adiutantem, tylko jej mógł wydawać rozkazy. Natychmiast rzuciła się do pracy. Po kwadransie stół był nakryty. Piliśmy umiarkowanie. Kuczek wyciągnął ze starych zapasów doskonale włoskie wino. Wspominaliśmy bardzo dawne czasy, kiedy jeszcze bywaliśmy nawzajem w swoich domach. Mimo powodów, dla których pojawiłem się u Kuczka, fakt, że moja wizyta sprawiła mu przyjemność, jakoś się dla mnie liczył. Wiele lat zajęło mi dotarcie do wiedzy, że ludzkie reakcje, nawet własne, są nie do przewidzenia... We troje rozegraliśmy dwa robry z dziadkiem. Potem pożegnałem się i wyszedłem, postanowiłem więcej się tam nie pokazywać. A jednak w jakiś dziwny sposób ta cała sytuacja nie dawała mi spokoju.

Znów, jak wiele razy przedtem, powróciło do Miki wspomnienie dnia, kiedy parę miesięcy po jej ślubie spotkali się na niespodziewane żądanie Mariana. Umówili się w dawnym miejscu, ale nie chciał tam zostać.

- Lepiej pospacerujmy - zaproponował.

Musiało się stać coś strasznego, domyśliła się, patrząc na jego zapadnięte policzki i półprzymknięte powieki, pod którymi ukrywał rozbiegane, niespokojne spojrzenie. Szedł drobnymi krokami, dziwnie pochylony, jakby unikał wzroku przechodniów. Długo się nie odzywał, a ona nie miała odwagi o nic pytać. Człowiek, który jej towarzyszył, niewiele miał wspólnego z Marianem, jakiego zapamiętała. Nie był nawet jego cieniem, tylko fantomem, zjawą powołaną do życia przez tajemne moce.

- Usiądźmy tam - wskazał samotną ławkę na opustoszałym skwerku.

Wówczas zaczął mówić, wyrzucił z siebie całą koszmarną prawdę. A potem wręczył jej nieduży pakunek i powiedział:

- Mika, to jest taśma magnetofonowa z moim przyznaniem się do winy. Daję ci ją, bo nie wiadomo, co jeszcze może się stać. W to wszystko wplątać mogą niewinnych ludzi. Nie chcę, żeby ktokolwiek cierpiał przeze mnie. Niepokoi mnie cisza, która panuje wokół całej sprawy. Nie podali informacji o jego śmierci. Nikt nic nie wie. Zadzwoiłem nawet do niedawnego współpracownika Kuczka. Miałem pretekst, bo wcześniej prosił mnie o jakąś hiszpańską książkę. Zapytałem go wprost, czy nie wie, co u niego słychać. Powiedział: „To odludek, a poza tym ambicja nie pozwala mu pewnie wychynąć nosa z domu. Odkąd odszedł z urzędu, nikt go nie widział”.

Źle się czuję, nie wiadomo, co ze mną będzie. W każdej chwili, którą uznasz za właściwą, możesz ujawnić nagranie, ale dopóki ta chwila nie nadejdzie, pamiętaj, nie wolno ci się ani słowem zdradzić, że wiesz o śmierci pułkownika. Ta wiedza może się okazać zbyt niebezpieczna. Zastanawiałem się, czy nie przyznać się do zbrodni choćby teraz, ale nie mogę ze względu na rodzinę. Moja żona i córka tyle już przeszły. Dopóki to możliwe, nie chcę, żeby o tym się dowiedziały. Władza pewnie prowadzi ciche śledztwo, lecz jak dotąd, choć minęło już pół roku, nawet mnie nie przesłuchiwali, mimo że bywałem w domu Kuczków. Pewnie Edyta to ukryła, może zresztą zapomniała o moich wizytach, nawet nie przeszło jej przez myśl, że mogę być winien śmierci męża. Biedna kobieta... ją także uwolniłem. - Wykrzywił się ironicznie. - Wybacz, że obarczam cię moim wyznaniem, ale nie ma nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić. One by tego nie przetrzymały, ty jesteś silna. Mam

nadzieję, że mnie nie potępiasz, choć powinnaś... Sam nie umiem sobie wybaczyć. Pamiętaj, Mika, nie rób nigdy nic nieodwracalnego, nigdy z własnej woli. Pójdę już.

Tuliła go do siebie jak małe dziecko. Nie zwracała uwagi na łzy płynące jej po twarzy. Chciałaby ulżyć człowiekowi, który nosił ciężar ponad siły, ale nie mogła mu pomóc. Uwolnił się z jej objęć, wstał z ławki, złożył oficjalny ukłon.

- Pójdę już - powtórzył i oddalił się dziwnie drobnymi krokami.

W tydzień, może dwa po tamtej pierwszej wizycie wyszedłem na spacer, ale po paru minutach znalazłem się w podwarszawskim autobusie. Było wczesne popołudnie, zwykły powszedni dzień. I tym razem drzwi otworzyła mi Edyta. Zapłakana, na rękach miała wielkie sińce. Uderzyła się, powiedziała i spuściła głowę. Pobił ją, a może upadła? Postanowiłem nie dochodzić prawdy. Poszedłem do gabinetu.

Kuczek siedział w angielskim skórzanym fotelu, wyciągnięte nogi trzymał na podnóżku. Koszulę miał rozchełstaną. W gabinecie panował nieopisany bałagan. Wszędzie wały się porzucane gazety. Artykuły lub poszczególne zdania na wielu stronach zostały pozakreślane czerwonym mazakiem, w wielu miejscach znajdowały się dopiski, często opatrzone wykrzyknikami albo znakami zapytania. Mnóstwo było opróżnionych butelek i brudnych talerzy, filiżanek z resztkami zaschniętych fusów od kawy lub herbaty, kilka pełnych petów popielniczek. Dziwne wrażenie robiły puste gwoździe i jasne plamy na ścianach. Kuczek złapał moje spojrzenie i wyjaśnił, że zdjął zdjęcia tych skurwysynów, którzy się z nim fotografowali, a potem byli uprzejmi wypierdolić go z pracy.

- Jeszcze tego pożałuj - mówił podniesionym głosem. - Banda niedouczonego ignorantów. I popatrz, do czego doprowadzili swoim durnym postępowaniem. Kryzys i gówno - oto co osiągnęli. Siadaj. - Jednym ruchem zrzucił z wyściełanego krzesła stos zapisanego maczkiem papieru.

A więc prowadzi nadal swoją prywatną wojnę, pomyślałem. W tym momencie nie odczuwałem w stosunku do niego niechęci ani współczucia. Obserwowałem go jak robaka pod mikroskopem. (Krótka przerwa. W całym nagraniu jest ich kilka. Prawdopodobnie, tak myślała Mika, nie dokonał go za jednym razem, ale dzielił swoją relację na poszczególne części, aby w ten sposób lepiej panować nad materiałem).

Poczęstował mnie ginem z ciepłym tonikiem. Oba płyny zmieszał w wyciągniętej z szafki niezbyt czystej szklance. Jego upadek nie pozostawiał wątpliwości, ale w głębi duszy uważałem, że nie jest jednak całkowity. Kuczek nie był załamany, nie poddał się. Postanowiłem wykorzystać fakt, że jest już lekko załany. Ja byłem całkiem trzeźwy, markowałem picie.

- Wrobili cię w całą tę sprawę z księdzem - zacząłem ostrożnie, a on błyskawicznie chwycił podrzuconą przynętę.

- Głupio ją rozegrali, bardzo głupio. Trzeba było iść w zaparte, jak doradzałem. Po co się układać, rozmawiać? - Wykrzywił się. - Negocjuje się z silniejszymi od siebie, a nie, cholera, ze słabszymi. Nie było się czego bać. Władza jest po naszej stronie, mamy media, pieniądze, wszystko. Na kozła ofiarnego się nie nadaję, jeszcze dam im popalić. Dużo wiem. - Przełknął spory łyk alkoholu. - Ale może byś coś zjadł? - zatroszczył się.

Tę jego cechę także znałem, zawsze był gościnny. Odmówiłem, ale zaproponowałem toast. Za spotkanie. Chciałem, żeby jak najszybciej rozwiązał mu się język.

Mówił, że niebawem zarobi mnóstwo pieniędzy. Dogadał się z jakimś młodym geszefciarzem, wspólnie mają zrobić interes życia.

- Ma chłopak łeb na karku. Chociaż nie skończył studiów, idzie jak burza. Nie ma żadnych niepotrzebnych skrupułów. We wszystko wlezie, w przemyt, w narkotyki... Byle tylko przynosiło, jak on to mówi, szmal. Podoba mi się takie podejście.

- Narkotyki? - powtórzyłem.

- Też są dla ludzi - odpowiedział. - A skoro ich potrzebują, zapłacą. Wiesz, co znaczy ćpun ? No widzisz, a ja wiem. Podszkoliłem się. Niedługo zapędzę ich w kozi róg, razem z tym młodym, wyłysiałym blondynkiem, co odgrywa mafiosa. Znalazł się don Corleone z Koziej Wólki. Nie lubię go, bo to prostak. Jeździł po świecie, był w różnych krajach, nawet w Indiach, ale nie ma obycia. Trudno, nigdy nie mogłem dobierać sobie współpracowników.

Cofnęła taśmę, jeszcze raz przesłuchała ostatni fragment. Zastanawiała się. Znów zrobiła to samo. Dziwne, że nigdy wcześniej nie przywiązywała żadnej wagi do tego fragmentu. Teraz nabrał nowego znaczenia. A może tylko ona mu je przypisuje? Wcisnęła klawisz. Pozwoliła Marianowi mówić dalej.

Bardziej interesowała mnie jego przeszłość niż teraźniejsze sprawy, ale gotów byłem go wysłuchać. Jednak zorientował się, że za dużo powiedział. Bystrość jego umysłu z trudem przyćmiewał nawet alkohol.

- Więc o co chciałbyś zapytać?

Nie dał się zwieść, dobrze wiedział, że nie przychodzę gnany sentymentem ani z towarzyską wizytą. Chciałem wymyślić jakieś kłamstwo, ale doszedłem do wniosku, że pora skończyć z udawaniem. Krok po kroku pragnąłem wyjaśnić jego grę ze mną i moją rodziną.

- Dlaczego wtedy postrzeliłeś moją córkę?

- Córkę albo i nie córkę. - Uśmiechnął się. Odczułem wściekłość. A więc znał nawet moje rodzinne tajemnice! Skądś wiedział, że nie byłem biologicznym ojcem Anny, choć urodziła się jako moja córka. Nie ciągnąłem go w tej sprawie za język, bo to, co zaraz usłyszałem, było o wiele gorsze. - Mylisz się, zrobiła to sama. Ale właściwie powinienes być mi wdzięczny. Dzięki mnie masz udanego wnuka. Kiedy byliśmy bardzo młodzi, Edyta chorowała, a potem już nie mogła mieć dzieci. Tak mówiła, ale kto ją tam wie, tę pijaczkę. - Machnął ręką. - Teraz to już bez znaczenia, bo mam syna - powiedział z dumą. - Zajmę się nim, gdy tylko podrośnie. Nie ma jeszcze trzech lat, ale jak tylko pójdzie do szkoły, pozna, co to jest mieć ojca!

Nagle jasno jak na dłoni zobaczyłem, co się wtedy stało. W jednej sekundzie zrozumiałem, dlaczego Anna nie umie się pozbierać.

- Świetna dziewczyna, a trochę przemocy zawsze dobrze robi seksowi - śmiał się Kuczek, zagryzając papierosa białymi zębami.

Zrobiło mi się słabo od nienawiści. Dopóki będzie żył, może się pastwić nad moją rodziną, szantażować ją, dochodzić swoich praw do dziecka. Anna tego nie wytrzyma, i tak jest w fatalnej formie psychicznej. Znów spróbuje popełnić samobójstwo i kto wie, czy jej się nie uda. Straciłem już Michała, a teraz groziła mi utrata drugiego dziecka. Nie mogłem beczynnie godzić się na takie zagrożenie. Wtedy podjąłem decyzję, że muszę usunąć go z tego świata. Byłem przekonany, że nie tylko Anna powita śmierć tej kanalii z ulgą. Pewnie nie starczyłoby palców obu rąk, aby zliczyć ludzi, których zniszczył, bawiąc się ich kosztem.

Kilkakrotnie jeszcze złożyłem wizytę u pułkownika. Musiałem, jakkolwiek strasznie to zabrzmiało, przygotować się do zbrodni. Graliśmy w szachy, dużo rozmawialiśmy, zwierzał mi się ze swoich szwindli i przekrętów. Był z siebie bardzo zadowolony, nie miał wątpliwości, że powróci do władzy, na jedno z najwyższych stanowisk w państwie. Kwestia czasu, powtarzał. Podczas jednej z wizyt ukradłem mu pistolet, który trzymał w szufladzie biurka. Może ten sam, którego użyła Anna. Nie wiem. Od tego momentu musiałem się śpieszyć. Gdyby się zorientował, że broń znikła, stałby się podejrzliwy i ostrożny w stosunku do mnie, bo mało kto tam bywał.

Prawie nie wychodził z domu, jedynie dwa razy dziennie na spacer z psem. Przy całym swoim bałaganiarstwie miał upodobanie do rytuałów. Opuszczał dom z psem na smyczy o siódmej rano i o dziesiątej wieczorem. Nie miał ochoty nikogo spotykać, chodził więc odludnymi ścieżkami.

Był 12 listopada 1985 roku. Późny wieczór. Natknąłem się na niego niby przypadkiem na leśnej drodze. Zaniepokoił się na mój widok. Jednak nie do końca mi ufał. Nie dałem mu czasu na reakcję, bo mogłbym się zawahać. Wyciągnąłem pistolet i powiedziałem coś absolutnie niespodziewanego również dla siebie: „W imieniu Rzeczypospolitej”. Może w takiej chwili powraca do człowieka przeszłość? Byłem w partyzantce, raz w życiu towarzyszyłem przy wykonywaniu wyroku. Może stąd wzięły się te moje słowa. Zobaczyłem jeszcze jego ironicznie rozbawioną twarz. I w tym momencie nie zawiodło go poczucie absurdu. Jeśli w takiej chwili można się czuć idiotycznie, to ja tak właśnie się poczułem. Wystrzeliłem. Raz, drugi, nie pamiętam, może i trzeci. (Głos się załamuje, westchnienie). Upadł.

Uwolniłem psa ze smyczy, by sam wrócił do domu. Uciekłem opracowaną wcześniej trasą, pistolet schowałem w głębokiej dziupli, już przedtem wrzuciłem do niej mnóstwo paków, zagrzebałem w nich broń. Było to co najmniej kilometr od miejsca zbrodni. Próbowałem potem odnaleźć to drzewo, ale nie umiałem trafić, choć wcześniej dotarłem do niego bezbłędnie. Nie ulega wątpliwości, że dokonałem zabójstwa z premedytacją. Od tej chwili nie przespałem ani jednej nocy, a za dnia mam wrażenie, że przez cały czas on mi towarzyszy. Zupełnie tak jakby przed oczami nieustannie przesuwiał mi się film z nim w roli głównej. Prześladowuje mnie. Poszedłem nawet do kościoła, ale i tam był ze mną. Mam wrażenie, że oszaleję. Zanim jednak do tego dojdzie, musiałem złożyć to zeznanie, aby na nikogo innego nie spadł ciężar mojej niewybaczalnej winy. Wiele razy błądziłem, lecz byłem człowiekiem przyzwoitym, kierowałem się zasadami moralnymi, jako dziennikarz pragnąłem pomagać ludziom w zrozumieniu świata. Na koniec życia zostałem mordercą. Nikt nie wie, co go czeka i kim się stanie, zanim umrze.

Wyłączyła magnetofon. Chusteczką wytarła całkiem moką twarz. Przed paroma dniami tak długo ukrywana wiadomość o zabójstwie pułkownika rozeszła się wśród ludzi. Jeden z dziennikarzy „Startu” napisał o tej sprawie krótki artykuł, który zatytułował „Tajemnica śmierci pułkownika”. Tekst nie zawierał żadnych sensacji, tylko opis okoliczności zbrodni przywołany z archiwalnych, tajnych jeszcze do niedawna akt prokuratury, krótki wywiad z wdową, która opowiedziała o nakazie milczenia i o pogrzebie („Może ktoś wie, gdzie jest pochowany mój mąż?”), a w zakończeniu znalazły się pytania. Kto mógł mieć interes w zlikwidowaniu pułkownika? Czy była to zbrodnia polityczna, czy zemsta za nieczyste sprawy, których wiele miał na sumieniu? Ostatnie zdanie artykułu brzmiało: „Prawdopodobnie już nigdy nie dowiemy się prawdy o tym, co zdarzyło się w podwarszawskim lesie. Nie poznamy też odpowiedzi na pytanie, kto strzelał do pułkownika”.

Wstawili ten artykuł do numeru w ostatniej chwili jako news. Mika go adiustowała. Miała ochotę wykrzyknąć, oznajmić wszystkim, co naprawdę się stało, ale wiedziała, że będzie milczeć. Już nikt nigdy się nie dowie prawdy.

Wzięła nożyczki. Powoli rozwijając taśmę, cięła ją na jak najmniejsze kawałki. Zebrała je wszystkie, włożyła do dużej szklanej popielnicy. Zapaliła zapalniczkę i podpaliła skrawki taśmy. Poczula wielką ulgę. To był koniec sprawy pułkownika. Tak jej się przynajmniej zdawało.

## Rozdział XXI

Usłyszała zgrzyt zamka, a potem kroki Pawła w przedpokoju. Błyskawicznie zgasła ogień, otworzyła okno na całą szerokość, aby usunąć zapach spalenizny, i jak najszybciej otworzyła kluczem drzwi pokoju. Dokładnie wiedziała, jak zachowa się mąż. Pierwsze kroki skieruje do kuchni, wyjmie z lodówki butelkę coca - coli albo piwa i wypije duszkiem. Potem przejdzie do salonu, włączy telewizor, usiądzie na kanapie, weźmie do ręki gazetę z programem. Uważnie przeczyta repertuar, powie: „I znów dziś nic nie ma w telewizji”, ale jeśli zostanie w domu, ani na minutę nie wyłączy odbiornika. Siedząc na kanapie, zdejmie buty, a potem się położy i oznajmi, szeroko ziewając: „Zdrzemnę się trochę”. Kiedyś zapraszał ją, żeby się do niego przytuliła, ale od dawna już proponuje tylko: „A ty może zrobiłabyś coś do żarcia?”. Ona przeważnie odpowiada: „Nic nie ma w domu do jedzenia. Nie zdążyłam zrobić zakupów”. A on tonem uzalania się nad sobą, który z trudem znosiła, mówi: „Lepiej było wziąć sobie służącą, zamiast się żenić. Płaciłbym i wymagał, a tak płacę i nic z tego nie mam. Zjem coś w knajpie” - dodaje ugodowym tonem, bo nie lubi się kłócić. „Jestem człowiekiem nieskomplikowanym i niekonfliktowym”, podkreślał często. Oboje tacy byli, w ich domu rzadko słyszało się podniesione głosy.

Po drzemce brał prysznic, wkładał jedną ze stu dwudziestu koszul (w tym czterdzieści ręcznie szytych na miarę u znanego londyńskiego krawca), dobierał do niej krawat, a potem, chodząc tak w koszuli i krawacie, dopasowywał do nich garnitur. Zawsze w tej kolejności, nigdy odwrotnie. Na początku małżeństwa bawiła ją ta zmiana porządku, a nawet jego odpowiedź: „Tylko biedacy dobierają koszulę do garnituru, ja robię inaczej, bo mnie na to stać”. Nawet gdy usłyszała ją po raz dziesiąty, jeszcze się śmiała i rozczulona całowała go w policzek, kiedy jednak powtórzył to po raz setny, miała ochotę wyrzygać się wprost na puszysty, gruby jak pierzyna dywan.

Bywał miły, w każdym razie się starał, może nawet na swój sposób jeszcze ją kochał, od czasu do czasu dawał kosztowne prezenty, w towarzystwie potrafił być zabawny, cieszył się dobrym jedzeniem, był wytrawnym znawcą win oraz kuchni francuskiej i włoskiej. Zwyczajny, nijaki, przerażający facet. Gdy kiedyś, dawno temu, spytała go o marzenia, odparł, że chciałby być najbogatszym człowiekiem w Polsce.

- A na świecie? - zapytała wówczas.

- Tego nie będę w stanie osiągnąć - stwierdził bez rozczarowania, bo nawet marzenia miał realne. Nie lubił fantazjować, twardo stąpał po ziemi.

Ich życie codzienne doprowadzało ją do rozpacz. Nigdy nie sądziła, że we dwoje można się aż tak przeraźliwie nudzić. Nie wiedzieli, o czym ze sobą rozmawiać, brakowało wspólnych tematów, bo tych, co mieli, wystarczało najwyżej na pół godziny. Gdyby był jej znajomym, ograniczałyby spotkania z nim z obawy przed pustką takiej więzi, ale był jej mężem, więc tkwiła u jego boku, porażona niemożnością naprawienia pomyłki, którą popełniła. Dawniej wolny czas wypełniali seksem, teraz wygasło pożądanie. Mijali się więc na trzystumetrowej powierzchni ze znużoną powagą, czasem uprzejmie wymieniając uwagi na temat programu w telewizji albo proponując sobie nawzajem wino lub herbatę. Telewizor grał głośno, ale cisza, która panowała między nimi, była wszechobecna.

Późnym wieczorem, jeśli zostawali w domu, przebierali się w szlafroki z grubego, ręcznie tkanego jedwabiu. Jej kosztował tyle co elegancka suknia panny młodej. Półożąc na kanapach ustawionych naprzeciwko siebie, gapili się w ekran, starannie unikając własnych spojrzeń, bo mogliby w swych oczach wyczytać to, co chcieli przemilczeć. Setki razy myślała o tym, żeby odejść, rzucić wszystko w diabły, zostawić te sterty zbędnych przedmiotów, uwolnić się od nich i od niego, ale wtedy pojawiał się strach. Paweł był protezą, na której się wspierała. Udawała normalne życie, dzięki czemu swoje poszarpane emocje trzymała na wodzy, nie pozwalając im ani przez moment wymknąć się spod kontroli.

Wszystko, co najpiękniejsze można przeżyć z mężczyzną, poznała dzięki Michaelowi, wspólnotę myśli, przenikanie się uczuć, intymną bliskość, doznawaną nawet w obecności innych ludzi, śmiech z tych samych, nieczytelnych dla otoczenia powodów, czułość i pożądanie, które aż parzyło rozpalone ciała. Chwile z nim smakowała jak kawałki gorzkiej czekolady, które rozpuszczając się w ustach, pozostawiają słodczyz, ale i wyrafinowany, wytrawny posmak, do którego chce się powracać. To wszystko było poza nią i mogła tylko dziękować Bogu, że pozwolił jej to kiedyś przeżyć. Próbowwała więc za wszelką cenę godzić się ze swoim małżeństwem, które było przecież poprawne, a nawet lepsze od tysięcy innych. Do czego mogłaby powrócić, odchodząc od męża? Do pustki swojego mieszkania, nieustannego liczenia się z pieniędzmi, beznadziejnego rozdrapywania przeszłości i narzekań rodziców na to, że rozkapryszona jedynaczka znów sobie zniszczyła tak pięknie ułożone życie. Kochali Pawła jak syna, a ona musiała przyznać, że zachowywał się wobec nich bez zarzutu, wpadał do nich częściej niż córka, podrzucał małe i większe prezenty i choć nie lubiła o tym myśleć, pewnie czasem i gotówkę. „Twój mąż to porządny człowiek”, powtarzał ojciec, wpatrując się w nią podejrzliwie, bo w głębi duszy czuł, że Mice coś roi się w głowie, obawiał się, żeby to nie były znowu jakieś głupoty. A przecież mógł być spokojny, bo przysięgła sobie, że wszystko, co zrobi, będzie przemyślane. Decyzje chciała podejmować z rozważą, już nigdy więcej nie podda się pierwszemu odruchowi serca. Z tego powodu tkwiła w związku, który obumarł, o ile kiedykolwiek istniał.

Tym razem jednak Paweł złamał rytuał pierwszych kroków po wejściu do domu i zaniepokojony niemal natychmiast przybiegł do jej pokoju.

- Co się stało? Pali się coś?

- Nie, to tylko mój papieros - odpowiedziała, udając całkowity spokój.

Spojrzał na popielniczkę, w której leżały częściowo zwęglone kawałki taśmy. Nie powiedział na ten temat ani słowa. Widać i on unikał drażliwych pytań.

- Wychodzisz wieczorem? - zapytała.

- Nie, mam papiery do przejrzenia.

Wiedziała, co to oznacza. Cały wieczór z kalkulatorem w ręku będzie dodawał i odejmował jakieś liczby, a co pewien czas przez telefon ustali z różnymi osobami wysokość tajemniczych transakcji -

- Chcesz coś zjeść?

- A jest cokolwiek? - zapytał z niedowierzaniem.

- Owszem. Upiekłam cielęcinę z suszonymi śliwkami, taką jak lubisz. Przygotuję sałatę. Otworzymy wino.

Był zdziwiony jej zachowaniem. Ale w końcu lepsze to niż uparte unikanie z nim kontaktu. Wziął żonę nie ze swojej sfery i musi za to odpokutować. Kobiety kolegów pomagały lub przynajmniej wspierały ich w biznesie, a Mika tylko wyciągała rękę po pieniądze. Miała doktorat, była dziennikarką, ale dla niego nic z tego nie wynikało, a coraz częściej czuł, że nie spełnia jej oczekiwań, chociaż sownie opłacał każdą spędzoną z nią godzinę. Nie mieli dzieci, właściwie mógł ją puścić w trąbę w każdej chwili, lecz jakoś mijał dzień za dniem, a on dalej tkwił z nią pod jednym dachem. Przyzwyczailem się, cholera. A poza tym jest spokojna. Większość kobiet to wariatki, kłócą się, płaczą z byle powodu, popadają w depresję albo świergolą człowiekowi nad uchem. Taka była jego pierwsza żona. Mika wstaje w takim samym nastroju, w jakim położyła się spać. Nie histeryzuje, nawet kiedy on wraca do domu nad ranem. Kiedyś niepokoił się, że może w ten sposób objawia się jej obojętność, ale teraz wiedział, że to tylko taki charakter.

Zjedli doskonałą kolację, bo jeśli miała ochotę coś ugotować, była świetną kucharką. Kiedy ją chwalił, odpowiadała, że każdy inteligentny człowiek potrafi osiągnąć mistrzostwo w sztuce kulinarnej, to kwestia wyobraźni. Lubił jej przemądrzałe odpowiedzi, miał wtedy poczucie, że może jednak nie zainwestował w to małżeństwo zbyt pochopnie. Ogarnęło go

blógie, podlane włoskim białym winem uczucie sytości. Odezwało się w nim pożądanie. Żadna tam fala namiętności, ale miał ochotę znów przypomnieć sobie seks z żoną. Jednak ona powiedziała:

- Paweł, jest pewna sprawa, którą muszę z tobą omówić.

- Tak? - zapytał, jeszcze ciągle ukołyszany miłym nastrojem. Pogmerał ręką w kroku. Nie miał wątpliwości, że natura domaga się męzowskiego prawa. Zastanawiał się, w jaki sposób skłonić Mikę do zapomnianych między nimi pieszczot. Odczuwał wstydlivy opór przed zrobieniem pierwszego kroku i jednocześnie złościł się na siebie. Co jest, do cholery, rznąłem najefektowniejsze kobiety w całym tym parszywym mieście, a boję się własnej żony? Ogarnął go bezmiar gorczy. Oto do czego doprowadziła ich życie we dwoje, do kompletnej ruiny.

- Przygotowuję duży tekst na temat narkotyków - kontynuowała Mika zupełnie nieświadoma wewnętrznej zgryzoty, jaką przeżywał jej mąż.

- Słyszałem o tym - odparł niechętnie.

- Tak? - zdziwiła się. - Nie wspominałam nic na ten temat.

- Mam swoje źródło informacji. Na ciebie nie mogę przecież liczyć.

Chrząknęła, zaniepokojona jego wiedzą. Z redakcyjnego grona bliżej kontaktował się jedynie z Macho. Widocznie on coś mu powiedział. Wydawało jej się, że była to wyłącznie sprawa między nią a naczelnym, ale chyba w redakcji ściany miały uszy. O żadnej dyskrecji między dziennikarzami nie mogło być mowy. Paplali o wszystkim, czego się dowiedzieli o sobie nawzajem, środowisku, kolegach. Każdy miał ambicję, aby się popisać newsem czy plotką, które rosły w kolejnych ustach do karykaturalnych rozmiarów. W pewnym sensie ją to bawiło. Taki zawód wymaga dzielenia się zdobytymi informacjami. Skryty dziennikarz zaprzeczałby naturze profesji, jednak łatwość, z jaką wyciągali każdy strzęp cudzej sprawy na światło dzienne, wywoływała w niej czasami bezradność, kiedy indziej gniew, ale najczęściej, musiała to przyznać, nieposkromioną ciekawość i chęć tropienia dalszych śladów. Nie różniła się od nich, nie była wcale lepsza. Bez trudu wtopiła się w otoczenie dziwaków, pyszałków, etatowych mądrali i omnibusów, misjonarzy, niepohamowanych gaduł, roztargnionych nosicieli różnych idei, podejrzliwych śledczych i opętanych swoją idee fixe reporterów. Każdy z nich, niezależnie od fobii, obsesji, zawodowych konieczności i życiowych odlotów, skrycie obawiał się czytelników, ich wymagań, kręcenia nosem, a równocześnie potajemnie ich pożądał. I z takim samym żarem bywał zazdrosny o okazywane przez nich najbardziej choćby banalne zainteresowanie tekstem innego autora. Ba, nawet o kawałek zadrukowanego miejsca, gdzie ktoś inny opisywał rzeczywistość lub wyrażał swoje przemyślenia. Byli jak stado ogarów, które powracając z polowania, przynoszą w pysku swoje zdobycze i prezentują je przed panami. A oni wybierają kilka najbardziej interesujących sztuk i resztę beztrząsko wyrzucają na bezładną stertę.

- Widziałam akta sprawy Krzyśka Machnickiego - stwierdziła. - Była w nich mapa z topografią miejsca przerzutu. Przypomniałam sobie, że chyba dwa lata temu kupiłeś hale i cały ten teren przez podstawionego człowieka. Zażartowałeś, że musisz postąpić w ten sposób, bo i tak jesteśmy obszarnikami. Byłam obecna przy transakcji, miałam być twoim świadkiem, podpisałam nawet specjalne oświadczenie, żeby w razie czego nabywca nas nie oszukał. Postanowiłam odwiedzić to miejsce.

- Mam szpiega we własnym domu. - Paweł wyraźnie odczuł, jak ochłodził jego uczucia w stosunku do żony. - Ten teren od tamtego czasu był kilkakrotnie już sprzedany. Nigdy więcej nie odwiedzałem tego tak ciekawego miejsca. Co jedno z drugim ma wspólnego?

- Właśnie chcę o to zapytać. Nie pamiętam, jak brzmiało nazwisko pierwszego kupca. Jak można trafić do tego człowieka? Może on coś wie?

- O czym?

- O kolejnych nabywcach. Ostatni właściciel, którego nazwisko widnieje w dokumentach, zmarł, nie pozostawiając spadkobierców, status prawny całej posiadłości jest niejasny.

- Oszalałaś? O jaki ślad ci chodzi? Bawisz się w policjantów i złodziei? Zostaw tę sprawę, a przede wszystkim porzuć myśl o napisaniu tekstu. Bardzo cię o to proszę.

- Nie ma mowy - odparła niemal beztrąsko. - Mam już mnóstwo ciekawych informacji.

- Co za kurewski zawód! - Paweł wstał z kanapy i zaczął chodzić po pokoju. - Żeby żona deptała mężowi po piętach! Po cholere dałaś się wciągnąć w tę sprawę? To cię w ogóle nie powinno obchodzić.

- Ale obchodzi. Nie tylko z powodu artykułu, który mam napisać, ale przede wszystkim dlatego, że żał mi Krzyśka Machnickiego. Siedzi, chociaż jest niewinny. Chcę mu pomóc, zanim zostanie skazany przez sąd. Wtedy będzie trudniej. Grozi mu wysoki wyrok.

- Jeszcze raz proszę, jak mąż żonę, jak najbliższą mi osobę, zostaw tę sprawę. Gównu mnie to obchodzi, ale jeżeli zrobisz to, o co proszę, mogę nawet obiecać, że załatwię zwolnienie Machnickiego.

- Aż takie masz możliwości? Skoro można się przyczynić do czyjegoś uwolnienia, to i do zamknięcia, prawda? - Nie chciała wypowiedzieć tych słów, ale już padły.

Spojrzała na żonę z nienawiścią. Kiedyś znalazł dobermana, przygarnął go, odchuchał, może nawet pokochał, a pewnego dnia pies złapał go za nogę, wbił się zębami tak, że z trudem go można było oderwać. Rana goiła się długo. Oddał psa na wieś, gdzie był uwiązany przy budzie, obszczekiwany przez gromady wiejskich kundli, aż w końcu urwał się z łańcucha.

Teraz własna żona przypomina mu tego niewdzięcznego kundla. Czy ona sądzi, że trzyma jakieś atuty w garści? Przekona się, kto jest w tym domu panem.

Mika już żalowała tych paru zdań. Rozmowa nie szła po jej myśli. Znow się zagalopowała, karcila sama siebie, a jednocześnie odczuwała przerażenie, bo może nie będzie potrafiła się zatrzymać, znow swoim emocjonalnym zachowaniem doprowadzi do sytuacji nieodwracalnej. Matko Boska, pomóż mi zachować spokój i rozsądek, na przemian modliła się lub liczyła w duchu: Raz, dwa, trzy... i znowu od początku. Za wszelką cenę chciała tę rozmowę poprowadzić rozważnie, bez żadnej wpadki, bez poddawania się uczuciom.

- Czy uważasz, że mam z tym coś wspólnego? - zapytał spokojnie.

- Nie wiem.

, - Nie wiesz?! - Głos Pawła brzmiał tak metalicznie, że miała ochotę zakryć uszy, żeby go nie słyszeć. - Skoro tak, to znaczy, że mnie oskarżasz? Masz zamiar opluć mnie w mojej własnej gazecie? Oszalałaś czy co?

- To nie jest tylko twój tygodnik, ale...

- Niedługo - nie pozwolił jej dokończyć zdania - będzie tylko mój. Wtedy dam wam pismakom popalić, przekonacie się, gdzie raki zimują. Pozjadali wszystkie rozumy, cholera. Co ja miałem za pomysł, żeby ożenić się z dziennikarką? Chyba oszalałem. Zwykła kurwa okazywałaby więcej klasy.

- Posłuchaj, Paweł, nie kontynuujmy już tej rozmowy. Zostawmy ten temat. Jeżeli możesz w jakiś sposób przyczynić się do uwolnienia Krzyśka, zrób to.

Pragnęła już tylko jak najszybciej wyjść. Inaczej, myślała rozpaczliwie, dojdzie do katastrofy. Miała poczucie, że małżeństwo nieodwołalnie się rozpada, tak samo jak dziś w jej rękach pękła i w sekundę zamieniła się w zwykłą skorupę drogocenna filiżanka z bawarskiej porcelany. Gdyby ją nawet skleić, już i tak pozostanie bezużyteczna, niepotrzebna i brzydka od blizn po kleju.

- O nie, moja kochana! - Paweł zatrzymał Mikę w pół drogi i lekko popchnął ją na fotel, aby znow usiadła. - Dokończymy tę rozmowę. O co mnie podejrzewasz?



Milczała.

- O co, do cholery?!

- Nie wiem, Paweł... - Zastanowiła się, ale co tam, niech będzie, co ma być. Zapragnęła wywlec cały ten brud na światło dzienne. Już nie chciała niczego ukrywać. Znów wszystko postawi na jedną kartę, zaryzykuje. Przestała się bać, odczuwała tylko dreszcz emocji jak hazardzista przy zielonym stole. - Dobrze, zadam ci pytanie, które mnie dręczy od pewnego czasu. Skąd masz tyle pieniędzy, coraz więcej i więcej?

- Dziennikarskie śledztwo. - Zrobił ironiczny grymas. - Chyba wiesz, że prowadzę interesy?

- Tak, wiem.

- No więc o co chodzi?

Znów zamilkła. Ale nie, zdecydowała się, jednak powie.

- O nic, tyle że podobno nie byłeś w tym miejscu od dwóch lat, a ja pogadałam sobie z ochroniarzem. Najpierw nie chciał nic mówić, ale mu powiedziałam, że szukam męża w pilnej sprawie. Kazał mi się wylegitymować. Mam odpowiednie papiery. - Ironicznie się uśmiechnęła. - Udawałam, że jestem zazdrosna, podejrzewam cię o romans. Facet mi współczuł. Od słowa do słowa dowiedziałam się, że często tam bywasz z kilkoma twoimi kumplami. Zapytałam o transporty. Mnie wtedy tu nie ma, odpowiedział, ani nikogo z naszych ochroniarzy, bo wtedy przyjeżdża specjalnie wyszkolona ekipa, to są jakieś kosztowne cacka. Zapytałam go, kiedy znów ma nie przyjść do pracy. Żartem. Podał datę. Nie znałam godziny, ale z akt sprawy wiedziałam, że przerzutu dokonuje się w nocy, wtedy włącza się reflektory, które zwisają przy drzwiach jak filmowa dekoracja. Na krótki czas robi się jasno jak w dzień, trzeba przecież sprawdzić zawartość choć kilkunastu opakowań, błyskawicznie przenieść towar z wielkiego tira do furgonetek, dokładnie go zamaskować. Cała operacja, z zegarkiem w rękę, trwała kwadrans. Odbyla się pewnie i tym razem tak samo jak poprzednio. Może nawet schowałam się w tym samym miejscu co Krzysiek... Wiesz, o czym myślałam przez te piętnaście minut? O tym, jak bardzo czujecie się bezpieczni i bezkarni... Widziałam ciebie, twoich kumpli, wszystko. Mam numery i marki samochodów, nazwiska. Rozpoznałam nawet naszych znajomych Holendrów. Zrozumiałam, dlaczego nie zabierałeś mnie na spotkania z nimi, kiedy przez pewien czas co tydzień jeździliśmy do Amsterdamu. To nudne, kochanie, mówiłeś, za to zjemy wszyscy razem kolację. Następnego ranka pojechałam w to miejsce jeszcze raz. Miałam nadzieję, że znajdę jakieś ślady. Panowała tam cicha, sielska atmosfera. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że poprzedniego dnia na tym terenie dokonywano przestępstwa. Poczekałam, aż ochroniarz odejdzie na chwilę. Nie chciałam, żeby mnie widział i rozpoznał. Znalazłam kolorowe, srebrne kawałki cienkiego szkła. Zrozumiałam, że ukryliście narkotyki w bombkach. Chciało mi się śmiać. Pod koniec maja...

Spojrzała na Pawła. Siedział bez ruchu, blady jak ściana. Wszystko przepadło, pomyślała, to już koniec.

- Nikt nigdy o niczym się nie dowie - dodała - ale Krzysiek musi wyjść na wolność. Taki jest mój warunek, wolę w tej sprawie nie liczyć tylko na twoją dobrą wolę.

Podniósł głowę i popatrzył na nią jak na nowo poznaną osobę, która budzi niechęć od pierwszego wejrzenia.

- Posłuchaj, moja kochana żono; nikt, nawet ty, nie będzie mi groził ani stawiał warunków. Nie pozwolę na to. Zanim zdążysz publicznie sprzedać swoje rewelacje, ja sprzedam równie dobrą, a może nawet ciekawszą. Zeznanie Mariana Leskiego.

- Jak to? - spytała kompletnie zaskoczona, a po sekundzie dodała z nutką triumfu w głosie: - Zniszczyłam je.

- Mam swoją taśmę. Przez lata ukrywałaś nazwisko mordercy. Kryłaś go z premedytacją. Znów chcesz trafić do paki?

Usłyszała w jego tonie groźbę, której śmiertelnie się obawiała. Ogarnęła ją panika, poczuła szum w uszach, zrobiło się jej niedobrze. Mimo wszystko zapytała całkiem opanowanym głosem:

- Szperałeś w moich rzeczach?

- Oczywiście, jako mąż i żona musimy przecież wiedzieć o sobie wszystko. Na wszelki wypadek, choćby taki jak dzisiejszy, przypadkowego podpalenia, przegrałem taśmę, ale nie trzymam jej w szafie, w pudełku po czekoladkach - dodał złośliwie. - Jest dobrze zabezpieczona.

- Od dawna o tym wiesz? - W oczach Miki błysnęły łzy.

- Od początku, od kiedy przyniosłaś taśmę do domu. Wiedziałem nawet o wizytach Leskiego u pułkownika. Wiele wiem, więcej niż możesz się spodziewać. Znam to miasto jak własną kieszeń. Przede mną trudno utrzymać tajemnicę.

- A więc to ty byłeś tym młodym geszefciarzem, o którym wspomniał pułkownik. Tak naprawdę dopiero dziś przyszło mi to do głowy - powiedziała z namysłem.

- Ja albo i nie ja. To nie ma żadnego znaczenia.

- Boże! - Mika ukryła twarz w dłoniach. - Jaka byłam głupia!

- To ja byłem głupi - powiedział Paweł, który całkowicie odzyskał panowanie nad sobą. - Głupi, bo się z tobą ożeniłem. I teraz spotyka mnie za to wszystko nagroda. Moja własna żona wygaduje bzdury wyssane z palca. Zlitowałem się nad tobą. Myślałem: Młoda jest, ma czas nauczyć się życia. Podobało mi się, że zerwałaś z tym swoim oszalałym środowiskiem, szłaś własną drogą. Naiwnie myślałem, że nabrałaś rozumu. Ale teraz wiem, że nigdy nie byłaś po mojej stronie. Nigdy, chociaż jestem twoim mężem.

## Rozdział XXII

- Pojutrze odbędzie się pogrzeb matki, czeka mnie tysiąc spraw do załatwienia. Mam też chyba prawo do żałoby i odrobiny spokoju, a wy - popatrzył oskarżycielsko na sekretarkę i swojego zastępcę - wzywacie mnie w trybie pilnym do redakcji. Co się, u diabła, stało? Czy znów któryś z dziennikarzy wplątał się w jakąś aferę, a ja mam mu ratować dupę?

Wyglądał fatalnie. Oczy miał błyszczące i podbite ciemnymi kołami, tak jakby długo nie spał albo płakał, twarz wymizerowaną, na czole kropelki potu. Dłonie mu drżały. Był napięty jak struna, która za jednym dotknięciem może pęknąć. Rostocka dużo dałaby za to, żeby oszczędzić mu tej informacji. Biedny chłopak, myślała, wszystko się na niego zważyło, ale tak to właśnie jest. Wcześniej czy później każdy nabywa wiedzy określanej życiowym doświadczeniem, która składa się z samych najbardziej parszywych spraw. Staś Paprocki oczywiście milczał, jak to mężczyzna - wolał, aby trudne zadanie wzięła na siebie kobieta. Westchnęła i zaproponowała:

- Chodźmy do pańskiego gabinetu.

Gdy we troje weszli, starannie zamknęła drzwi, choć w redakcji było prawie całkiem pusto. Niemal wszyscy poszli na zebranie z Pawłem Chrząszczem, które miało się odbyć w sali konferencyjnej najelegantszego hotelu w Warszawie. Błyskawicznie wyrzuciła z siebie tę informację. Marek usiadł i zapalił papierosa.

- Siadajcie - powiedział po długiej chwili milczenia.

- Może zrobię kawę? - Rostocka chciała się taktownie usunąć.

- Powiedziałem: siadajcie - powtórzył.

Usiedli, wpatrując się w Marka z natężoną uwagą.

- Czy Mika też poszła na to zebranie?

- Nie, siedzi u siebie w gabinecie. Czyta kolumny.

- A więc nie ma tam nikogo z kierownictwa redakcji. - Wypuścił kółko papierosowego dymu, z uwagą przyglądając się, jak rozprasza się w powietrzu.

Powoli odzyskiwał panowanie nad sobą. Rostocka niemal fizycznie odczuwała, jak powraca do niego spokój.

- Ten skurwiel - powiedziała śmielszym już tonem - wczoraj rozesłał zaproszenia, ze złotym szlaczkiem jak na bal.

- Wysłałem tam Zuzię - wtrącił Paprocki. - Zda nam relację. Rostocka wyciągnęła z kieszeni zakietu karton czerpanego papieru i na głos odczytała: „Paweł Chrząszcz, współwłaściciel «Startu», zaprasza na dyskusję «Co nas czeka» dotyczącą przyszłości tygodnika i perspektyw jego rozwoju. Moderatorem będzie jeden z najbardziej znanych dziennikarzy «Startu», Andrzej Machnicki”.

- Para, kurwa, jak z „Wesela” - wybąkał Staś, który ze zdenerwowania stracił zdolność do formułowania celnych ocen.

- A ty dostałeś zaproszenie?

- Tak, wszyscy dostali. Poza tobą.

- Nawet ja - dodała Rostocka. Marek zdecydował natychmiast.

- Idziemy. Skorzystam, jeśli pozwolicie, z waszych zaproszeń. Proszę wziąć dyktafon - zwrócił się do sekretarki - a także duży blok do pisania. Będzie pani protokołować wszystko, co tam się będzie działo.

- Jasne - odparła Rostocka, od razu podniesiona na duchu.

- A co z Miką? - zapytał Staś. - Zabieramy ją ze sobą?

- Nie, ale poinformuj ją, gdzie jedziemy... Albo nie, ja do niej pójde, a ty odpalaj auto. - Marek rzucił Stasiowi kluczyki. - Zaraz przyjdę.

Szedł krótkim korytarzem do gabinetu Miki, wdychał redakcyjną duchotę i czuł, jak splywa na niego ukojenie. „Jeszcze się będziesz z tego śmiał” - gdzieś z głębi duszy dotarły

do Marka słowa matki. „Dobrze ci mówić, mamo” - odpowiedział jej, nie zdając sobie sprawy, że mruczy pod nosem.

Przystanął, zapalił kolejnego papierosa. Spojrzał na zegarek. Pieprzone zebranie powinno już trwać od siedmiu minut, ale dobrze wiedział, że nie rozpocznie się punktualnie. Zanim zdołają się zebrać do kupy, minie co najmniej kwadrans, tak zawsze jest z dziennikarzami. Jeden kończy kawę, inny anegdotę, jeszcze inny musi przeczytać gazetę. Do hotelu nie jest daleko, dziesięć minut jazdy bez korków. Zdaży. Nie zależało mu, żeby zjawić się na sam początek zebrania, chciał przyjść w jego trakcie.

Mika siedziała przy biurku, podparta łokciami, wpatrując się w ścianę. Była zaskoczona jego nagłym pojawieniem się, ale i ucieszona.

- Dobrze, że jesteś - powiedziała. Podeszła i przytuliła się do niego.

- Współczuję ci, Marek.

Uściskał ją i z powrotem posadził na fotelu.

- Czy wiesz, o co mu chodzi? - zapytał krótko, bez zbędnych wyjaśnień.

- Paweł chce przejąć „Start”, zostać jedynym właścicielem. W takiej sytuacji Macho zostałby pewnie naczelnym.

- Znasz jakieś szczegóły? Wiesz, co dokładnie chce zrobić?

- Nie mam pojęcia. Rozstajemy się, wracam do swojego mieszkania. - Uśmiechnęła się smutno i dodała: - Wiem tylko, że jest cholernie zdeterminowany. Uważaj, Marek, to niebezpieczny przeciwnik.

- A co z zespołem? Jak ludzie reagują na to wszystko? - Spojrzał na zegarek. Musi się już śpieszyć. Potem pogada z nią o nieszczęsnym małżeństwie. Nabrał już pewności, że życie we dwoje nie może się udać. Wolał cynizm od ciągłej udręki. Nie pozwalał sobie na tęsknotę do Anny, a zarazem cierpiał nad tym, że sam sobie zakazał tej miłości. Brakowało mu nieuchwytnego ducha ich związku, który wyposażał go w radość i siłę. Ale widać, działało to tylko w jedną stronę, a jako matematyk dobrze wiedział, że takie równania nie mają sensu.

Mika nerwowo przerzucała puste kartki, jakby chciała je policzyć.

- Słyszałam, że ma obiecać złote góry, podwyżki płac, samochody służbowe, nową siedzibę. Jedni w to wierzą, inni poszli z ciekawości.

Już był w drzwiach. Pożegnał się i szybko zbiegł po schodach. Do Miki dobiegł jeszcze wyraźnie brzmiący w opustoszałych fabrycznych murach pogłos jego kroków. Po chwili znalazła się w dźwięczącej ciszy. Nie żałowała rozpadu małżeństwa, od dawna przeczuwała, że dojdzie do katastrofy. Po raz kolejny w życiu pogrążyła się jednak w bolesnym przeżywaniu wstydu. Nienawidziła tego uczucia, które spadało na nią w kryzysowych momentach, bo nie chcąc się oskarżać, musiała przyznawać sama przed sobą, że postąpiła źle, głupio, bez sensu.

Wyszła za mąż za Pawła, ponieważ uwiodły ją jego pieniądze. Stała przy jego boku, przymykając oczy na to, kim był, bo miała ochotę pławić się w komforcie i luksusie. Pragnęła ich tak bardzo, że kilka bezcennych lat, których utraty nie da się przeliczyć na żaden finansowy walor, spędziła pod jednym dachem w pakcie z wrogiem. Trzymał ją w szachu, była asem ukrytym w rękawie, którym mógł się posłużyć w dogodnej dla siebie chwili. Wiedział o niej wszystko i niby przenikliwy detektyw przewidywał każde jej posunięcie. Ani jednego kroku nie zrobiła bez jego wiedzy. Teraz była pewna, że wiedział nawet o nocy z Michaeliem. Ukrył i tę informację, licząc na to, że kiedyś mu się przyda. I znów przypłynęła do niej kolejna fala dojmującego wstydu - przecież wcale nie różniła się od męża. Nie zniszczyła taśmy z nagraniem Leskiego, bo przez lata chowała ją w zanadrzu jako potencjalne narzędzie odwetu. Nagranie odkrywało fakt, że pułkownik uznawał się za ojca Marcina. To była broń, którą mogłaby się posłużyć przeciw Annie, gdyby tylko chciała. Z dawnej przyjaciółki uczyniła zakładniczkę własnej pychy i małoduszności. Postąpiła jak pilna uczennica pułkownika. W każdym, kto się z nim zetknął, pomyślała, potrafił obudzić

potwora. Ale nie chciała go oskarżać, aby w ten sposób szukać usprawiedliwienia. Mogła, ale nie potrafiła zachować się inaczej. Z tego powodu przepelniał ją cholerny wstyd.

Najgorsze jednak było to, że zawiodła ślepo ufającego jej Mariana. Dopuściła, by jego spowiedź znalazła się w posiadaniu kogoś, kogo nigdy by nie wybrał na powiernika.

- Boże, wybacz mi - powiedziała na głos i ukryła twarz w dłoniach. Nie płakała, ale czuła, że po raz kolejny zatrząskują się za nią ciężkie metalowe drzwi. Zabrnęła w sytuację bez wyjścia. Wszystko przepadło. Nie miała pretensji do losu, zasłużyła sobie na to, co ją spotyka. Wstała z fotela, rozprostowała kości i metodycznie spakowała wszystkie swoje rzeczy. To miejsce, pomyślała o redakcji, było jedynym, gdzie mogłaby jeszcze odzyskać poczucie własnej godności, ale nie może tu zostać. Zamknęła drzwi gabinetu, a klucz położyła na biurku sekretarki.

\*

Wymuskane, szerokie hotelowe schody prowadziły do sali konferencyjnej. Zatrzymali się pod drzwiami. Do ich uszu dobiegły cichnące oklaski, potem śmiechy.

- Dobrze się bawią - szepnął Staś. - A będą jeszcze lepiej - dodał, wskazując stojące naprzeciwko drzwi bogato zastawione długie stoły. Bar ugiął się od butelek.

- Wchodzimy - rzucił Marek i specjalnie głośno nacisnął klamkę. Siedzący zwrócili głowy w jedną stronę. Przez salę przeleciał szmer. Ktoś zaczął klaskać, inni się przyłączyli. Rozległy się gromkie brawa. Chrząszcz i Macho wymienili niezadowolone spojrzenia.

- Zapraszamy do prezydium, panie redaktorze - powiedział błyskawicznie Chrząszcz i dał znak hotelowemu boyowi, aby dostawił krzesło.

- Dziękuję bardzo za powitanie, ale jednak wpadłem bez zaproszenia, więc nie chciałbym zakłócać przebiegu spotkania - głośno i wyraźnie odparł Marek. Jego wysoka, zgrabna sylwetka górowała nad siedzącymi. - Pozwolisz, że z boku posłucham, o czym mówicie, dotyczy to przecież tygodnika, w którym jestem redaktorem naczelnym i posiadam status głównego udziałowca.

Dał znak Rostockiej i Stasiowi, żeby zajęli miejsca, sam stanął przy drzwiach, opierając się o framugę. Chciał mieć dobrą pozycję startową, choć jeszcze nie miał jasności, do czego będzie mu potrzebna. Wyluzował, teraz tamci byli w kłopotcie. Ogarnęła go nagła ochota, żeby bawić się tą sytuacją. Kilkadziesiąt godzin temu przeżywał prawdziwy dramat; to, co tu się działo, to zaledwie kiepska farsa. Na sali, po początkowym zamieszaniu i ożywieniu, zapadło głuche, przedłużające się milczenie. Tracą punkty, pomyślał z satysfakcją.

Macho odchrząknął i popukał w mikrofon.

- Wobec tego kontynuujemy, panie prezesie - zwrócił się do Chrząszcza, który natychmiast podjął wątek, w miejscu gdzie przerwał chwilę wcześniej. Nie szło mu teraz zbyt dobrze. Mylił się, jękał.

Zbił mnie, skurwiel, z pantalony, myślał mściwie o Marku, jeszcze za to beknie. Treść przemówienia Chrząszcza sprowadzała się do obietnic, ale zgromadzeni mogli wyłapać zakamuflowane groźby podważające stosunki własnościowe, przepowiednie finansowej klęski, a nawet odczytać przewidywania dotyczące rychłego upadku pisma. O ile, oczywiście, on nie zdecyduje się przejąć na siebie roli męża opatrznościowego. Skończył, spodziewał się reakcji ze strony sali, ale obecni wyglądali na nieporuszonych. Nikt nie złożył rąk do oklasków. Kukły pierdolone, zaklął w duchu. Jeszcze raz się przekonał, że nie mylił się w ocenie dziennikarzy. Gardłują, gadają, mądrzą się w sprawach, które ich nie dotyczą, ale jak trzeba zrobić coś dla siebie, bezradnie się przyglądają. Cisza się przedłużała. Dyskretnie trącił Andrzeja i spojrział na zegarek. Do niespodzianki, którą przygotował, zostało jeszcze kilkanaście minut.

- Czy są jakieś pytania? Na pewno chcielibyście poznać więcej konkretów - zachęcał Macho.

Odpowiedziało mu głucho milczenie. Nerwowo zastanawiał się, jak zatrzymać zebranych w sali. Dobrze wiedział, o co chodziło Pawłowi. Jeśli zebrani przedwcześnie wyjdą, bomba, którą chowali w zanadrzu, okaże się zwykłym fajerwerkiem. Znał swoich kolegów. Znudzeni nie będą czekać na żaden znak, że to koniec posiedzenia, ale zaczną wstawać, szurać krzesłami, gremialnie wychodzić, głośno gadać, bez cienia skrępowania dzieląc się złośliwymi uwagami na temat całego wydarzenia. Potem zatrzymają się w holu, napelnia kieliszki, zajmą się plotkami i komentarzami, a przede wszystkim skoncentrują się na tym, aby w żaden sposób nie okazać, że spotkanie zrobiło na nich jakiegokolwiek wrażenie. Żartom i dowcipom nie będzie końca, będą kpili z niego, z Chrzyszczem, z bufetu, hotelu, miasta i kraju. Marek, który był taki sam jak oni, wywodził się z tego samego gniazda, znów nimi zawładnie.

- Mam konkretne pytanie - rozległ się głośny, dość piskliwy głos.
- Proszę bardzo! - zawołał Macho z ulgą, czując, że nadchodzi ratunek.
- Chciałam zapytać, kiedy będą podwyżki.

Przez salę przeleciał chichot. Pytanie zadała Basia Ochocka, drobna blondynka o twarzy zdziwionego dziecka, z mnóstwem drobnych warkoczyków na głowie. Jej wygląd wprowadzał w błąd nawet najlepszych fizjonomistów, a teksty powinny zostać poddane psychoanalizie ze względu na zawarte w nich porcje nieubłaganej, złośliwej logiki ich autorki. A niech tam, pomyślał, dobre i to. Poprosił Chrzyszczem o odpowiedź. Miała trwać odpowiednio długo. Jednak po przydługim, pełnym frazesów wstępie Basia znów zapytała słodkim tonem:

- No więc kiedy, panie prezesie?

Odpowiedział jej śmiech. Chrzyszcz speszył się i zamilkł na chwilę. Wtedy odezwał się Marek:

- Jeśli można, i ja chciałbym zadać kilka pytań panu prezesowi Chrzyszczowi.
- Oczywiście, myślę, że pan prezes odpowie na każdą wątpliwość. - Macho zachowywał się jak totumfacki.
- Nie mam wątpliwości - odparł Marek spokojnym, lekko żartobliwym tonem. - Mam absolutną pewność co do tego, o co chcę zapytać.

Dal się słyszeć lekki aplauz. Rostocka odetchnęła, bez wątpienia sala była po stronie naczelnego. Odchrząknął i miał zamiar mówić dalej, jednak przy prezydyalnym stole powstało zamieszanie. Mężczyzna z obsługi poszeptał przez chwilę z Chrzyszczem, który zaraz uderzył dłonią w stół. Twarz mu się wypogodziła.

- Serdecznie przepraszam, panie redaktorze, odłożmy pańskie wystąpienie na później - powiedział z wyszukaną uprzejmością. - Okazja jest bowiem wyjątkowa. Chciałbym państwu zaprezentować pewną niespodziankę.

Marek się zaniepokoił. Chrzyszcz zbyt wyraźnie odzyskał rezon. Drzwi od strony prezydium się otworzyły i utykając, wszedł Krzysztof Machnicki. Odezwały się huraganowe brawa. Obecni zaczęli się przekrzykiwać, biegli z powitaniem. Jeden do zera dla Chrzyszczem, pomyślał Marek. Nie miał jednak innego wyjścia, jak ruszyć w stronę Krzysztofa i wraz z innymi pogratulować mu uwolnienia. Bez względu na to, z jakich powodów znalazł się na wolności, dobrze, że jest wśród nich. Absurdalna sytuacja. Skurwiel Chrzyszcz gra dobroczyńcę.

W tle kłębiącego się wokół tłumu Marek zauważył żonę Krzyśka, trzymającą w dłoniach olbrzymi, pięknie przybrany bukiet kwiatów. Właśnie w dziękczynnym geście wręczała wiązanek Chrzyszczowi, który skromnie się kłaniał. Pieniądze za kwiaty prezes zapisał na rachunek firmy. Jednak łapówki za uwolnienie Krzysztofa oraz sumy na ciągle rosnące finansowe potrzeby rodziny Machnickich wyciągał z własnej kieszeni. Miał szeroki gest, nie skąpił na te wydatki. W porę wypłacone pieniądze potrafią zmiękczyć najtwardsze charaktery - tego był absolutnie pewien.

## Rozdział XXIII

Poddał się. Od trzech dni nie pokazywał się w redakcji. Już wcześniej z trudem znosił ciągłą obecność Chrzęszcza, jego wtrącanie się do wszystkiego, gdy jednak prezes pojawił się na kolegium, uznał, że ma absolutnie dość. Zabrał swoje rzeczy z gabinetu, opuścił miejsce pracy. Zaraz po nim spakowała się Rostocka. Nie zadawał sobie pytania, czy był to odpowiedni moment na ewakuację. I tak nieuchronnie musiała się zdarzyć. Był realistą. Wiedział, że nie będzie w stanie zebrać dwustu tysięcy dolarów, żeby w ten sposób pozbyć się Chrzęszcza. Musiał zaakceptować swoją porażkę.

Zbliżało się południe. Wyłączył radio, chciał oszczędzić sobie wysłuchania hejnału mariackiego, którego dźwięk od dzieciństwa odczuwał jako świdrujący uszy. Nie miał pojęcia, że dzień może być tak nieprawdopodobnie długi. Przed nim jeszcze co najmniej dziesięć godzin do zabicia, zanim znów będzie mógł położyć się spać. Nie miał żadnego pomysłu, czym wypełnić ciągnące się niepotrzebnie minuty. Usiłował przypomnieć sobie, kiedy ostatnio aż tak się nudził. Po namyśle doszedł do wniosku, że przy lekturze okrzyczanej polskiej powieści, którą próbował przeczytać z obowiązku. Ziewnął szeroko. Uświadomił sobie, że nie jadł jeszcze śniadania.

Poszedł do kuchni, ciesząc się z czekającego go zajęcia. Przygotował kawę i kanapki. Na kromkach cienko pokrojonego chleba starannie kładł wędlinę i ser, plaster pomidora, listek sałaty, a na końcu każdej piramidy postawił dużą kropkę majonezu. Usiadł przy stole, jadł powoli, celebrował tę czynność jak nigdy, bo zazwyczaj przełykał coś w biegu. Pozmywał. Spojrzał na zegarek. Minęło tylko trzydzieści pięć minut. Co inni ludzie robią z czasem, którego jest tak cholernie, niewyobrażalnie dużo?

Tak czy inaczej powinien trzymać rękę na pulsie wydarzeń, więc postanowił przejrzeć gazety, ale szybko zrezygnował. O 12.45, siedząc w ogródku, otworzył piwo, o 13.10 następne. Zostanę alkoholikiem, pomyślał, to też jest jakieś wyjście z sytuacji. Tylko czy będę miał za co pić?

Znów powróciły myśli, które skutecznie od rana udawało mu się odpędzić. Był kompletnym bankrutem, to nieważne, ale przegrał z tym sukinsynem Chrzęszczem. Wierzył w koło złego i dobrego, w elementarną sprawiedliwość, która karze i nagradza. Wdał się w walkę z systemem tylko z powodu wiary w tę prostą zależność, ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że czarne przegrywają, białe wygrywają. Po dziecinnemu ufał w powiedzenie „Oliwa zawsze na wierzch wypływa”. W pewnym sensie tak się stało, ale paradoksalnie znalazł się w gronie zwycięzców tylko po to, żeby stracić własną pozycję w potyczce ze zwykłym bandytą umoczoną po uszy w gównie. W tej rozgrywce jednak nie liczyły się moralne racje, tylko pieniądze, a wszystkie aktywa były po stronie tamtego sukinsyna.

Poprzedniego dnia odwiedziła go w Podkowie znaczna część zespołu. Postanowili podtrzymać go na duchu, zaproponowali, że będą strajkować. Chciało mu się śmiać - co znaczy protest wobec braku gotówki? Nie odebrał swoim ludziom nadziei, kazał im pilnować interesu. Jeszcze do was wrócę, zobaczycie. Kiedy to mówił, czuł dla siebie pogardę, ponieważ obiecywał coś, czego nigdy nie będzie mógł spełnić. Cuda się nie zdarzają. Marzył o własnej gazecie jak o najbardziej pożądanej kobiecie, ale kiedy już ją posiadał, stracił zdobycz przez własną głupotę, pychę, nieostrożność. Odczuwał fizyczną tęsknotę do zapachu świeżo wydrukowanych kolumn, redakcyjnego rejwachu, do mrówczej pracy nad tekstami. Wszystko, co robił, miało sens, a w jednej chwili, wskutek jednego błędu, któremu nie umiał zapobiec, zmieniło się w kupę bezwartościowego szajsu.

Po północy, kiedy prawie wszyscy już odjechali, został w ogrodzie tylko z Paprockimi.

- Czy mamy jakąś szansę? - zapytał Staś.

Byli jego przyjaciółmi, nie mógł ich zwodzić obietnicami ani okłamywać.

- Żadnej. Za dwa tygodnie jedynym właścicielem „Startu” będzie Chrzęszcz.

- A Macho dostanie nominację na naczelnego. - Zuzia parsknęła ze złością. - Ja też nie chcę tam pracować.

- To chyba oczywiste - poparł ją Staś. - Ja też nie. Mika z pewnością także. Będzie musiał poszukać sobie nowych ludzi, a Chrząszcz nawet nowej żony.

- Może ja się u nich zatrudnię? Mam do spłacenia długi i kredyty, które wzięłem na własne nazwisko - stwierdził ironicznie Marek.

- Dużo tego jest? - zapytał Staś z niepokojem.

- Od cholery. Ale tak naprawdę potrzebuję niewiele. Zaledwie dwustu tysięcy dolarów. Wtedy uratowałbym „Start”. Oddałbym Chrząszczowi to, co włożył w pismo, ale nie mam.

- Pociesz się, że nie wiadomo, czy teraz chciałby wziąć twoje pieniądze.

- Musiałby, bo tak jest skonstruowana umowa. Gdybym w ciągu trzydziestu dni oddał mu dług, nie miałby żadnych praw do tytułu. Niespecjalnie dbał w kontrakcie o zabezpieczenia dla siebie, sporządziliśmy go błyskawicznie i na kolanie. Wiedział, że w razie czego nie będę w stanie zwrócić takiej kasy.

- Marek, napiszmy wspólny tekst, w którym wyłożymy całą prawdę o Chrząszczu, o jego przekrętach, związkach z narkotykami. - Staś się zapalił do pomysłu. - Opublikujemy to w „Tygodniku”. Oddamy perłę w ręce konkurencji, ale trudno. Skompromitujemy go, nie damy szans.

- Idea jest znakomita... - Marek zawiesił głos. - Tyle że pozbawiona sensu. Jak udowodnisz Chrząszczowi udział w aferach narkotykowych i innych szwindlach? Iks nie puści pary z gęby, bo się będzie bał, już raz dostał nauczkę. Bracia nie będą przeciw niemu świadczyć, bo zostali kupieni. Pozostaje Mika, żona, z którą się rozstał, i my dwaj wysadzeni przez niego z siodła. Kto nam uwierzy, Stasiu? Kto w ogóle weźmie pod uwagę nasze słowa? Powiedz szczerze, wydrukowałbyś taki artykuł we własnej gazecie? Oczywiście, że nie. Same pomówienia, żadnych faktów, żadnych dowodów.

- Wobec tego zimna dupa.

- Lodowata - dodała jego żona.

Marek uśmiechnął się. Dobrze, że byli przy nim. Nawet jak zawodzą kobiety (pomyślał z goryczą o Annie), zostają przyjaciele.

- Będę musiał sprzedać dom i cały ten teren. - Zakreślił ręką ogród. - Pozwoli mi to zatkać gęby wierzycielom, ale dla Chrząszcza nie wystarczy. W najlepszym razie dostanę za wszystko trzydzieści tysięcy dolarów. Moja siostra zaś nie tylko nie otrzyma udziału w spadku po matce, ale i pieniędzy, które jestem jej winien. Mam nadzieję, że nie wiąże z tą sumą specjalnych planów.

- Jezus, Maria! - W oczach Zuzi pojawiły się łzy. - Przecież to wasz dom od trzech pokoleń.

- Czterech, Zuziu, czterech. Mój pradziadek kupił go w 1900 roku.

- Tyle przetrwał, a teraz...

- A teraz zamieszka w nim Chrząszcz. - Marek wykrzywił się złośliwie. - Żartowałem. Wezmę pracę w jakiejś gazecie, wrócę do mojej kawalerki. Nie ma o czym mówić. Nie muszę żyć w domu z ogrodem, wielu ludzi nie ma nawet mieszkania. Trudno mi się tylko pogodzić ze stratą „Startu”. Mam nadzieję, że potrafię ją znieść z redaktorską godnością. Napijecie się jeszcze? - Poszedł po następną butelkę. Wykorzystał ten pretekst, aby uciec im z pola widzenia, bo czuł, że zbiera mu się na łzy jak małemu chłopcu. Tyle wysiłku, starań i wszystko na próżno.

Godzina 14.40, czwarte piwo. Mógłbym prowadzić pamiętnik, pomyślał. Muszę wymyślić coś dla siebie, ale nie teraz, nie dziś. Długo przyglądał się piwonii rozkwitłej niemal pod samym tarasem. Pszczoły kręciły się wokół niej pracowicie. Podleciała sroka, przepędziła wróbla ze zwisającym w dziobie kawałkiem dżdżownicy. Nawet ten piękny ogród był terenem walki. Marek pociągnął łyk piwa z butelki. W ustach czuł gorycz chmielu i lekki



niesmak. Odbiło mu się. O tej porze w redakcji zazwyczaj panuje największy ruch. Dziennikarze gadają, kręcą się, dowcipkują, piją kawę. Żaden zakład pracy nie wytrzymałby takiego stylu pracy, ale redakcja rządzi się innymi regułami. Obowiązują w niej stany alertu, gdy taki czas nastąpi, cała grupa wyłącza się ze zwyczajnego funkcjonowania: towarzyskiego, rodzinnego, każdego, który nie ma związku z pracą. Można wówczas bezkarnie opieprzyć kolegę, rozpychać się łokciami, godzinami zajmować telefon. Alert się kończy - wraca się do zwykłego miejsca w szeregu. Tak było ze wszystkimi poza nim. On cały czas czuł napięcie, nie odpuszczał, nie dawał sobie odetchnąć. I co? Gównu z tego wyszło. Otworzył następne piwo. Upiję się jak bąk, pomyślał z nagłym rozbawieniem, patrząc na ociężałego owada, lecącego gdzieś bez celu. Odpowiada mi ogrodowe życie, skonstatował. Mam tu swoich kumpli. Gdybym mógł tu urządzić redakcję, komary rzuciłbym na felieton, świerszcze pchnąłbym na komentarz, motyle do działu mody... Drgnął, bo dobiegł go znajomy głos. Ścieżką z drugiej strony domu nadchodziła Irena. Ucieszył się z jej wizyty.

- Czego się napijesz? - zapytał z entuzjazmem. Wstał i lekko się zatoczył. - Cholernie dziś gorąco - rzucił, aby usprawiedliwić chwilową utratę równowagi.

- Białe wino z lodem. - Kątem oka zlustrowała sytuację. Wokół fotela w równym rzędzie stało pięć pustych butelek po piwie, nie miała zamiaru jednak robić żadnych uwag.

- A może szampana? - zaproponował. - Prawdziwy, nie żaden gazowany ruski sikacz, tylko Dom Perignon. Dostałem od Chrzęszcza na Gwiazdkę. Trzymałem go na specjalną okazję, ale nie ma co czekać. Dziś zrobmy sobie święto. Co ty na to? Bo ja chętnie się napiję. Uczczę w ten sposób kompletną klapę, której jestem bohaterem. - Wypiął pierś do przodu.

- Jasne, niech będzie szampan.

- Jasne czy ciemne, ciemne czy jasne - podśpiewywał pod nosem. Dobrze, że przyszła, myślał. Zostanie co najmniej godzinę, a może nawet dłużej. Czas szybciej przeleci, coś się będzie działo. Jutro, obiecał sobie, się pozbieram.

Wyglądała świetnie. Obcisłe dzinsy podkreślały jej szczupłe, niespecjalnie długie, ale proporcjonalne do sylwetki nogi, maleńki podkoszulek uwydatniał talię i biust. Włosy miała spięte w koński ogon, była niemal bez makijażu. Dobrze wiedział, co to oznacza: kilka długich minut przed lustrem, z pędzelkami, szczoteczkami, tuszami i pudrami. Wychodziła z takiego seansu piękniejsza, ale bez śladu szminki. Inaczej niż matka, uśmiechnął się w duchu, której makijaż błyszczał jak neon. Lubił kobiety zadbane i umalowane, a pociąganie ust szminką uznawał za seksowne.

Podobała mu się. Swą wizytą poprawiała mu samopoczucie, ale nie budziła w nim żądzy ani nawet chęci wyciągnięcia ręki po to, aby ją przytulić. Jakże byłaby urażona, gdyby jej to powiedział. Zyskałby śmiertelnego wroga. A przecież jej nie przekreślał, ustawiał się tylko w pozycji gracza defensywnego, oczekującego na akcję przeciwnika. Gdyby wykonała gest w jego stronę, kto wie, jak by się to skończyło?

Myśli Ireny najwyraźniej jednak błędziły w innych rejonach.

- Wyrzuciłam Macho - oznajmiła, gdy rozlał szampana do kieliszków.

- Nie przesadzaj z lojalnością wobec mnie - zareagował żartobliwie. - Jest urodziwy i pełen wdzięku, a jego jedyna wada, czyli wrodzona podejrzliwość, ostatnio też przestała dokuczać otoczeniu.

- Właśnie. - Podeszła do stolika, podniosła oszroniony kieliszek do góry. - Nasze kawalerskie, Marek. Nie mamy szczęścia do partnerów. - Chrząknęła nieco zakłopotana, bo bała się, czy nie zabrzmi to jak aluzja do ich dawnego związku. Zawartość kieliszka wypięła duszkiem. - Sądzisz, że mogę być z kimś, kogo Chrzęszcz prowadzi na pasku jak wiernego kundla? Nie masz pojęcia, ile Macho się dawniej na niego nagadał, aż czasami to ja - popukała się po chudym, ale apetycznym, lekko brązowym dekolcie - powstrzymywałam go, żeby się za daleko nie zapędzał w oskarżeniach. A teraz rzygać się chce, leci na każde wezwanie. W czasie ostatnich kilku tygodni ten skurwiel dzwonił do niego bez przerwy.

Macho to, Macho tamto. Ależ tak, panie prezesie, oczywiście, panie prezesie - udatnie przedrzeźniała dialog. - Mam coś dla ciebie - powiedziała, gdy przestał się śmiać z jej małego przedstawienia. Potrafiła być fantastyczna, jak to dobrze, że kiedyś ją kochał.

Wyjęła z torebki złożone kartki papieru i podała mu je. Przypominało to gest matki, gdy wręczała mu cyrograf w sprawie „Startu”. Odczuł nagłą przykrość, zawiódł także i ją. Odeszła w samą porę, aby nie być świadkiem jego klęski, którą i tak natychmiast przekułaby w sukces. Bóg jeden wie, westchnął w duchu, jak bardzo mi jej brakuje. Ale przecież zostawiła mu słowa: „Jeszcze będziesz się z tego śmiał, synku”. Może jutro, pomyślał. Dziś nie dam rady.

- Przyniosłam kilka kartek brudnopisu, niestety wszystkich nie znalazłam. Są tam jego obserwacje dotyczące przerzutu narkotyków. Sporo pisze o jakimś Iksie. Może chodzi o Chrzęszcza? Sądziłam, że do czegoś może ci się przydać taki materiał, tym bardziej że spisał go własną ręką.

Przejrzał kartki, które z góry uznał za bezużyteczne.

- Grzebałaś w jego rzeczach? - Jego głos zabrzmiał oskarżycielsko.

- Oczywiście, że nie. Znalazłam te kartki przy sprzątanii gabinetu, zaraz potem, jak się wyprowadził. Zrobił tam nieludzki burdel, wszędzie pety i plamy. - Marek odczuł satysfakcję, że zachowanie Macho zostało poddane krytyce. - Sądziłam, że bardziej się ucieszysz.

- Własnoręcznie sporządzone notatki, oczywiście, mogą stanowić dowód w sprawie, tyle że ja jej nie wytoczę. A poza tym Macho może stwierdzić, że to są notatki do jego powieści. Znajdzie stu świadków, którzy zeznają, że miał zamiar napisać kryminał. Wszędzie o tym trąbił.

- Pod moją troskliwą opieką już go nawet zaczął.

- No widzisz.

- Co widzę, do cholery?! - wściekła się. - Widzę kurestwo, któremu wszyscy bezradnie się przyglądają. Nie wierzę, że nic nie da się zrobić.

Rozłożył ręce.

- Chrzęszcz ma nad nami przewagę kapitałową. Bierzymy udział w wolnorynkowej grze. I tak musi być, przecież o to walczyliśmy.

- A prawo? Czy ono w ogóle się nie liczy? Po diabła nam wolność i demokracja, jak nie możemy wsadzić do pierdła zwykłego bandyty, bo ma więcej od nas pieniędzy?

- Różnica jest taka - odparł spokojnie - że dawniej wsadzali bez powodu i dowodu, a teraz jest trudno pozbawić kogoś wolności. Z systemu bezprawia przeszliśmy do systemu, gdzie przestrzeganie przepisów może prowadzić do bezprawia. Na szczęście, nie zawsze. No i o ten mały kawałek praworządności oplącało się zawalczyć. Nie ukrywam, liczę na to, że będzie się powiększał.

- Oj, Marek, zawsze wszystko usprawiedliwiasz.

- Nieprawda. - Poczul w nosie łaskotanie pęcherzyków szampana. Kichnął.

- Prawda. Jesteś niereformowalny, wieczny idealista. - Spojrzała na zegarek. - Boże, już wpół do piątej. Muszę lecieć, za dwie i pół godziny mam przedstawienie. Przyjdź, zobacz mnie w roli lady Makbet... - Zawahała się. - Ale odczekaj trochę, bo teraz w teatrze ciągle pojawia się Chrzęszcz, po każdym występie dostaję od niego na scenę ogromny kosz kwiatów.

- Skurwiel - stwierdził Marek.

- Właśnie, nie dość mu, że uwiódł Macho, to jeszcze na mnie ma ochotę. - Ucałowała go na pożegnanie.

Został sam. Miał ochotę pomyśleć, zastanowić się po raz setny nad własną sytuacją, ale w głowie mieszało mu się piwo z szampanem. Chciałby się przytulić do Anny, jednak nie było jej przy nim. Jeszcze jedna przegrana, z którą musi się pogodzić. Pieprzony świat.

\*

Mika miała dość, Absolutnie. Ani chwili dłużej nie miała zamiaru zostać w Warszawie. Wynajęła na dwa tygodnie pokój w ekskluzywnym pensjonacie nad samym morzem. Odpocznie, opali się, zastanowi nad własnym życiem. Wytrzymała sześć dni. Wszędzie były tłumy, ale młoda samotna kobieta i tak zwracała uwagę. Usiadła w restauracji, żeby zjeść kolację - podchodził do niej lowelas na urlopie. Leżała na plaży - kręcił się wokół niej spalony na brąz ratownik. Poszła do kawiarni na koncert jazzowy - przysiedli się dwaj dowcipnisie. Wszyscy poszukiwali wakacyjnej przygody, łatwego podboju, o którym będzie można opowiadać znajomym. W innej sytuacji może nawet bawiłyby ją te niegroźne zaloty, ale poszukiwała samotności i spokoju. Pragnęła obserwować zachody słońca, słuchać cichego szumu morza, a towarzyszył jej nieustanny zgiełk, niewybredne żarty, zaczepki. Zamiast podziwiać krajobraz, oglądała grube matrony wystawiające fałdy tłuszczu do słońca, brzuchatych facetów w poroziąganych gatkach, spocone i wrzeszczące dzieci. Niechęć do urlopowiczów i wszelkiej maści turystów rosła z każdym dniem. Wakacyjna beztroska, którą żywiołowo okazywali, doprowadzała ją do zimnej furii. Poddawała szyderczej analizie zachowania, wygląd, wzajemne interakcje. Wśród nich wszystkich miała swojego wybrańca, kościstego czterdziestolatka, ojca trojga dzieci i męża smutnej, zabiedzonej żony, która usługiwała mu na każde żądanie.

Ten nędzny, wysuszony kurdupel był tam panem, rozdawał łaski, a najbliżsi czekali na jego skinienie. Śledziła go, świadoma każdego jego występku. Apogeum nienawiści przeżyła, kiedy zobaczyła, jak leżał zwrócony twarzą do słońca, a żona, siedząc w kucki, starannie obcinała mu paznokcie u nóg. Przyłapywała go na dawaniu dzieciom po kawałeczku czekolady - resztę zżerał sam. Ale zupełnie nie do przyjęcia był fakt, że ta chuda kreatura, czując na sobie nieustannie jej wzrok, prężyła się i rzucała zachęcające, ale i pełne pychy spojrzenia. Co gorsza, mieszkali w jednym pensjonacie, często o tej samej porze jedli śniadanie, a on na jej widok wołał do dzieci: „Powiedzcie pani dzień dobry!”. Uśmiechał się do niej porozumiewawczo ponad ich głowami, dawał do zrozumienia, że docenia jej zainteresowanie swoją osobą, wcale nie uznając go za wyjątkowe. Czują, że dłużej go nie zniesie, postanowiła więc przenieść się do innego pensjonatu, ale wszędzie, gdzie pytała o wolne miejsce, widywała kopie kurdupła, a także zdziwione, ale i lekko podejrzliwe spojrzenia recepcjonistów. Atrakcyjna kobieta i sama?

Spakowała się więc, zapłaciła rachunek, mężnie znosząc wszelkie pytania właścicielki o powód wyjazdu. Taszczyła właśnie swoje niepotrzebne rzeczy do taksówki, kiedy nadszedł.

- Może pomóc? - zapytał.

- Spieprzaj pan, i to już!

Zza szyby auta zobaczyła jeszcze jego minę, która przypominała grymas Pawła, gdy zrobiła coś nie po jego myśli. W ogóle, choć zupełnie inny, był przerażająco podobny do jej męża.

A więc wróciła, wstawiła walizki do swojego dwupokojowego mieszkania. Zadzwoiła do rodziców.

- Już wróciłaś? - zdziwili się chłodno. Nie akceptowali jej postępowania wobec męża.

Poskarżył się im, pomyślała, okręcił ich wokół palca, jak kiedyś ją. Miał na to środki, grube pliki banknotów do dyspozycji. Popatrzyła na stos piętrzących się na stole rachunków. Muszę jak najszybciej znaleźć pracę, postanowiła. Postąpiła przy oknie. Zadzwoiła do Marka.

- Mam chandrę - rzekł apatycznie.

Próbowała go pocieszyć, ale jej argumenty nie brzmiały przekonująco. Sama potrzebowała wsparcia, on zaś, jak na egocentrycznego samca przystało, zajmował się własnym stanem ducha. Obiecała, że wkrótce wpadnie do Podkowy, ale tak naprawdę nie miała wcale ochoty tam jechać, po to by wraz z Markiem bez przerwy rozprawiać o kłęsce „Startu”. Za dużo wiedziała o kulisach sprawy, ale nie mogła ich zdradzić. Zawarła z mężem układ. Żadne z nich nie puści pary z gęby. Będą się zachowywali, jakby nie mieli pojęcia, co

naprawdę się wydarzyło ani jakie oboje odegrali w tej historii role. Rozwiodą się. Ona weźmie na siebie winę za rozpad małżeństwa - przecież dopuściła się wiarołomstwa, spędzając noc z Michaeliem Watsonem - Smithem. Ponieważ nie wniosła do ich związku żadnych dóbr materialnych, nie zgłosi roszczeń do majątku Pawła. Miała zamiar dotrzymać warunków umowy, a Paweł na pewno nie postąpi wbrew ich ustnemu kontraktowi. Ma swoje zasady, jak przystało na gangstera, pomyślała złośliwie.

Może jednak niepotrzebnie tak szybko wróciła? Trzeba było się wdać w romans z jakimś bezpretensjonalnym młodzieńcem. Odświeżyć skołatane ego, potwierdzić własną wartość na damsko - męskim rynku. Jaka szkoda, że nie stać jej na beztróskę, do wszystkiego przywiązuje zbyt wielką wagę. Sporo już przeżyła i niosła swój bagaż doświadczeń jak bezcenną wagę, dokładając wielkiej staranności, aby jej nie rozbić, bezpiecznie przenieść przez każdy następny etap drogi. A może trzeba nią walnąć o podłogę, niech się rozpadnie na tysiące kawałków i ruszyć dalej bez oglądania się w przeszłość.

Budziła się i zasypiała, czuła niepokój, kołatanie serca. Śniła o Michaelu i Marku, a gdzieś pośród nich jak wieczna zmora plątał się pułkownik. Wstała po czwartej i stojąc przy oknie, obserwowała wschód słońca, który zamglone, szarawe tło nieba powoli nasycił coraz bardziej soczystymi barwami. Palila papierosa za papierosem, rozprawiała się ze sobą metodycznie i powoli. Już nie ona, nie została też kimś innym. Stała się psychicznym centaurem, jak pomyłka genów, która nie tworząc nowej jakości, wynaturza.

Cienkie czarne wskazówki przypominające kocie wąsy pokazywały godzinę 4.35. Nagle przyszedł jej do głowy pomysł, z którego już nie chciała zrezygnować. Poszła do łazienki, wzięła zimny prysznic, włożyła szlafrok. Zamówiła międzynarodową. Kiedy rozmawiała z telefonistką, jeszcze drżał jej głos, teraz była zupełnie opanowana. Czekać na połączenie, przygotowała sobie kawę. Po dwudziestu minutach rozległ się dzwonek. Spokojnie podniosła słuchawkę, usłyszała: „Łączę Los Angeles”. Po sześciu sygnałach, które starannie policzyła, dotarł do niej głos z bardzo daleka, lekko przytłumiony, ale wyraźny: You've reached the residence of Michael Watson - Smith. This is my private phone number. Please leave your message after the beep. I'll call you back as soon as possible. In the case of emergency, you can also leave the message with my home assistant, extension number 05, or with my secretary at my office, or you can try to catch me on my car phone. Good luck (Tu rezydencja Michaela Watsona - Smitha. To jest prywatny numer telefonu. Zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału. Oddzwonię jak najszybciej się da. W pilnym wypadku możesz zostawić wiadomość mojej prywatnej asystentce, numer wewnętrzny 05, skontaktować się z moją sekretarką w biurze albo możesz spróbować złapać mnie telefonicznie w samochodzie. Powodzenia).

Odłożyła słuchawkę. Po raz pierwszy z bolesną jasnością uświadomiła sobie, że życie Michaela biegło tak beznadziejnie daleko od jej egzystencji. Ich losy toczyły się równolegle, brakowało w nich punktów stykowych. Gdyby nawet jej marzenie się spełniło, kim byłaby u jego boku? Szarą myszą, wyedukowaną panią domu albo sezonową kochanką? Był nie tylko po stokroć bogatszy od Pawła, miał też wysoką pozycję w świecie wydawniczego biznesu. Jak długo trwałaby wzajemna fascynacja, karmiona amerykańskimi realiami? A zresztą wcale nie chciałaby opuścić swojego trudnego, pełnego niepokoju i kręactw kraju, pragnęła go uzdrawiać, toczyć codzienną, zmuśną walkę, często z góry skazaną na niepowodzenie. Dopiero niedawno znów wystartowała jako dziennikarka, nieźle jej szło. Nabrała nadziei. Najważniejsze, myślała, żeby iść, a nie udawać marsz, stojąc w miejscu. Nieoczekiwanie, ale świadomie i z rozmysłem przestała się czepiać wspomnień. Po ośmiu latach, czterech miesiącach i czterech dniach, odkąd zobaczyła go po raz pierwszy, pożegnała się wreszcie z Michaeliem Watsonem - Smithem. Nie chciała zapomnieć, tylko od niego odeszła.

## Rozdział XXIV

Po raz pierwszy od lat Anna nie miała wątpliwości, co chce zrobić. Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby zadzwonić po poradę do doktora Jaskiera. W nocy nie zmrzyła oka, ćwiczyła przemówienie do Marka. Dodawała nowe elementy albo odejmowała słowa, które jej zdaniem niepotrzebnie gmatwały sytuację. Wstała wcześniej, jednak przygotowania do wyjścia zajęły jej dwie godziny. Umyła włosy, zrobiła staranny makijaż, przymierzyła co najmniej piętnaście wariantów różnych strojów. Wybrała w końcu sukienkę na ramiączkach, z cienką falbanką tuż nad kolanami. Niebieska tonacja miała podkreślać kolor oczu, a duży dekolt - ładny biust i równo opalone, matowe ramiona. Włożyła beżowe sandały, które eksponowały kształt wąskich stóp i niewysokimi obcasami dodawały wzrostu.

Wymknęła się z domu, bo nie miała ochoty tłumaczyć się przed matką i synkiem, dokąd idzie. Niezbyt długo czekała na kolejkę. O 10.30 wysiadła na dworcu w Podkowie Leśnej, kilkanaście minut później weszła do domu Zawadzkich. Zastała Marka siedzącego na rozbebeszonym łóżku, skulonego w pół.

- To ty - powiedział i przez twarz przebiegł mu nieprzyjemny grymas.

Bał się wstać, bo kręciło mu się w głowie. Kiedy indziej byłby szczęśliwy z przybycia Anny, ale teraz odczuwał całkowitą obojętność, a nawet jej obecność wydawała się krępująca. Zdawał sobie sprawę, że wygląda koszmarnie, był pewien, że cuchnie, bo poprzedniego dnia kompletnie zalany zasnął na łóżku w ubraniu. Marzył o prysznicu, lecz Anna usiadła naprzeciwko, nie zważając na jego stan.

- Muszę z tobą porozmawiać. To pilne - oznajmiła.

Spróbował podnieść głowę, spojrzeć jej w oczy, lecz w skroniach odczuł potężny łomot.

- Może jeszcze nie zauważyłaś, ale mam gigantycznego kaca - powiedział ze wzrokiem wbitym w podłogę, bo stanowiła stabilny punkt w jego kompletnie rozchwianym obrazie świata. - Wczoraj wypilem piwo, szampana, a na końcu whisky. - Wstrząsnął nim dreszcz. - Wiesz, że zazwyczaj się nie upijam, ale miałem depresję - wytłumaczył się i rozpaczliwie szukał jakiegoś rozwiązania. Wreszcie wykrztusił: - Może jutro pogadamy.

Absolutnie nie mogła odłożyć tego, co miała do powiedzenia.

- Pomogę ci wstać, weźmiesz prysznic, zrobisz śniadanie.

- Za śniadanie dziękuję. - Znów wykrzywił się niemiłosiernie, czując, że żołądek podchodzi mu do gardła, a postać Anny wiruje jak na dansingowym kole. - Chce mi się pić.

Przyniosła wielki kubek wody z cytryną. Wypił łapczywie. Wysiłkiem woli podniósł się z łóżka i wolnym, sztywnym krokiem, czepiając się po drodze różnych sprzętów, udał się do łazienki. Nie umiała przed sobą ukryć rozczarowania. Co jest w mężczyznach, że zawsze zawodzą? Była pewna, że uskrzydli go swoim nagłym przyjazdem, a wyglądało na to, że najchętniej by się jej pozbył. Niech to diabli, pomyślała, załatwię sprawę i znikam.

Nie było go co najmniej pół godziny, ale po wyjściu z łazienki prezentował się znacznie lepiej. Był tylko koszmarnie błydy. Zrobiła mu kawę, którą mocno posłodziła. Na talerzyku położyła aspirynę.

- Co się stało, Aniu? - wybąkał.

Wreszcie mogła wyrzucić to z siebie. Postanowiła nie zwracać uwagi na jego kiepski stan psychofizyczny.

- Posłuchaj, Marek, odziedziczyłam dużą sumę. Chcę przekazać te pieniądze dla „Startu”.

- Upilem się, mam kaca, ale jestem przy zdrowych zmysłach. Co ty opowiadasz, moja kochana?

- Daję słowo. Sprawdziłam już, te pieniądze naprawdę są na szwajcarskim koncie.

- A kogo miałaś w Szwajcarii? - zapytał bardziej dla podtrzymania rozmowy niż z ciekawości. Nie wierzył ani jednemu jej słowu. Był tylko dotknięty, że kpi sobie z niego.

- Brat mojej matki zapisał mi spadek. Umarł. Miał raka i umarł. - Czuła, że to brzmi niewiarygodnie. Całą jej dokładnie opracowaną przemowę trafił szlag, inaczej to sobie wymyśliła. Wszystko przez jego żalostnego kaca.

- Przecież twoja matka, sama mi o tym wspominała, ma tylko siostrę w Stanach - przypomniał jej.

- To był jej przybrany brat - odparła, czerwieniąc się.

- Miło, że umieścił cię w testamencie. - Wypowiadał słowa z miażdżącą ironią. Całkiem otrzeźwiało. Co jest z tą dziewczyną? Zawsze coś ukrywa, płacze.

- Będziesz mógł uratować „Start”. Nie rozumiesz? - Chwyciła się ostatniej deski ratunku. - Wątpisz, że mam te pieniądze? Zapewniam cię, że tak. Przysięgam. Sto siedemdziesiąt tysięcy dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów i osiemdziesiąt siedem centów.

- Te dziewięć osiemdziesiąt siedem cholernie mi się przyda. Kpił z niej w żywe oczy. Nie mogła tego znieść. Rozpłakała się jak dziecko.

- Nie wierzysz mi, a ja przyszedłam tu z najlepszą wolą - wyjąkała.

Poczuł się głupio. Znęca się nad biedną dziewczyną, bo jest wściekły i bezradny. Może nie zawsze była wobec niego w porządku, ale na pewno nie zasługuje na takie lekceważenie. Rozczulił go widok jej mokrych policzków.

- Posłuchaj, kochana. - Przykrył jej dłoń ręką, poczuł wilgotną, gorącą skórę. - Rozumiem twoją ofertę, a także fakt, że stało się coś wyjątkowego, ale kręcisz. Wywal kawę na ławę.

- Nie kręcę, mówię prawdę, odziedziczyłam pieniądze po wuju, który zmarł w Szwajcarii - powtórzyła z uporem.

Znowu te kłamstwa, przemilczenia, podchody, pomyślał rozgoryczony. Nigdy nie umiała mówić wprost. Zapewne dostała te pieniądze od zasranego Watsona - Smitha. Nawet nie przeczuwał, jak bardzo blisko jest prawdy.

- Przepraszam, Aniu, dziś nie mam siły na rozmowę. Odlóżmy ją. Jak będę w lepszej formie, chętnie wezmę udział w tej zabawie, ale teraz...

Nie dała mu dokończyć. Szybko się podniosła i wyszła. Nawet nie pofatygował się, aby zamknąć za nią drzwi. Nie wróciła jednak do Warszawy. Musiała rozwiązać dylemat: albo życie bez niego, albo prawda. Ta alternatywa wydała się jej prawdziwym koszmarem. Na żadną z możliwości nie chciała się zgodzić, mimo to musiała dokonać wyboru. Długo spacerowała po lesie. Przez korony drzew patrzyła w chmury, próbując z ich ułożenia odczytać znaki dla siebie. Była już zdruzgotana niemożnością podjęcia decyzji, gdy nagle dostrzegła, że oto ma szansę wydobycia się z pułapki, z której całkowicie nie wyzwoliła jej nawet śmierć pułkownika. Marek dał jej wolność wyboru, więc i ona postąpi według reguł, jakie stawia przed ludźmi prawdziwa, dojrzała, niezakłamana miłość. Po niecałej godzinie znów pojawiła się u Marka. Leżał na łóżku, nie spał, bezmyślnie gapił się w sufit. Usiadła obok niego. Zaczęła mówić. Wzrok wbiła w jeden punkt, ciemną plamkę na ścianie. Relacjonowała wszystko po kolei, tyle, ile wiedziała o wydarzeniach sprzed ośmiu lat. Mówiła o Michaelu i o pułkowniku. Nie zataiła żadnego szczegółu. Powoli, zdanie po zdaniu wyrzuciła z siebie swoją tajemnicę. Powiedziała, że pieniądze, które ofiarowywała Markowi, zapisał jej w testamencie pułkownik. Przyjmie je tylko pod warunkiem, że uratują „Start”. Inaczej niech przepadną. Była zupełnie spokojna. Wreszcie poznał wersję zdarzeń, jaką знаła Anna. Nie była to jednak cała prawda o tamtych wydarzeniach, bo z pozycji pojedynczego człowieka nie da się jej całkowicie ogarnąć. Nie uroniła ani jednej łzy. Po prostu opowiedziała mu swoją historię. Gdy skończyła, bała się na niego spojrzeć. Nadal leżał bez ruchu. W ten sposób okazywał jej niechęć i potępienie. Zasłużyła na nie. Powoli wstała i bez słowa zaczęła się zbierać do wyjścia. To koniec, powtarzała w myślach. Była już przy drzwiach, kiedy Marek energicznie zerwał się z łóżka. Podbiegł, położył ręce na jej ramionach, lekko się pochylił i patrząc prosto w oczy, powiedział:

- Wiem, że to był dla ciebie koszmar. Ale razem zwalczymy go do końca. Jeszcze będziemy się z tego wszystkiego śmiać. A najbardziej z tych drani, którzy rządzą nam świat po swojemu. - Przygarnął ją do siebie. - Jak tylko zostaniemy razem, wszystko się uda. Bez ciebie na nic nie mam siły, upijam się, gasnę, łysieję.

Roześmiała się. Był jej bliski jak żaden inny człowiek na tym parszywym świecie.

\*

Jim zamiast dwóch tygodni spędził w Polsce niemal dwa miesiące. Miał pewność, że będzie tu wracał, zainwestował w tym kraju własne pieniądze. Zaraz po podpisaniu odpowiednich dokumentów zadzwonił do Michaela. Był tak podekscytowany, że nie sprawdził nawet godziny.

- Jest trzecia w nocy - usłyszał zaspany głos.

- Czas nie ma znaczenia, skoro zostaliśmy współnikami.

- Co ty powiesz? - ożywił się Michael.

- Jesteśmy udziałowcami w tej samej gazecie...

- Aaa... - Michael ziewnął. - Posłuchałeś mojej dobrej rady i kupiłeś wreszcie akcje.

- Nie. Mówię o polskim tygodniku, o „Starcie”, w którym ja jestem udziałowcem, a ty także, tyle że występujesz per procura.

- Oszalałeś!

Usłyszał, że Mike zapala papierosa.

- Niezupełnie. Pułkownik nie żyje, został zamordowany.

- Wbrew pozorom nie mam z tym nic wspólnego.

- Zostawił testament, w którym sto dziesięć tysięcy dolarów wraz z odsetkami, umieszczone na koncie Zurich National Bank, którego nazwę doskonale znasz, zapisał mojej kuzynce.

- Nie żartuj.

- Nie żartuję.

- Powiedziałaś Annie, skąd pochodzą pieniądze?

- Oczywiście, że nie. Masz wybór. Albo uznasz, że zainwestowałaś te pieniądze w „Start”, a ja będę ci wypłacał dywidendy, albo zwrócę ci te pieniądze. W końcu sprawa dotyczy mojej rodziny.

- Dlaczego on zapisał te pieniądze akurat twojej kuzynce? - Michael jakby nie usłyszał propozycji.

- Nie mam pojęcia, ona też nie wie. Przypuszczam, że czuł się winien. W końcu została ranna, kiedy była pod jego troskliwą kuratelą - ironicznie stwierdził Jim.

- Pułkownik nie był specjalistą od wyrzutów sumienia. Coś się za tym kryje. Jestem pewien, że w ten sposób chciał nam przekazać swoje przesłanie.

- Co takiego?

- Że wygrał. Prowadzi z nami dwa do zera, a my już nie mamy szans się odegrać. Szatańskie posunięcie - ocenił Michael z pewnym uznaniem. - A co do twojej oferty, moja odpowiedź brzmi: Pocałuj się w dupę. Pieniądze należą do Anny. Pułkownik wyprał je w ten sposób, są czyste. Kiedy wracasz?

- Pojutrze.

- Co u Miki?

- Nadal pracuje w „Starcie”. - Jim zawahał się, ale w końcu powiedział: - Rozstała się z mężem.

- Ta wiadomość jest warta dwa razy po sto dziesięć tysięcy dolarów, stary! - wykrzyknął radośnie Michael i połączenie zostało przerwane.

\*

Po pożegnaniu Jima, który wracał do Ameryki, Leska w drodze z lotniska mocno ścisnęła Marcina za rękę, całkowicie pochłonięta własnymi myślami. Siostrzeniec powiedział, że na ślub Ani i Marka pewnie przyjedzie z Elizabeth Zawadzky.

- Rozstaję się z żoną - oznajmił.

Młodzi mają prawo układać sobie życie po swojemu. Ona może się za nich modlić, taka już rola starych kobiet. Jej przyszły zięć przepisał na Marcina swoją połowę domu, w zamian za to wziął pieniądze, które córka odziedziczyła po pułkowniku. Dzięki nim odzyskał „Start”. Ten drań, który niemal odebrał mu tygodnik, znalazł się na po raz pierwszy opublikowanej w Polsce liście dwudziestu najbogatszych ludzi. W wywiadzie dla telewizji Paweł Chrzęszcz stwierdził, że daje sobie dwa, trzy lata na osiągnięcie pierwszego miejsca.

Nagle za plecami usłyszała hałas, krzyki, gwizdy. Odwróciła się. Z daleka nadciągał pochód, wokół dostrzegła pełno policji i mnóstwo młodych ludzi na ciężarówkach. Boże, znowu to samo. Przyciągnęła wnuka do siebie. Rozpędzają jakąś demonstrację. Jednak w miarę jak zbliżała się kawalkada aut, zaczęło do niej docierać, że widzi obrazek, jakie dawno temu często oglądała w Londynie, gdy Marian był tam korespondentem. Młodzi ludzie wznosili obrazoburcze okrzyki, wygłupiali się, machali do przechodniów. Nałożyła okulary. Jakiś młodzieniec niósł hasło: „Partia bez młodzieży, młodzież bez partii”, inny - karton z napisem: „Wolna miłość w wolnej Polsce”. Barczysty chłopak dźwigał wielką tablicę: „Nasz prezydent i nasz premier. Komuno, żegnaj”. Ktoś powiewał kukłą Lecha Wałęsy, którego wąsy poruszały się w takt muzyki. Dziewczyny w podkoszulkach i krótkich spódniczkach tańczyły na lawetach, twarze miały pomalowane na różne kolory. Chłopcy ozdobili głowy wielkimi, sztywnymi, wielobarwnymi czubami. Jeden z nich, całkiem czarny, jakby się utyłł w szuwaksie, walił w bębny. Temu widowisku towarzyszyli z wielką powagą sunący na motocyklach wzdłuż pochodu policjanci, robiąc demonstrantom wolną przestrzeń na zatłoczonej jezdni.

I wtedy Leska przestała wątpić.

- Może wreszcie tym razem jakimś cudem się uda - mruknęła do wnuka.